



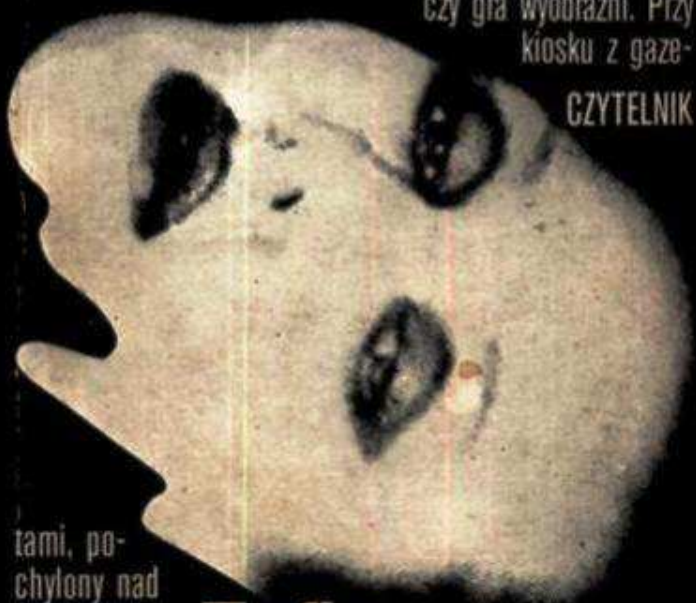
Przystanęła i podniosła rękę do gwałtownie bijącego serca. Nie, tym razem nie myliła się na pewno. To nie było złudzenie

wzrokowe, omam pamięci

Cocktail nad Zalewem

czy gra wyobraźni. Przy kiosku z gazetami,

CZYTELNIK



tami, pochylony nad okienkiem,

Zofia
Kaczorowska

Zofia Kaczorowska

Cocktail nad Zalewem

CZYTELNIK

WARSZAWA 1988

Okładkę i kartę tytułową projektował

ZBIGNIEW CZARNECKI

© Copyright by Zofia Kaczorowska,

Warszawa 1988

ISBN 83-07-01471-9

„Czytelnik”. Warszawa 1988.

Wydanie I

Nakład 160320 egz.

Ark, wyd. 7,8; ark drak. 7,2A

Papier offset kl. YD, 60 g, 70 cm

Oddano do składania 28 IV 1986 r.

Podpisano do druku 2 m 1988 r.

Druk ukończono w sierpniu 1988 r.

Zakłady Graficzne

„Dom Słowa Polskiego”

w Warszawie

Zam, wyd. 109;

druk. 2314/K. P-II

Printed in Poland

Rozdział pierwszy

Adwokat Teresa Molnicka była wprawdzie dobrym kierowcą i umiała zręcznie manipulować swoim fiatem 126P wśród największych korków warszawskich, bądź na zatłoczonych szosach podmiejskich, ale dzisiejsza jazda na trasie prowadzącej do Nasielska sprawiała jej dużo kłopotu. Po wielkich, ulewnych deszczach było ślisko, mokro, kałuże tryskały pod naciskiem kół fontannami lepkiego, czarnego błota, ponadto dął silny wiatr, rzucający w nagłych podmuchach mały samochód aż na pobocze drogi. Gdyby nie telefon Anny Hortowskiej, starszej koleżanki z zespołu adwokackiego, Teresa tego popołudnia nigdzie nie ruszyłaby się z domu, gdyż miała do napisania dwie pilne rewizje od wyroków sądów rejonowych w sprawach wymagających, nie lada gimnastyki umysłowej i precyzyjnego opracowania. Molnicka była obowiązkowa, ambitna, miała opinię rzetelnego adwokata – dzielnie, a często żarzacie reprezentującego interesy swoich klientów. Te walory sprawiły, że w stosunkowo młodym wieku – ledwie przekroczywszy trzydziestkę – znalazła zatrudnienie w jednym z największych zespołów adwokackich w Warszawie, zyskując coraz większą renomę i popularność. Nigdy jednak nie zapomniała, ile miała do zawdzięczenia adwokat Annie Hortowskiej-Rytniak, której wiedzę prawniczą podziwiała od wielu lat, i u boku której odbywała aplikację, a potem start w zawodzie adwokata. W żadnym wypadku więc nie mogła odmówić jej dzisiejszej prośbie. Anna od kilku dni nie pokazywała się w zespole i nie przyjmowała telefonów w domu, co wzbudziło niepokój Teresy o stan jej zdrowia. Co prawda domyślała się, że

być może Hortowska wyjechała do swojej małej posiadłości, o ile tak szumnie można by nazwać niewielki dworek, bardziej przypominający wiejską chałupę, odziedziczony przez nią po babce i niedawno własnym sumptem przywrócony do stanu względnej używalności z kompletnej ruiny i upadku. Jednak przedłużająca się nieobecność adwokacki w okresie spiętrzenia terminów sądowych nie była zjawiskiem normalnym. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, aby Hortowska zaniedbała interesy swoich klientów. Toteż gdy dzisiaj, po powrocie do domu Teresa usłyszała jej głos w słuchawce, nieco zniekształcony na skutek wadliwej działalności instalacji na poczcie – odczuła prawdziwą ulgę. Jednak przecucie jej nie myliło: Anna nie czuła się dobrze i prosiła Teresę, aby zastąpiła ją w ciągu najbliższych dni jako jej substytut w kilku procesach. Tego rodzaju przysługa koleżeńska nie jest niczym nadzwyczajnym wśród adwokatów, jednak tym razem związana była z pewną uciążliwością: Teresa musiała pojechać do „Malwin”, w okolice Nasielska, do Anny, po akta spraw. Procesy, które prowadziła Hortowska, były na ogół zawile pod względem prawnym i Teresa nie mogła stanąć w sądzie bez gruntownego zaznajomienia się z przebiegiem dotychczasowego postępowania sądowego, a na wgląd do protokołów nie było już czasu, gdyż dwa terminy przypadały na dzień jutrzejszy.

Drobny deszcz zaczął znów zalewać szyby samochodu. Teresa włączyła wycieraczki i otworzyła radio, które niedawno nabyła, w związku z czym często zapominała o jego istnieniu. Głos Łazuki reklamującego się szerokim rzeszom odbiorców jako Bogdan – chłopiec o gorącym sercu, niesłychanie wrażliwym na uroki wszystkich kobiet na całym świecie – wypełnił wnętrze wozu. Uśmiechnęła

się, gdyż lubiła wdzięk i finezję, z jaką aktor ten wykonywał piosenki ze swego repertuaru, nie tracącego aktualności mimo biegu lat. Pozwoliło jej to na chwilę oderwać się od szarej rzeczywistości.

Za Zaporą Dębe droga stawała się coraz węższa. Molnicka pochyliła się nad kierownicą, aby wyminąć niespodziewanie wyjeżdżającego zza zakrętu dużego, czerwonego fiata. Ze znanstwem stwierdziła, że miał nieprawidłowo ustawione długie światła. Jej to nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Zarówno w pracy zawodowej, jak i w życiu prywatnym lubiła zawsze być w zgodzie z przepisami. Postronny obserwator mógłby uważać ją za nudziarę i przesadną pedantkę, pochłoniętą prawie wyłącznie pracą zawodową, skrupulatnie przestrzegającą form i przestarzałych konwenansów. Jednak sąd taki byłby zupełnie mylny. Pod krótko przystrzyżoną, chłopięcą czupryną, o drobnych, naturalnie wijących się, czarnych puklach kłębiło się mnóstwo romantycznych myśli i pragnień, a w sercu tliło wiele uczuć, wśród których zawsze było dużo miejsca na pamięć o bliźnich potrzebujących jej moralnego wsparcia i pomocy. Ostatnio wiele myślała o Annie Hortowskiej. Ta pozornie spokojna i opanowana kobieta, o chłodnym, a nawet odpychającym sposobie bycia, utrudniającym nawiązanie z nią jakiegokolwiek bliższego kontaktu, wydawała się ostatnio być jeszcze bardziej zamknięta w sobie. Teresa chwilami odnosiła wrażenie, że wszystko właściwie przestaje ją interesować łącznie z umiłowaną pracą zawodową, tak jakby dzień po dniu gasł w niej jakiś wewnętrzny płomień, a zostawała tylko wypalona, zewnętrzna powłoka. Taki stan psychiczny nie jest bezpieczny u osoby zbliżającej się do pięćdziesiątki, samotnej, o niezbyt fortunnie ułożonym życiu osobistym. Stanowczo należałoby

temu przeciwdziałać i zmusić Annę do aktywniejszej postawy wobec świata i jego uciech. Tylko jak do tego przystąpić, skoro Anna, mimo łączącej je wieloletniej przyjaźni, odgradza się wiecznie nieprzebytym murem chłodu i rezerwy? A może właśnie dzisiaj, na gruncie domowym, nastąpi odpowiednia okazja do jakiegoś intymnego zwierzenia, do przebicia się przez lodowaty pancerz, który ją okuwa? Wprawdzie pracochłonny remont „Malwin” przez pewien czas mocno ją zajmował i bez wątpienia mobilizował do działania, ale trwało to bardzo krótko. Anna znowu wróciła do poprzedniego stanu wewnętrznego odrętwienia. Przynajmniej w taki właśnie sposób Teresa odbierała ostatnio jej reakcje na różne wydarzenia i sprawy, i to ją poważnie martwiło, gdyż nie mogła i nie umiała jej pomóc.

Droga stawała się coraz bardziej wyboista i wąska. Na domiar złego tablica informacyjna wskazywała objazd, ze względu na budowę nowej nawierzchni. Po dość długim kluczeniu Teresa wjechała na ulice miasteczka, obrzeżone niskimi domami na ogół o nieciekawej architekturze, z którymi przeplatały się strojne w nowe elewacje domki jednorodzinne, otoczone starannie wygracowanymi, pełnymi wczesnojesiennych kwiatów – ogródkami. Wpół otwarte drzwi garażów ukazywały różnokolorowe karoserie aut i krzątających się wokół nich właścicieli, usiłujących przywrócić im normalny wygląd po ostatnich nieporogach.

Dworek „Malwiny” znajdował się właściwie poza terenem miasteczka, na najdalszym przedmieściu, niemal w całkowitym odosobnieniu od reszty zabudowań. Z daleka szare cegły prześwitywały poprzez gęstwinę wielkich, starych drzew, izolujących domek od reszty świata.

Stary, na wpół zrujnowany parkan, pamiętający chyba schyłek ubiegłego stulecia i duża, skrzypiąca na zawiasach furka mogły śmiało pretendować do miana zabytków. Teresa była tu już kilkakrotnie, zaparkowała więc samochód tak jak zwykle pod tym samym rozłożystym kasztanem. Domek stał samotnie wśród dziko rosnącej zieleni, gałęzie drzew zaczepiały o milczące okna, na małym ganuku, podtrzymywanym kilkoma kolumnkami, pieniała się swobodnie trawa. Hortowska musiała włożyć wiele pieniędzy w jego renowację: przedtem schody, dach, futryny były w stanie całkowitej ruiny, ściany zjadał grzyb, belki butwiały. Nikt tu nie przebywał od śmierci jej babki, starej pani Emilii Hortowskiej – poza sporadycznie rezydującymi okolicznymi pijaczkami. Z bliska widać było świeże łąty z cegieł w zmurszałych ścianach frontowych, a nowe ramy okienne odcinały się od szarego tła.

Teresa pociągnęła kilkakrotnie za wielki, staroświecki dzwonek przy drzwiach, ale nikt nie odpowiadał, wewnątrz panowała absolutna cisza. Nie była tym zaskoczona. Anna wychodziła często po zakupy lub na pocztę, zresztą w umówionym miejscu – w kamiennym wazonie leżał klucz. „Jednak nie odważyłabym się tu mieszkać bez porządnego kundla” – pomyślała, wchodząc do środka. Ciemna sień z małym prześwitem, wypełnionym kolorowym szkłem, prowadziła do pokoi mieszkalnych. Pierwszy z nich musiał najwidoczniej spełniać rolę sypialni i jadalni jednocześnie. Pełno w nim było sprzętów bardzo starych i zniszczonych, przywróconych po latach przez właścicielkę do rangi rzeczy użytkowych: wysłużona kanapa z pluszowym obiciem o dużym oparciu, z poręczami, dwa fotele wyściełane popękana, niemal zupełnie

wytartą skórą, ogromny, owalny stół ze spęczonym, pozbawionym całkowicie politory blatem, na rzeźbionych nogach, kredens pełen szufladek i zakamarków z pozdieranyńi fornirem, wyglądający jakby za chwilę miał się rozlecieć, pęknięte lustro w pozłacanych, szerniałych ramach i mała komódka we względnie dobrym stanie. Przez uchylone drzwi dostrzec można było mnóstwo różnych starych gratów: łóżka, umywalkę, stołki, szafki postawiane chaotycznie i bezładnie. Najwidoczniej Hortowska przez szacunek i przywiązanie, do wspomnień nie chciała się ich pozbyć, a być może z braku czasu nie zrobiła jeszcze generalnego porządku. Wszędzie unosił się dość przenikliwy zapach, charakterystyczny dla starych, zakurzonych sprzętów i nie wietrzonych pomieszczeń.

Teresa usiadła w fotelu, który zachybotał gwałtownie i przez chwilę groził wypowiedzeniem posłuszeństwa, a mimo to był doskonale miękki i znakomicie usposabiał do snu. Byłaby może i usnęła, gdyż miała za sobą pracowity dzień w sądzie i zespole, monotonną jazdę samochodem i nastrajającą do drzemki pogodę, ale wzrok jej padł na teczki leżące na stole, zaopatrzone na obwolutach w sygnaturę akt i nazwiska klientów wypisane znany, energicznym pismem Anny. Były to bez wątpienia akta spraw, w których miała wystąpić w sądzie w zastępstwie Hortowskiej, pozostawione umyślnie na rzucającym się w oczy miejscu. Widok ten otrzeźwił ją natychmiast i z wrodzoną obowiązkowością pogrążyła się w wertowaniu sterty dokumentów. Czytała właśnie z uśmiechem na ustach po raz drugi pismo procesowe, dzieło jednego z młodych kolegów z zespołu, w sposób arcymistrzowski gmatwające meritum sporu, gdy uszu jej dobiegł skrzyp lekko

otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych i czyjeś kroki zatrzymały się na progu pokoju.

– Cześć – powiedziała, kończąc czytać ostatnie zdanie i odwróciła się, aby powitać Annę. Ku swemu zdziwieniu zamiast niej ujrzała młodego człowieka, średniego wzrostu i dość drobnej budowy, ubranego w niebieskie, wyblakłe dżinsy, kraciatą marynarkę, z płaszczem nieprzemakalnym przewieszonym przez ramię i skórzaną walizką w ręku. Coś w wyrazie jego twarzy, przesłoniętej wielkimi, ciemnymi okularami, sprawiło, że poczuła się nieswojo.

„Do diabła! – pomyślała – musiałam jak zwykle zapomnieć zamknąć za sobą drzwi. Coś mi ten facet wcale nie wygląda sympatycznie.”

Tymczasem młodzieniec stał nieruchomo i przyglądał się z natężeniem w zupełnym milczeniu. Było to dziwne i denerwujące. Zrobiła niecierpliwą ruch ręką.

– Matka? – zapytał chrypliwie i prawie niezrozumiale. Przerzucił walizkę do drugiej ręki i postąpił dwa kroki w jej kierunku, ale nagle zatrzymał się gwałtownie.

– Nie, to niemożliwe. Pani jest za młoda, ona nie może tak wyglądać. I am sorry – przepraszam.

Nawet gdyby nie dorzucił tych słów po angielsku, wymowa jego zdradziłaby cudzoziemskie pochodzenie. Nie wykluczone jednak, że celowo zgrywał się na obcokrajowca, tak jak wielu pseudodowcipnych osobników. W ogóle ta niespodziewana wizyta wyglądała bardzo podejrzanie. Teresa poczuła niemiły chłodek na plecach.

– Kim pan jest i kogo pan szuka? – wykrztusiła, nie ruszając się z miejsca.

– Anny, pani Anny Hortowskiej – powiedział,

obrzucając zaciekawionym spojrzeniem wewnątrz pokoju. – Czy jest w domu?

„Jak się dowie, że jestem sama, natychmiast mnie zamaluje – pomyślała – to ciekawe jednak, dlaczego zapytał: matka? Przecież to nie jest Ryszard Rytniak – pasierb Anny. Parę razy widziałam go w przelocie: to barczysty i rosły chłop. Zresztą nawet w pijanym widzie nie mógłby mnie z nią pomylić, chyba żeby dostał delirium tremens. A jak mi wiadomo, Anna nie ma żadnego własnego potomka. Tak, to stanowczo musi być jakiś oprych.”

Doszedłszy do tej konkluzji Teresa poczuła drżenie w łydkach. Co prawda niejednokrotnie w swojej karierze miała do czynienia z elementem przestępczym i występowała przed sądem jako obrońca mankowiczów, złodziei i różnych rzezimieszków, żaden adwokat jednak nie chciałby się spotkać z tego rodzaju potencjalnym mocodawcą w takiej sytuacji.

„Trzeba go podejść uprzejmością, z takimi typami nie można inaczej” – zdecydowała, oblekając twarz w urzędowy, ale czarujący uśmiech, którym skutecznie posługiwała się wobec swoich klientów płci męskiej.

– Pani mecenas Hortowska wyszła na chwilę. Czy mam jej coś przekazać?

– Niech pani powie, że był Robert i że przyjdzie później – powiedział trochę nieskładnie. A potem dorzucił: – Albo niech pani nic nie mówi. – Odwrócił się i zniknął tak nagle, jak się pojawił. Zdążyła jednak spostrzec, że utyka na prawą nogę i nosi zabłocone buty, świadczące o tym, że przebył na piechotę długą drogę.

Po jego wyjściu błyskawicznie zatrasnęła drzwi na wszystkie spusty, co było oczywiście spontaniczną, ale

mocno spóźnioną reakcją, i z westchnieniem ulgi opadła na fotel. Czekwała jeszcze około piętnastu minut, ale Anna Hortowska nie wracała. Pośpiesznie, wrzuciła akta do teczki, skreśliła na kartce kilka słów zawiadamiających o swojej bytności i o wizycie nieznanego młodzieńca i oglądając się na wszystkie strony dobiegła do samochodu. W każdym razie po ciemku nie chciałyby się z nim spotkać. Obawy jej były próżne. Tajemniczego gościa Hortowskiej nie było nigdzie w pobliżu.

Przystanąła i podniosła rękę do gwałtownie bijącego serca. Nie, tym razem nie myliła się na pewno. To nie było złudzenie wzrokowe, omam pamięci czy gra wyobraźni. Przy kiosku z gazetami, pochylony nad okienkiem, stał Zbigniew. Dokładnie widziała jego twarz z profilu, zawsze młodzieńczą, nieskażoną przez mijające lata: wysokie czoło, okolone czarnymi, falującymi włosami, orli nos o rozdętych nozdrzach, łagodnie zarysowany podbródek. Nie mogła dojrzeć tylko oczu, ale domyślała się, że są niebieskie, czyste i chłodne jak górskie jeziora. Te oczy nie mogły się zmienić. Tyle razy przeglądała się w nich jak w lustrze, widziała odbicie samej siebie. Nie widzieli się tak dawno, że czasem zapominała o jego istnieniu, jakby nigdy nie miała brata, jakby nie łączyły ich węzły krwi, ale na jego widok odżywały w niej wszystkie uczucia, stawało przed oczyma całe dzieciństwo. Pojawiał się w jej życiu i znikał jak meteor, był zawsze blisko, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo, aby wesprzeć ją opiekuńczym ramieniem, i oddalał się bez słowa. Nigdy nie pisał, nie miała od niego ani jednego listu, nie mówił, dokąd odjeżdża ani skąd przychodzi, ale kiedy byli razem –

stanowili jedność. Kilka razy w ostatnich tygodniach wydawało się jej, że dostrzega jego smukłą sylwetkę w tłumie mijających ją przechodniów, w domu towarowym, na przystanku autobusowym, w gmachu sądu. Ale kiedy chciała się przybliżyć, zawołać go, rozplątał się, oddalał, stawał nieosiągalny, nierzeczywisty. A teraz – stał tak blisko, parę kroków od niej. Dlaczego się nie odzywa, dlaczego udaje, że jej nie zna? Chciała do niego szybko podejść, ale nie mogła ze zdenerwowania zrobić ani jednego kroku, jakby jakaś nie dająca się pokonać siła przyciągała ją do miejsca. Widziała, jak odchodzi, nie spojrzawszy na nią, kołysząc się w biodrach, gibki, młodzieńczy, obojętny. W rozpaczliwym wysiłku wyzwoliła się z odrętwienia, ale w pośpiechu siatka z zakupami wyleciała jej z ręki. Chleb, cukier, słoik z marmoladą potoczyły się na ziemię. Ktoś jej pomagał zbierać, jakaś stara kobieta przyjrzała się jej podejrzliwie, badając, czy nie jest pijana, ale widocznie poznała ją, bo uśmiechnęła się i pozdrowiła grzecznie. Za wszelką cenę nie chciała go stracić z oczu, ale za rogiem już go nie było. Ulica była głucha i pusta, widocznie wszedł do jakiegoś domu. Kręciła się bezradnie, przebiegła koło budynków, w których zaczynały już rozbłyskiwać światła, zaglądała do okien... To wszystko przypominało koszmarny sen. W pewnej chwili znalazła się na przedmieściu, na wyboistej drodze, zachlupotały pod nogami kałuże wody.

„Co ja robię? – pomyślała. – Przecież w domu czeka na mnie Teresa.” Deszcz zaczął padać wielkimi, ukośnymi kroplami, zraszając jej rozpalone czoło. Kiedy podnosiła kołnierz palta, czuła się już znacznie lepiej, wracał jej spokój i poczucie rzeczywistości, tylko w sercu czuła mdły, gniotący ból.

„To nic, to zaraz przejdzie” – uspokoiła samą siebie i ruszyła w kierunku „Malwin”.

Z daleka już zobaczyła mężczyznę siedzącego na schodach prowadzących na ganek. „A więc jednak przyszedł! Czeka!” – gorąco uderzyło jej do głowy. Chciała podbiec, ale znowu ogarnęła ją ociężałość.

– Dzień dobry, matko – powiedział mężczyzna i niezręcznie podniósł się z miejsca.

– Nie rozumiem – mruknęła – nie rozumiem. Co pan powiedział? Kim pan jest?

– Nie poznajesz mnie? No cóż – nie widziałas mnie dwadzieścia parę lat, na pewno trochę się zmieniłem – zdawał się silić na żartobliwy ton, ale miał ściśnięte gardło. – I beg your pardon. Nic na to nie poradzę, ale jestem twoim synem. Chyba pamiętasz, że masz syna Roberta.

Stała nieruchomo, ani jeden rys nie drgnął w jej twarzy, nie czuła nic poza tym, że nowy ciężar zwała się na jej barki.

– Skoro przyjechałeś, to wejdź – odezwała się po chwili milczenia i przekręciła klucz w zamku.

Wszedł za nią mocno utykając. Noga bolała go coraz bardziej, przemókł, miał dreszcze i z minuty na minutę wzmagającą się gorączkę. Ta wysoka, szczupła kobieta o bladej, zamkniętej twarzy, w której rozpoznał swoją matkę, wydała mu się najbardziej obcą osobą na świecie. Gdyby nie był tak chory, tak zmęczony dotychczasowym trybem życia, gdyby nie potrzebował jakiegoś kąta, aby odpocząć, zagoić rany, chętnie zawróciłby na pięcie i odszedł.

– Usiądź i rozbierz się – powiedziała, zdejmując prochowiec.

Opadł na fotel i wyciągnął nogi przed siebie. Ból w

biodrze był dokuczliwszy niż kiedykolwiek, marzył o odpoczynku i o śnie.

– A teraz powiedz mi, dlaczego właściwie wróciłeś?

Milczał, nie umiejąc znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Kiedy wysiadał ze statku w Gdyni, miał chęć ucałować polską ziemię. Często podlegał różnym porywom emocjonalnym, które zresztą gasły w nim bardzo szybko. Ale to nie tęsknota za ojczyzną skłoniła go do powrotu. Złożyło się na to wiele przyczyn. Czy miał opowiadać o latach brutalnej przemocy, zła i poniewierki, walki o pieniądze, o brudnych, ciemnych sprawach, w które się wplątał, o ranach, które odniósł w plugawych, okrutnych bójkach? Po prostu chciał jak chory pies znaleźć legowisko i spokój. Zamiast tego powiedział:

– Od dawna chciałem wrócić do Polski.

– A co się dzieje z Florą i Frankiem?

– Nie żyją. Wuj Franek zmarł dziesięć lat temu, a w trzy lata potem ciocka Flora. Byli bardzo mili, lubiłem ich.

– Myślałam, że jest ci tam dobrze, że się urządziłeś.

– Było dobrze. Nie martw się. Oni dbali o mnie. Uczęszczałem do college'u.

– A potem?

– Trochę handlowałem narkotykami. Widzisz, oni nie zostawili mi pieniędzy.

Obserwował jej twarz nieruchomą, zastygłą. Myślał, że ostatnie jego słowa zrobią na niej wrażenie, ale pozostała nie zmieniona, nie drgnął w niej ani jeden muskuł.

– I żebyś nie myślała, że się podszywam pod czyjeś imię. Zobacz, oto mój paszport – ze złością wyszarpaną go z kieszeni i rzucił na stół.

Wzięła go do ręki i uważnie przejrzała. Z mściwą satysfakcją stwierdził, że jest nieładna i że nawet w młodości nie mogła być powabna. Jedyne jej zdjęcie, które

posiadała w Ameryce ciotka Flora, było zgodne z oryginałem: ukazywało dziewczynę przygarbioną, o dużych dłoniach i stopach, długim nosie i zaciśniętych ustach. Jakże jej nienawidził. Za to, że odepchnęła go od siebie jak małe, parszywe szczenię, kiedy jako kilkumiesięczne dziecko oddała pod opiekę dwojga starszych ludzi, którzy nigdy nie umieli wykrzesać z siebie wobec niego cieplejszych uczuć. Za to, że zapomniała o nim, wymazała ze swej pamięci. W obecnym stanie ducha skłonny był przypisać jêj nawet wszystkie swoje dotychczasowe niepowodzenia, własną niezaradność, lenistwo, tchórzostwo. Jadąc tu powziął niezłomną decyzję, że wydrze z niej prawdę, dlaczego obeszła się tak z nim w dzieciństwie, prawdę o jej życiu i o swoim ojcu, którego imienia i nazwiska nie znał. Teraz myślał jednak wyłączenie o zagrzebaniu się w jakąś norę, ó ciszy, o łyżce strawy, o którą me potrzebowałby walczyć. A potem, zobaczy...

– Jak mnie tu znalazłeś? – słowa te dotarły do niego jak przez mgłę.

– To był jedyny adres, jaki posiadała ciotka Flora, jak się okazuje – właściwy.

– Co chcesz tutaj robić?

– Jeszcze nie wiem. Na razie chcę spać, jestem trochę chory.

Wstała i przemierzyła pokój kilkoma szybkimi krokami.

– Dobrze – powiedziała – zostaniesz tu chwilowo. Potem postaram się ci pomóc. Pod jednym jednak warunkiem: nikt nie może się dowiedzieć, że wróciłeś, że jesteś moim synem. Naturalnie nie będziesz mieszkał w Warszawie. Czy mnie rozumiesz?

Tak musi być, to jest konieczne, nie mogę ci tego

bliżej wytłumaczyć; Chyba zdajesz sobie sprawę, że w końcu nie byłam przygotowana na twój nagły przyjazd po tylu latach.

Chciał ją zapytać, dlaczego nigdy do niego nie pisała, dlaczego wstydziła się jego istnienia i tyle różnych rzeczy, które cisnęły mu się na wargi, ale nie zdążył. Po prostu niespodziewanie zasnął.

Rozdział drugi

Ryszard Rytniak leżał na tapczanie i przyglądał się z upodobaniem swoim muskularnym, opalonym nogom, a właściwie oblekającym stopy skarpetkom – w ostrych, krzyczących kolorach, nabytych kilka dni temu w komisie za czterysta złotych. Potem wolno sięgnął po stojącą na ławie szklankę z ginem, upił kilka łyków, zapalił papierosa marlboro i przeciągnął się leniwie. Od pół godziny czekał na Magdę Grąszycową i był na nią zły. Nie lubił, jak dziewczuchy się spóźniają.

„Dzisiaj musi mi odpalić więcej szmalu – pomyślał – i w ogóle trzeba ją podregulować, strasznie ważna się zrobiła pani profesorowa cholerna: nawala, nie przychodzi, struga niedotykałską. Zapomniała, jak niedawno o mało co nie wsadzili jej do mamra za handel dolarami na Węgrzech. Gdyby nie ja, do dzisiaj musiałaby się porządnie zdzierać, żeby zarobić na kiecki i futra. Nigdy nie przypuszczałem, że ten stary piernik profesor się z nią ożeni. Całe jej szczęście, że ma serce po prawej stronie i że była ciekawym przypadkiem klinicznym, mogłem ją łatwo jemu podsunąć. Myślałem, że nadam jej nadzianego

klienta: raz, dwa i po wszystkim. A tu masz: klops, wielka miłość i ożenek. Trzeba teraz jak najwięcej z nich wycisnąć. A tak naprawdę – to przydałby się jakiś większy skok. Warto by się też starej nareszcie dobrać do skóry. Tylko co to za typ tam u niej teraz siedzi w chałupie? Wzięła sobie na starość młodego chłopca, czy co? Muszę to jak najszybciej sprawdzić.”

Spuścił nogi z tapczanu i wstał. Kiedy się wyprostował, prawie dotykał głową sufitu. Oprócz skarpetek miał na sobie tylko kąpielówki importowane z Austrii. Zrobił kilka przysiadów i wydechów dla podtrzymania kondycji i przyjrzał się sobie z uznaniem w lustrze. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, mięśnie grające pod napiętą, złocistą skórą, tors gladiatora, wąskie biodra, twarz o regularnych rysach, mgiełka w szafirowych oczach a la Richard Burton, cyniczny i zdobywczy uśmiech na pełnych wargach – to wszystko działa i podoba się kobietom. Nagle ogarnęła go złość, że wciąż tkwi w takich marnych warunkach. Na przykład to mieszkanie... Ma co prawda swoje dobre strony, jest samodzielne, położone z daleka od ludzi, ale to właściwie psia buda. Zamelinował się tutaj od razu po śmierci ojca, w kantorku jego warsztatu, który uległ likwidacji, w miejscowości podwarszawskiej Piastowie. Obgadał wszystko z właścicielem posesji i wynajął ją wraz z pozostałą częścią budynku. Resztę właściciel rozebrał, sprzedał i wywiózł cegłę, a o więcej na razie nie dbał, kontentując się wniesioną opłatą. Najważniejsze, że nikt się tu do niego nie wtrącał, okolica była pusta, nawet nie potrzebował się meldować. Jednak pomieszczenie było małe, trzeba je było opalać węglem, więc traktował je tymczasowo i teraz miał już zupełnie dosyć. Zresztą w

głowie jego dojrzewały fantastyczne, a później coraz bardziej realne plany na przyszłość. Z natury był leniwy, kiedyś próbował imać się pracy zarobkowej. Najpierw po rzuceniu nauki w szkole praktykował w warsztacie ojca, potem po jego śmierci przepuszczał po nim spadek, a kiedy już to uczynił, zaangażował się parę razy do kilku zakładów przemysłowych bądź jako goniec, bądź jako niewykwalifikowany robotnik, ale perspektywa żmudnego dorabiania się jakiej takiej pozycji życiowej nie przypadła mu do smaku. Zaczął więc eksploatować kieszeń... swojej macochy – adwokat Anny Hortowskiej, która wreszcie po długich, bezskutecznych usiłowaniach skłonienia go do zajęcia się czymś pożytecznym odmówiła dalszych subsydiów. Wówczas w pierwszym rządzie zaprzysiął jej zemstę, a następnie zajął się różnymi ciemnymi interesami i wiódł aż po dzień dzisiejszy żywot niebieskiego ptaka, któremu skrzydeł dodawały rozliczne kontakty z piękną. Dokonywane podboje utwierdziły go w przekonaniu, że taki facet jak on niesamowicie marnuje się w rodzinnym kraju. Niewątpliwie najekskluzywniejsze hotele świata powinny go gościć w swych podwojach jako cenniego i honorowego gościa, wytworne limuzyny unosić po słonecznych autostradach południa, a amerykańskie milionerki obwozić jachtami po szmaragdowych oceanach. Oczyma wyobraźni niejednokrotnie widział już siebie w białym smokingu, za stołem kasyna gry w Monte Carlo, u boku obwieszanej platynowymi lisami Elisabeth Taylor. Jednak do zrealizowania tych marzeń potrzebna była niemała ilość gotówki w walucie obcej. Dlatego wiązał duże nadzieje z osobą Magdy Grąszycowej – dziewczyny, którą zupełnie nieoczekiwanie „wydał za mąż” za słynnego kardiologa, profesora Wojciecha Grąszycy – bliskiego i

dobrego znajomego swojej macochy.

Właśnie zamierzał nastawić płytę z piosenkami w wykonaniu zespołu Abba, kiedy usłyszał za oknem warkot nadjeżdżającego samochodu.

– Nareszcie – powiedział, otwierając drzwi.

Magda wbiegła tanecznym krokiem: wysoka, smukła, o rozkołysanych biodrach, włosach koloru dojrzałego zboża, spływających na ramiona, i „fioletowych” oczach, błyszczących w opalonej na brąz twarzy. Ubrana była w kostium z zielonego zamszu, przezroczystą bluzkę, wężowe czółenka na nadnaturalnie cienkim obcasie rodem z komisu, i rozsiewała wokół siebie zapach najlepszych perfum Christiana Diora. Chciał ją przycisnąć do siebie, ale roześmiała się i wywinęła zręcznie.

– Jak uważasz – mruknął i rzucił się na tapczan.

Usiadła koło niego i sięgnęła do torebki.

– Ile przyniosłaś? zapytał rzeczowo.

– Trzy tysiące. Masz! – cisnęła w niego zwiniętymi banknotami.

Zaniemówił z wściekłości.

– Ty, Magda – powiedział wreszcie sapiąc – czy ty czasem nie masz zamiaru mnie wykiwać? Optywasz we wszystko, jak pączek w maśle, tarzasz się w forsie, kąpiesz w perfumach, a mnie częstujesz ochłapami. A przez kogo masz to, powiedz? Przeze mnie, tylko przeze mnie! Gdybym nie poprosił Hortowskiej – profesor nigdy by cię nie wziął do siebie na oddział w szpitalu. Nawet byś do jego przedpokoju nie weszła.

– Czy ty będziesz całe życie mi to wypominał? Mógłbyś się nareszcie przestać wygłupiać.

– Wolnego! Przecież była umowa, że będziemy się wszystkim dzielić do połowy. Czyżbyś już nie chciała

razem ze mną prysnąć? Jak widzę zakochałaś się w tym swoim starym dziadku.

– Jakis ty głupi – powtórzyła, tym razem z dźwięcznym śmiechem. – To kompletny ramol. Po prostu nie mam dzisiaj więcej pieniędzy. On nie zarabia tak dużo, jak myślisz. Zresztą przerobił mieszkanie i buduje daczę. Mnie daje tylko na kiecki.

– A złoto? Przywiozłaś przecież kupę z Turcji.

– Pozwól mi trochę ponosić. Później się podzielimy – nagle przytuliła się do niego i pozwoliła się pocałować, ale kiedy położył rękę na jej udzie, odepchnęła go gwałtownie.

– Masz jakiegoś innego frajera, czy jak? – zdziwił się.

– Nieważne. Może? Dzisiaj się śpieszę.

– Poczekaj – syknął. Znów wzbierała w nim złość. – Porozmawiajmy o interesach. Nie wierzę w te głupie gadki o braku forsy, złych zarobkach i tak dalej. Muszę mieć szmal i tobie chyba też na nim zależy. Nie chciałybyś przecież, żeby twój uroczy mąż dowiedział się o naszych randkach. Na pewno ma harmonię dalców. Powinnaś go stale dusić, inaczej nigdy stąd nie wyjedziemy. A ja się zabiorę za moją starą. Ona też jest cholernie nadziana. Baba dużo zarabia i ma gdzieś schowaną forszę, szkoda, żeby się zmarnowała. Ostatnio wyremontowała tę chałupę pod Nasielskiem. Wiesz, ona tam mieszka z jakimś chłopem, przyjechał do niej niedawno. Ciekawe, kto to jest? Muszę się koniecznie dowiedzieć. Pożycz mi na jutro fiat, zgoda?

– Zgoda i nie złość się.

– Masz pojęcie? Ja jej chyba wyrznąłem niezły kawał. Ona się chyba kochała w twoim starym,

– Mowa! Nie wierzę! Była jego kochanką?

– E... może nie. Ostatecznie on też ma oczy... takie stare pudło. Ale dzwonili do siebie, widywali się i tak dalej.

– Wiesz ty co? – Magda podwinęła nogi na tapczanie, oczy jej zalśniły złym blaskiem, jak u rozdrażnionego kota – zaproszę ją do siebie. Będzie musiała do nas przyjść. Profesorowa Grąszycowa urządza cocktail party, na który łaskawie prosi mecenas Annę Hortowską, pozwalając jej przestąpić progi swego domu. Jak ci się to podoba? – zaniosła się głośnym, drażniącym śmiechem. – Zobaczycy ich we dwoje razem – to będzie fantastyczne!

– Ją to chyba szlag trafi – podsumował Rytniak – tylko co mnie z tego przyjdzie?

Rano czuł się już znacznie lepiej. Na starej, pluszowej kanapie spało mu się dobrze, bez zmór i widziadeł, które go ostatnio prześladowały. Wokół panowała cisza i spokój, z daleka tylko dobiegało poszczekiwanie psa, a do okna stukwały gałęzie drzewa. Ból w nodze jakby się przyczaił, stępiał, dając mu chwilę upragnionego wytchnienia. Wstał, zwiedził dom od strychu aż do piwnic. Wszędzie napotykał do niczego nieprzydatne już graty, paki, skrzynie zapchane różnymi szpargałami, listami, fotografiami, szmatami, które ocalały tylko dlatego, że nie połakomił się na nie już żaden złodziejaszek. Poza nim nikogo nie było, nawet psa ani kota, schody trzeszcząc i skrzypiąc uginały się pod jego nogami, w nie użytkowanych od dawna pomieszczeniach unosiły się za lada poruszeniem tumany kurzu. Poczul głód i powędrował do kuchni. Znalazł pieczywo, masło, dżem, jajka, herbatę ekspresową i napoczętą paczkę kawy. Usmażył sprawnie jajecznicę, gdyż od szeregu lat przyzwyczajony był do samotności poza

krótkimi okresami, kiedy mieszkał z jakąś dziewczyną, z którą na ogół rozstawał się bez najmniejszego żalu, popił kawą, przegryzł chlebem i wrócił do pokoju, w którym spędzał noce. Tu uwagę jego przykuła komódka z mosiężnymi okuciami, na ozdobnych, wygiętych nóżkach, posiadająca liczne uszkodzenia, ale niewątpliwie reprezentująca jakiś styl. Nie był znawcą w tej dziedzinie, ale wydawało mu się, że był to chippendale. Odruchowo wyciągnął pierwszą szufladę. Nie szukał pieniędzy, nie miał zamiaru kraść, tak nisko jeszcze nie upadł, zresztą przywiózł ze sobą kilka dolarów. Po prostu nudziło mu się. Chętnie przejrzałby jakieś albumy z rodzinnymi zdjęciami. A może znajdzie wśród nich fotografię swego ojca lub jakiś inny ślad, który doprowadzi go do rozwiązania dręczącej tajemnicy. W głębi szuflady zobaczył gruby brulion w czarnej, ceratowej oprawie, zapisany gęstym, wyrobionym pismem. Początkowo chciał go odłożyć, ale kilka słów rzuciło mu się w oczy i sprawiło, że pograżył się bez reszty w czytaniu jak w lekturze pasjonującej powieści.

– No, no, kto by pomyślał, że ona pisze pamiętnik – mruknął, pochłaniając kartkę po kartce – miejmy nadzieję, że poznam całą prawdę. Może jestem świnia, ale nie mam innego wyjścia.

„Imieniny mojej matki obchodzone były w naszym domu jako święto narodowe. Kilka dni przedtem trzepano dywany, tapicer rozwieszał świeżo uprane firanki, służąca ślizgała się na suknoch po błyszczących posadzkach, czyszczono srebrną zastawę, tace z plateru, wymiatano pył spod każdego mebla. Matka celowała w wynajdywaniu najmniejszego śladu kurzu, wkładała palce pod fortepian i fotele, aby udowodnić służbie, że jest niechlujna i nie ma pojęcia o sprzątaniu. Na co dzień nie miała na to czasu,

gdyż pochłaniały ją inne zajęcia: śpiew koloraturowy, fryzjer, krawcowa, kosmetyczka, spotkania w kawiarniach, brydże, przyjęcia, teatry, ale w ten dzień wymagania jej urastały do gigantycznych wymiarów, stawała się przykra; dokuczliwa, krzykliwa. Kucharka, sapiąc, przygotowywała pieczone prosiaki, bażanty, kuropatwy, kurczaki. Sterty pokrajanego mięsa wyfruwały spod jej tłustych rąk: soczyste schaby, rozbeł, szynka, polędwica, salami. Tonęła w powodzi jarzyn, sosów, owoców, wyczarowywała jak alchemik z rozżarzonego pieca w kuchni torty i ciasta. Kuchnia w ogóle w tym czasie stawała się sanktuarium, do którego pod karą śmierci, a przynajmniej bolesnego klapsa, nie wolno było mi wchodzić. Mieszkanie przybierało niecodzienny, trochę zaczarowany wygląd. W stołowym, wielkim i ciemnym, z małym, ukośnym balkonem, wychodzącym na podwórze, rozbłyskiwały wszystkie światła, rozstawiano ogromny stół na kilkadziesiąt osób, powlekano śnieżnobiałymi obrusami, nakrywano rozenthalowskimi talerzami, załadowywano srebrem i platerem. Kryształ na kredensach migotały tęczowymi blaskami, niebiesko-białe delfty nadymały pyzate oblicza, ramy obrazów krzyczały ostrym złotem na ciemnych tapetach. Ojciec mój był inżynierem, właścicielem niezłe prosperującej firmy budowlanej i w owym czasie mógł spełniać liczne kaprysy i zachcianki mojej matki. Tajemnica polegała na tym, że był od niej o kilkanaście lat starszy, nie odznaczał się zbyt okazałym wzrostem, natomiast coraz bardziej zaokrąglającym się brzuszkiem i starannie maskowaną łysiną na czubku głowy; matka zaś wysoka, czarnowłosa, o melancholijnych, szafirowych oczach uchodziła w jego przekonaniu za piękność. Poza tym posiadała talent, co

wówczas stanowiło niebywały walor towarzyski, ukończyła bowiem klasę śpiewu w Konserwatorium Warszawskim i na wszystkich przyjęciach czarowała licznie zebrane audytorium swoim wysokim „c”, ojciec zaś pęczniał z dumy i wodził za nią zachwyconym spojrzeniem. Wszystko to nie przeszkadzało im kłócić się zajadle na co dzień, szczególnie na temat zbyt wygórowanych – zdaniem ojca – wydatków na dom, stroje, gości, podróże i biżuterię. Jednak imieniny matki stanowiły osobny rozdział w historii ich życia. Odkładano na bok wszelkie kłopoty, problemy i rozpoczynano przygotowania do wielkiej batalii imieninowej. Co prawda święto to poprzedzał zazwyczaj ożywiony dyskurs polegający na tym, że matka domagała się zaproszenia na przyjęcie również uboższej i mniej reprezentacyjnej części swojej rodziny, a ojciec stanowczo się temu sprzeciwiał, kończyło się jednak na tym, że niezmiennie ulegał jej woli. Podejrzewamy że matka lubiła błyszczeć przed gorzej usytuowanymi życiowo krewniakami dobrobytem i przyprawiać ich o ataki zazdrości, ojciec natomiast wolał otaczać się inżynierami, adwokatami, lekarzami, których było stać na wysoki poziom życia. Tak czy inaczej pomiędzy paniami z tego towarzystwa istniała zaciekle rywalizacja o wystawność przyjęć, bogactwo wystroju mieszkań i ich okazjonalną dekorację i dlatego imieniny urastały do rangi wydarzenia. Już od samego rana brzęczały telefony i dzwonki u drzwi wejściowych. Posłańcy przynosili kosze kwiatów, przeważnie różowe i czerwone azalie, które ustawiano pośpiesznie dumnym szpalerem wzdłuż największej ściany w salonie, służące fruwały po wyglansowanych posadzkach, przenosząc nerwowo różne drobiazgi z miejsca na miejsce pod dyktando

szalejącej pani domu, ojca wyganiano z domu, wnoszono owoce zamówione w sklepach kolonialnych, doprawiano na ostatnią chwilę alkohole. O mnie na ogół nikt nie pamiętał. Zresztą przez nasz dom przewijał się zazwyczaj taki tłum ludzi, że osoba moja nigdy nie była w centrum zainteresowania za wyjątkiem przypadków, kiedy dostawałam wysokiej gorączki i trzeba było wezwać do mnie lekarza. Matka często przyglądała mi się jak jakiemuś dziwnemu, osobliwemu stworowi, nie byłam bowiem do niej podobna i nie zapowiadałam się na ozdobę salonów, w związku z czym patrzyła na mnie coraz rzadziej i raczej z konieczności. Wtedy najchętniej chroniłam się do pokoju dziecinnego. Tam czekał zawsze na mnie mój brat. Był ode mnie młodszy i wyglądał prawie tak, jak jedna z moich licznych lalek. Od dzieciństwa był piękny, posiadał wszystko to, czego mnie brakowało: białą, gładką skórę, zgrabne, małe dłonie, smukłe nogi, szlachetne rysy twarzy. Dziwna rzecz, że nikt nie zwracał na niego uwagi, był dzieckiem cichym, samotnym, zapomnianym. Kochałam go tak bardzo, że często nie mogłam się od niego oderwać. On też wołał mnie od wszystkich innych osób na świecie. Przez długi czas nie mógł chodzić i ja się nim wyłącznie opiekowałam, był całkowicie ode mnie zależny i tym mi droższy. Nie potrzebowaliśmy ze sobą rozmawiać, a rozumieliśmy się doskonale. Mimo iż był tak mały, mogłam mu powierzyć wszystkie swoje smutki i troski. Patrzył na mnie wtedy wielkimi, niebieskimi oczami, w których, jak w powierzchni wody, odbijało się światło księżycy, i obejmował moją rękę drobnymi, chłodnymi paluszkami. Kiedy byliśmy razem, nic więcej nie brakowało mi do szczęścia. Byłam brzydka, nieudana i wiedziałam o tym,

ale dla niego to nie miało znaczenia.”

Przerwał na chwilę i odłożył na bok brulion. Wydało mu się, że słyszy szelest za oknem, ale to wiatr załomotał gałęzią drzewa.

– Proszę, proszę – kiwnął ze zdumieniem głową, wracając do czytania – nie wiedziałem o tym, że mam wujaszka. To może być interesujące.

„Najchętniej bawiliśmy się w podróżników. Nocą, kiedy nikt nas nie słyszał, rozkładaliśmy na podłodze wielki atlas geograficzny i wodziliśmy po nim palcami. Jeździliśmy na rozświetlone Baleary, na wyspę Bali, na Hawaje. Pędziliśmy nadzy, wysmagani przez wiatr i słońce po piaszczystych plażach, pod palmami i cytrusami, tańczyliśmy w oliwnych gajach, zrywaliśmy z drzew pomarańcze. Szczególnie podobała się nam nazwa wyspy na Antylach – Gwadelupa. To brzmiało tak egzotycznie, nasuwało same niezwykle skojarzenia. Często nocami wybieraliśmy się na Gwadelupę: ja i mój brat Zbigniew. Tego roku, kiedy matka urządziła swoje ostatnie, huczne imieniny, miałam zostać zaprezentowana publicznie gościom w charakterze obiecującego talentu pianistycznego. Skoro nie byłam ładna, trzeba było zaimponować znajomym moimi zdolnościami w dziedzinie muzyki. Akompaniator matki, barczysty brunet o zrosniętych brwiach i cienkich binoklach na grubym nosie, którego organicznie nie znosiłam, gdyż skóra jego wydzielala drażniący mnie zapach, wyuczył mnie na pamięć preludium Pachulskiego. Nie przyszło mi to łatwo i niejedną łzę połknęłam nad klawiaturą, ale w końcu doszłam do jakiejś takiej perfekcji i preceptor mój uznał, że dojrzałam do publicznego występu. W związku z tym wiekopomnym wydarzeniem ubrano mnie w białą

sukienkę, przewiazaną szarfą, w której wyglądałam jak tyczka chmielu, i wypuszczono na salony. Musiałam prezentować się okropnie, bo matka przeistoczona już w czarodziejską zjawę, utkaną z lamy, koronek i brylantów, owiana oszałamiającym zapachem perfum, nieomal z obrzydzeniem poprawiła mi przekrzywioną na czubku głowy kokardę i powiedziała:

– Mogłabyś przynajmniej nie robić takiej przerażonej, idiotycznej miny. I przestań się wreszcie kręcić, że bym nie musiała cię potem szukać. – Po czym wepchnęła mnie między fotel i serwantkę i spłynęła do drugiego pokoju. Stamtąd dobiegł mnie jej głos:

– Wiesz, Kaziu, Anka mnie przeraża. To dziecko spojrzało na mnie takimi oczami, jakby chciało mnie zamordować.

Ojciec jakoś nie zareagował na tę uwagę, bo chrząknął i powiedział:

– Słuchaj, Sabino, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

– Chyba oszalałeś. Teraz? Kiedy za chwilę mają przyjść goście?

– Tak, teraz. Później będziesz tak zajęta, że nie będziesz miała dla mnie ani chwili czasu przez najbliższy tydzień. Jest taka sprawa: nie gniewaj się, ale nie będę mógł kupić ci tej kolii z brylantów i... – tu głos mu się załamał – i niestety będę musiał wycofać zadatek na twoje nowe karakuty od Chowańczaka.

W gabinecie zaległa nagle cisza, a potem rozdzwonił się koloraturowy sopran matki: – Jesteś okropny! Jesteś szalony! Jak możesz mi to robić! W czym pójdę do doktorstwa Trzepakowskich?! Ona dostała teraz kolekcję szmaragdów od męża, a Bundziłłowa ma nowe kolczyki

czterokaratowe. Czyś ty zwariował?! Myślisz, że będę trzeci rok nosiła to samo futro?! Dla twojego widzi mi się?! Ani mi się śni!

– Ależ, dziecko. Masz przecież foki, bagdady i brajtszwance. Niestety, zrozum, moje interesy nie idą najlepiej. Zawsze ci mówiłem, że żyjemy ponad stan.

– Ach! Po co za ciebie wychodziłam?! Moja matka miała rację, kiedy mi odradzała! Jeśli nie będę miała nowych karakułów, to będę się wstydziła wyjść na ulicę. Ja tego nie zniosę! Ja tego nie przeżyję!

– W takim razie, dowiedz się! Jestem niewypłacalny! Przed chwilą telefonował Baumschlag. Daje moje weksle do protestu!

– O Boże! Mój mąż ogłasza bankructwo w dniu moich imienin. Czego ja doczekałam! Czuję, że zaraz dostanę ataku serca! Jak ja się teraz ludziom na oczy pokażę?!

Jednak zapowiadany atak nie nastąpił, gdyż w tej samej chwili rozszalały się dzwonki u drzwi wejściowych, przedpokój wypełnił gwar głosów i wydekoltowane, wybrylantowane pary zaczęły wpływać jedna za drugą do salonu. Siedziałam skulona w kucki w moim schowku za fotelem i byłabym tam przesiedziała resztę wieczoru, gdyby energiczna pokojówka Frania nie wepchnęła mnie między gości. Było ich mnóstwo: kobiety przeważnie tęgie, wydekoltowane, połyskujące lamami, obwieszone biżuterią, wyfryzowane, pachnące, o szklanych, obojętnych spojrzaniach i wystudiuowanych uśmiechach na wargach, mężczyźni we frakach lub smokingach, opaśli, natychmiast po wejściu sięgający po cygara, a pośród nich – wyświeżony, jasnowłosy, zdobywczy oficer w szaserach, królujący nad wszystkimi wzrostem, urodą i powodzeniem. Znałam go

dobrze, przychodził do nas często. Nienawidziliśmy go ze Zbigniewem oboje z całej duszy. Nie podobał mi się sposób, w jaki patrzył na moją matkę, w jaki się uśmiechał, kiedy była w jego pobliżu, nie znosiłam wyrazu twarzy matki, gdy stykały się ich ręce. Kiedyś, gdy chciał mnie pogłaskać po głowie, ugryzłam go w palec. Matka wtedy uderzyła mnie w twarz.

Odtąd często ze Zbigniewem w nocy snuliśmy plany zemsty, rozkoszowaliśmy urojonymi obrazami wbijania go na pal przez dzikie hordy Tatarów, rozstrzeliwania przez pluton egzekucyjny, ewentualnie palenia na stosie przy dźwiękach tam-tamów.

Tego wieczoru był jednak bardziej uroczy niż kiedykolwiek, kobiety gromadziły się wokół niego, wybuchając salwami nerwowego, podnieconego śmiechu, a matka rozpromieniona u jego boku zdawała się zapomnieć o grożących jej klęskach. Wszyscy byli tak zajęci sobą, rozśpiewani, roztańczeni, że nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tylko dwie starsze panie, które rozmawiały zazwyczaj wyłącznie o hodowanych przez siebie psach – dobermanach, zamilkły na mój widok. Kiedy zniknęłam z pola ich widzenia, ukryta za rozłożystą palmą, jedna z nich powiedziała konfidencjonalnie do drugiej, lecz tak głośno, że mogłam ją usłyszeć: – Ależ ta mała Hortowskich jest brzydka. Ani trochę wdzięku w tym dziecku. Na pewno nic z niej nie wyrośnie. – I roześmiały się obydwie, jakby to stwierdzenie wyjątkowo je ucieszyło.

Chciałam uciec, ale przywleczono mnie siłą do fortepianu. Wszyscy ucichli w oczekiwaniu na mój występ. Widziałam ironiczne grymasy na ich wargach, pod powłoką udanej serdeczności. Wyglądali jak stado rozjuszonych

zwierząt czekających na swój łup. Początkowo chciałam grzmotnąć w fortepian, powyrywać klawisze, a w najlepszym wypadku wywalić na nich język, ale wpajane mi zasady dobrego tonu zwyciężyły, dziki tłumek odplynęł gdzieś w dal i zaczęłam grać. Grałam, jak nigdy dotąd, sama dla siebie, a nie dla nich, grałam dobrze, bezbłędnie, najlepiej w życiu, gdyż nigdy już więcej nie tknęłam fortepianu. Widocznie im się podobało, gdyż bili długo brawo, a stary pułkownik o mlecznej czuprynie, znany w szerokich kręgach towarzyskich jako meloman-kompozytor, pocałował mnie w czoło. Wymknęłam się do dziecinnego pokoju najszybciej, jak tylko mogłam, zanim jeszcze zaczęto tańczyć. Tej nocy długo, gorzko płakałam i zasnąłam z piąstką Zbigniewa w mojej dłoni.

Niedługo potem nasz dom rodzinny przestał istnieć, a rodzice niespodziewanie i wstydliwie zniknęli z mego życia. Kiedy z walizką w rękę przestępowałam próg dworku „Malwiny” konwojowana przez zapłakaną Franię, nie bardzo jeszcze zdawałam sobie sprawę z nieodwołalności tego, co się stało. Babka, matka ojca, w moich oczach niesłuchanie stara, zamknęła mnie w krótkim, rozpaczliwym uścisku i przeszła nad wszystkim do porządku dziennego, tylko jej siwa głowa, z natury dumnie osadzona na długiej, zmarszczonej szyi, opadła nieco w dół, jakby pod naporem druzgocącego ciosu. Odtąd mieszkaliśmy ze Zbigniewem w niewielkim pokoiku na piętrze, skąd rozciągał się widok na grządki warzyw, starannie pielęgnowane przez babkę, i na krzaki jaśminu. Najważniejsze jednak, że dalej byliśmy razem, że nas nie rozłączono. Nocą, kiedy w pokoju srebrno było od blasku księżyca, mogliśmy jak dawniej podróżować na wyspy południa.”

Tym razem nie mógł się mylić. Wyraźnie usłyszał ostrożne, skradające się kroki na werandzie. Odłożył brulion i w kilku susach dopadł okna. Jednak nikogo nie było. Wzruszył ramionami, zapalił papierosa i rozciągnął się na kanapie.

Rozdział trzeci

Mecenas Anna Hortowska siedziała przy biurku w swoim mieszkaniu z głową opartą na rękach. Od paru chwil zdawało jej się, że nie jest sama, że koło niej znajduje się Zbigniew, silny, opiekuńczy, władczy, umiejący zdobyć się na nieoczekiwaną decyzję, której sama nigdy nie umiałaby podjąć, wprost dotykalnie czuła jego obecność i bliskość. Nagle telefon rozdzwonił się natarczywie. Nie podnosiła słuchawki. Była tak wyczerpana i zmęczona, że nie miała siły ani chęci na rozmowy z ludźmi. Klienci, ich sprawy, kłopoty, zbliżające się terminy rozpraw, wszystko to, czemu poświęcała dotąd cały swój czas bez reszty; teraz wydawało się jej nierealne i mało znaczące. Wczoraj przeżyła ostry atak duszności, charakterystyczny dla zaawansowanej choroby wieńcowej. Mimo to nie zwróciła się o pomoc lekarską. Jedynym kardiologiem, do którego miała zaufanie, który ją od wielu lat leczył, był profesor Wojciech Grąszyc, ale teraz, kiedy kontakt między nimi był zerwany, nie mogła i nie chciała udać się do niego wyłącznie w roli pacjentki. Telefon brzęczał nieustannie. Ktoś po drugiej stronie drutu był cierpliwy i nieustępliwy.

- Słucham – powiedziała wreszcie.
- To ty, Anno? Dzień dobry. Od kilku dni nie mogę się do ciebie dodzwonić.

Chore serce załomotało gwałtownie i boleśnie. Przez chwilę nie mogła wydobyć z gardła ani słowa.

– Anno, czy mnie słyszysz?

– Tak, oczywiście... słyszę.

– A może źle się czujesz? Czy nie jesteś chora?

„Co mówić, jak z nim rozmawiać? – przemknęło jej błyskawicznie przez myśl. – Jak zareagować na tę sztuczną, udaną troskliwość objawiającą się nagle po sześciu miesiącach milczenia?”

– To nie ma znaczenia. Zresztą nic mi nie jest. Po prostu ostatnio wyjeżdżałam...

– Anno, przepraszam, że się tak długo nie odzywałem, ale mam obecnie dużo pracy...

„Oczywiście, mężczyzna, który ożenił się z młodszą od siebie o trzydzieści trzy lata dziewczyną, na pewno ma masę ciekawych zajęć. Co za podłość, co za perfidia, że mnie w ten sposób dręczy!”

– Anno, dlaczego nic nie mówisz? Trudno mi jest usprawiedliwiać się przed tobą, ale musisz wiedzieć, że niedawno otworzyłem prywatną praktykę, a to pochłania mnóstwo czasu...

„A więc odstąpił od swoich szczytnych zasad krystalicznego naukowca, stał się zwykłym groszorem po to, żeby młodej żonce kupować zagraniczne ciuchy, żeby była zadowolona ze starego męża, żeby go czule pieściła. Co za obrzydliwość, potworność! I pomyśleć, że to właśnie ja sama wpakowałam mu tę dziewczynę w objęcia.”

– Rozumiem cię doskonale i słucham. Zapewne masz do mnie jakiś interes?

– Ale po co tak oficjalnie? Dzwonię do ciebie w zupełnie prywatnej sprawie.

– Ach, tak? A więc?
– Widzę, że jesteś niezadowolona z mojego telefonu. Szkoda, myślałem, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Słuchaj, chciałbym się z tobą zobaczyć, a właśnie nadarza się dobra okazja. Magda i ja urządzamy niewielkie przyjęcie, pierwsze po naszym ślubie. Tylko dla ścisłego grona najbliższych. Takie małe obławanie nowo urządzonego mieszkania. Otóż, zapraszam ciebie do nas w imieniu Magdy i moim. Myślę, że nam nie odmówisz.

„To zastanawiające, do jakiego stadium ogłupienia może dojść stateczny i światły człowiek. A może wspólnie wynaleźli specjalną metodę doprowadzenia mnie do szaleństwa? W każdym razie to niesłychana bezczelność!”

– Dlaczego znów nic nie mówisz?
– Naprawdę zaskoczyłeś mnie. Zastanawiam się, co ci odpowiedzieć.

– Czy to takie skomplikowane?
– Widzisz – w cywilizowanym świecie istnieją pewne formy towarzyskie, których mimo wszystko należy się trzymać. Uważam, że to ja pierwsza mam prawo oczekiwać wizyty ze strony nowo zaślubionego małżeństwa, szczególnie przy tak znacznej różnicy wieku ze strony...

– Nie wracajmy do tego tematu i nie bawmy się w konwenanse. Chyba zbyt długo się w końcu znamy. A więc, Anno, pragnę usłyszeć twoją odpowiedź.

– Jeżeli tak stanowczo się domagasz... Nie i jeszcze raz – nie.

– A więc, odmawiasz?

– Wybacz mi, proszę...

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Anna

zastanawiała się, czy nie odłożyć słuchawki. Pierwszy odezwał się Grąszyc.

– Aniu, bądź rozsądna, nie psuj naszej wieloletniej przyjaźni... Tak bardzo chciałbym z tobą porozmawiać. Czyżbyś miała do mnie żal? To nie ma sensu. Proszę, zgódź się. Bardzo zależy mi na tym, żebyś nas odwiedziła.

„Nuta niekłamane go zawodu, szczerego żalu czy urażonej dumy? A jeżeli on mnie naprawdę potrzebuje? Jeżeli szuka moralnego wsparcia, którego ma prawo oczekiwać od osoby, z którą łączy go wieloletnia zażyłość? Dlaczego w takim razie nie proponuje mi spotkania sam na sam? Być może chce sadystycznie pochwalić się przede mną swoim nowym szczęściem? Nie wiem... nic nie wiem...”

A jednak Anna zawahała się: – O ile ci naprawdę tak na tym zależy... – powiedziała z ociąganiem – może...

– A więc przyjdiesz, doskonale – ucieszył się, nie czekając na dalszy tok odpowiedzi. – Magda będzie zachwycona. Prosimy w czwartek, najbliższy czwartek, o dziewiętnastej. To chyba nie będzie za wcześnie, prawda? Anno, a może ty jednak nie czujesz się dobrze? Mam nadzieję, że byłaś na badaniach kontrolnych? Wiesz, że jak zwykle możesz położyć się w razie potrzeby u mnie w szpitalu na moim oddziale. Mówiłem o tobie z doktorem Łusiewiczem i gdybyś tylko chciała...

– Dziękuję za troskliwość. Proszę, nie martw się tak o mnie.

– A więc – do czwartku. Wybacz, że muszę już kończyć, ale pacjenci czekają.

Długo siedziała nieruchomo pogrążona w zamyśleniu. Zrobiło się ciemno, ale nie zapalała lampy. Nigdy nie umiała niczego odmówić Wojciechowi, mimo iż tyle razy

okrutnie i boleśnie ją zranił. Mężczyźni w ogóle mieli druzgocący wpływ na jej życie: ojciec, który odszedł w dzieciństwie, w okresie kiedy najwięcej go potrzebowała, brat – tak bliski jej sercu, pojawiający się i znikający jak mgliste, nierealne zjawisko, niekochany mąż-inwalida, z którym spędziła pozbawione szczęścia osiem lat, pasierb, którego nie umiała i nie chciała wychowywać – głupi, pozbawiony skrupułów naciągacz – i wreszcie przyjaciel, ten jedyny, z którym związała się bez reszty ciałem i duszą. I on zawiódł. Właściwie sama, wszystkiemu była winna. Tak piękna była ich przyjaźń w ostatnich piętnastu latach od śmierci jego żony Ewy, ciepła, serdeczna, mimo iż pozbawiona erotyzmu, silna, duchowa więź pomiędzy dwoma kompanami. Nie było niemal dnia, żeby nie rozmawiali ze sobą, choćby tylko telefonicznie. Zawsze słyszała jego krzepiący głos, szczerze, dobre słowa otuchy, kiedy była chora albo przemęczona. W powodzi pracochłonnych zajęć, wykładów, sympozjów, naukowych porad, wrywał zawsze chwilę czasu, aby się z nią skontaktować. Mówili sobie o wszystkim, co ich spotykało na co dzień, zwierali z drobnych trosk i poważnych problemów, mieli sobie nieustannie tyle do powiedzenia. I nagle stało się! Straciła go przez własną głupotę! Uwierzyła Ryszardowi, kiedy zagrał przed nią komedię rozpaczy nad ukochaną dziewczyną, z którą rzekomo miał się żenić, chorą, o przemieszczonym sercu, skazaną na przedwczesną śmierć bez odpowiedniego, specjalistycznego zabiegu chirurgicznego. Poleciała ją profesorowi Grąszycowi, który umieścił ją na swoim oddziale w szpitalu. I oto wyniki tej uczynności. Ta dziewczyna była sprytna, szatańsko sprytna, mała oszustka, silniejsza od niej, bo zbrojna w młodość

i urodę: W krótkim czasie potrafiła zawładnąć tym poważnym, cenionym naukowcem, który okazał się zwykłym samcem, łasym na powaby młodego, rozpustnego ciała, szukającym wyłącznie zaspokojenia zmysłów, kosztem wszystkich innych uczuć. Nie!... Nadal nie mogła spokojnie o tym myśleć. Czuła, że znów za chwilę dostanie ataku duszności. Co prawda w jej życiu jest jeszcze syn – istota zdawałoby się najbliższa, z którą powinna rozpocząć nowe życie, aby nie czuć się samotną i opuszczoną. A jednak to niemożliwe. Ten chłopak, który pojawił się tak niespodziewanie i nieoczekiwanie, musi natychmiast wyjechać z Warszawy i jej okolic, raz na zawsze zniknąć. Do niedawna była pewna, że spełniła wobec niego macierzyński obowiązek, zapewniając mu w dzieciństwie właściwą opiekę i warunki materialne, umożliwiające dobry start na przyszłość, ale okazało się, że on nie umiał tego wykorzystać. Nagły jego powrót mógł spowodować nieobliczalne w skutkach następstwa, a do tego nie wolno było jej dopuścić. Za żadną cenę...

Ból sphywał gorącymi, przenikliwymi falami wzdłuż łądzwi, aż do stopy. Po długich poszukiwaniach znalazł w kuchni fiolkę z aspiryną, połknął dwie tabletki, nalał do szklanki esencji herbacianej, zalał zimną wodą i pośpiesznie wypił, a potem pokuśtykał znów do pokoju. Po pewnym czasie poczuł znaczną ulgę. Usiadł w fotelu, wyciągnął sztywno chorą nogę i sięgnął po czarny brulion.

„Kierowniczką szkoły, do której uczęszczałam w miasteczku, zniechędziła mnie od pierwszego wejrzenia. Nie podobały się jej moje włosy, bo były za długie, suknia – bo była za krótka, spojrzenie – bo było bezczelne, słowem

– wszystko. Zarzucała mi, że prowadzę niechlujnie zeszyty, że jestem leniwa, niegrzeczna, arogancka. Robiła mi niezliczone, niesłuszne uwagi przy wszystkich dzieciach, targała za uszy, stawiała do kąta. Przypuszczam, że głównym powodem jej negatywnego stosunku do mojej osoby był fakt, że wyraźnie nudził mnie sposób, w jaki prowadziła lekcje, że nie mogła mnie złapać na żadnej błędnej odpowiedzi, a przede wszystkim to, że uczyłam się o niebo lepiej od jej rodzonego syna, który był skończonym matolem, a przed moim przyjściem do szkoły uchodził za prymusa. Znosiłam wszystko początkowo w milczeniu, później zaczęłam się buntować. Zauważyła to, uznała za objaw złego wychowania, za łamanie porządku szkolnego. Znajdowała osobliwą przyjemność w upokarzaniu mnie, nie szczędziła mi złośliwych, przykrych docinków, prowokacyjnych zaczepek. Doszło do tego, że przychodziłam do szkoły już roztrzęsiona i zdenerwowana, a wychodziłam połykając łzy. Nigdy jednak nie zrobiłam jej tej satysfakcji i nie rozplakałam się na głos, wprowadziłoby ją to pewnie w stan najwyższego zadowolenia, graniczącego z euforią, a odwrotnie – patrzyłam w jej rozwścieczone, małe, żabie oczy z drwiącym uśmiechem, chociaż serce skakało mi do gardła, albo odwracałam głowę, aby nie plunąć w jej płaską, antypatyczną twarz o wydatnych szczękach. Babce oczywiście niczego nie powtarzałam z tego, co się działo w szkole. Była tak mała, zgarbiona i tak zapracowana. Za to w nocy wypłakiwałam swój dziecięcy ból z głową na poduszce Zbigniewa, który ledwie dostrzegalnie gładził mnie po włosach. Pewnego razu zarzuciła mi przy wszystkich kolegach w klasie, że mówię nieprawdę, a kiedy odparowałam ze sztucznym spokojem, że nigdy

nie kłamię, powiedziała, rozmyślnie cyzelując każde słowo: – Na twoim miejscu, Hortowska, nie byłabym tak pewna siebie. To zastanawiające, skąd się bierze tyle tupe-
tu u dziewczyny, której ojciec siedzi w więzieniu, a matka źle się prowadzi.

Chciałam ją zabić albo wyskoczyć oknem, ale stałam tylko przygwożdżona do miejsca jej podłóżką i okrucieństwem. Inne dzieci już dawno wyszły z klasy, skończyły się lekcje, a ja tkwiłam dalej przy swojej ławce, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. Podeszła wtedy do mnie i ze złością szarpnęła za ramię: – Nie udawaj, że coś ci się stało, nie histeryzuj. Chyba wiesz, że twoja matka uciekła z gachem za granicę, a ojca skazano za malwersacje na pięć lat. Gdybym nie szanowała pani Hortowskiej, nigdy nie pozwoliłabym ci przestąpić progu tej szkoły.

Tej nocy, kiedy babka poszła już spać, wymknęliśmy się ze Zbigniewem po cichu z domu, trzymając się za ręce. Zauważyłam, że oczy mego brata płoną w ciemnościach dziwnym, nie znanym mi blaskiem. Po raz pierwszy to on prowadził mnie, a ja szłam tylko za nim posłusznie. W głębi duszy wiedziałam, że stanie się coś straszego, byłam przerażona, a jednocześnie niezwykle podniecona. Dom kierowniczkii stał samotnie na końcu szosy, otoczony sadem, pełnym rozkwitających drzew. W oknach było ciemno wszyscy już spali, tylko w szybach odbijało się światło dalekiej latarni. Podeszliśmy bezszelestnie do klatek z królikami; bosc nogi grzęzły w pulchnej, ziemi. Zbigniew otwierał je wszystkie po kolei i wypuszczał króliki na wolność. Uciekały w popłochu, śmiesznie podrygując, szczęśliwe z odzyskanej niespodziewanie swobody. Królików było mnóstwo. Kierowniczka ze swoim mężem

prowadziła dochodową hodowlę na szeroką skalę. Potem Zbigniew schylił się, wziął w rękę duży kamień i cisnął prosto w wysrebrzoną szybę. Rozprysła się z cichym brzękiem w drobne kawałki. Zanim w domu zapaliły się światła, byliśmy już tak daleko, że nikt nie mógłby nas dogonić.”

Uśmiechnął się mimo woli, ale ból niespodziewanie zaatakował ze zdwojoną siłą. Zapalił amerykańskiego papierosa i zaciągnął się głęboko, szukając w jego odurzającym smaku ukojenia. Przerzucił kilka kartek i czytał dalej.

„W czasie okupacji babka zaczęła chorować. Musiała się zaziębić przy nieustannej krzątaniu i dreptaniu po podwórku i ogrodzie, a może przyczyniły się do tego wędrówki do okolicznych wiosek, skąd wracała z ciężko wywalczonym kawałkiem mięsa czy tłuszczu, ukrytym pod paltem. Zaczęła kaść, słała się na nogach i coraz częściej nie wstawała z łóżka. Nie wiedziałam, w jaki sposób zdobywała środki finansowe na najpilniejsze potrzeby, ale teraz domyślam się, że raz po raz spieniężała jakąś wartościową rzecz u handlarza w miasteczku. Nadszedł taki dzień, że nie mogła się podnieść, dostała silnej gorączki, bredziła. Wtedy wszystkie obowiązki i zajęcia domowe spadły na mnie. Staralam się ją pielęgnować najlepiej jak potrafiłam, a poza tym rąbałam drzewo, prałam, gotowałam. W pewnym momencie zorientowałam się, że w domu nie ma pieniędzy, że wydałam już wszystko co do grosza. Tymczasem zabrakło nam opału. Można go było wprawdzie dostać «na lewo», ale za to trzeba było zapłacić, i to słono. Całe szczęście, że stary doktor Grąszyc, wieloletni dobry znajomy babki i jej zmarłego męża, przyszedł ją niespodziewanie odwiedzić. Przeraził się jej

stanem, postawił, sam bańki, dał lekarstwa, potem przyjrzał się mnie i powiedział, marszcząc strzępiaste brwi: – Proszę dbać o babcie, panienko. Tu jest strasznie zimno. Trzeba porządnie napalić w piecu i utrzymywać ciepło, inaczej nigdy nie wyzdrowieje.

Widocznie uznał, że nie napaliłam z lenistwa. Nigdy nie przypuszczał, że w tym okresie nasza sytuacja finansowa jest tak krytyczna.

– Babcia musi się dobrze odżywiać: rosół z kury, cielęcina, miód – dodał – naturalnie o ile nastąpi przesilenie. Teraz jest bardzo chora, ma obustronne zapalenie płuc.

Kiedy wyszedł, usiadłam w kuchni na podłodze i rozpłakałam się boleśnie i żałośnie. Właśnie wczoraj właściciel sklepu spożywczego w miasteczku, Johann Miller, a przed wojną Jan Konstanty, volksdeutsch, żerujący na miejscowych, głodujących ludziach, odmówił mi ostatecznie dalszej sprzedaży towarów na kredyt i ordynarnie wyrzucił za drzwi, kiedy zebrałam o kawałek chleba i masła. Nie miałam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób zdobyć pieniądze. Gdybym nawet znała schowek, w którym babka trzymała biżuterię, i tak nie umiałabym z niej zrobić użytku, sprzedać ją lub zamienić na jedzenie. Zajrzałam do sypialni. Babka leżała w wielkim, mahoniowym łóżku, z odrzuconą kołdrą, ciężko oddychając, z zamkniętymi oczyma, a ciałem jej wstrząsały dreszcze. Ogarnęło mnie przerażenie, że za chwilę zostanę sama na świecie, że umrę z zimna i głodu. Gnana jakąś niedorzeczną nadzieją, że poruszę kamienne serce Johanna Millera, pobiegłam do miasteczka. Zapadał mrok. Miller w kurtce podszytej elkami, z wydrowym kołnierzem, w wielkiej futrzanej czapie, szykował się do zamknięcia sklepu. Zobaczyłam go przez szybę ogromnego, tłustego, z czerwonym, mięsistym

nosem, krzątającego się za ladą, w świetle karbidowej lampy i zrozumiałam, że nigdy, za żadne skarby świata nie odważę się tam wejść. Ze wstrętem, ukryta za drzewem, patrzyłam jak grubymi, rzeźnickimi paluchami sprząta pieczywo z lady, sery, mąkę, zwija resztki wędliny, chowa jajka. Potem zaczął, śliniąc palce, liczyć pieniądze, a jego małe, świńskie oczka błyszczały ze szczęścia i pożądlivosti. Pieniądzy było dużo – masa banknotów, można było za nie kupić życie babki i wszystkich biednych dzieci na świecie. Z uśmiechem na przebrzydłej gębie włożył je do drewnianego pudełka, chwilę się zawahał, ale w końcu pudełko schował do szuflady, zamknął ją starannie na klucz, który wsunął do kieszeni kurtki. Potem wyszedł na zewnątrz i zarygłował drzwi na kłódkę. Obserwowałam z ukrycia każdy jego ruch, jakby był potworem z bajki, drżąc ze strachu, że za chwilę rzuci się na mnie i pożre razem z ubraniami. Ale nic się takiego nie stało. Johann Miller odszedł, pogwizdując i zataczając się lekko. Widocznie popu sobie jak zwykle i szedł na zakończenie wieczoru do niemieckiej knajpy. Wróciłam na kilka minut przed godziną policyjną. W domu było cicho i strasznie. Bałam się, że babka już umarła, więc pochyliłam się nad nią, ale zduszony świst nadal wydobywał się z jej piersi. Kiedy oddychała, w powietrzu unosił się obłok pary. Zbi-gniew czekał na mnie poważny i spokojny, tylko oczy jego znów błyszczały nienaturalnym blaskiem. Znałam już ich wyraz i wymowę – nie potrzebowaliśmy słów, ubraliśmy się pospiesznie i wtopiliśmy w mroźną ciemność. Szczęście nam sprzyjało, gdyż przez gęstą zasłonę ołowianych chmur nie przedzierał się blask księżyca. Wokół było pu-sto i cicho, tylko twardo ubity śnieg skrzypiał pod naszymi

stopami. Na ulicze, gdzie znajdował się sklep Millera, nie było żywej duszy, ale, serce skakało w mojej piersi jak szalone, kiedy Zbigniew za pomocą narzędzi znalezionych w starym warsztacie dziadka wycinał otwór w szybie wystawowej. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, wiem tylko, że znalazłam się z nim razem w sklepie, ale ze strachu nie byłam zdolna wykonać ani jednego ruchu. On za to pracował sprawnie i bezszelestnie. Jego dziecinne palce ze zdumiewającą zręcznością manipulowały przy zamkniętej szufladzie, w której Miller trzymał pieniądze. Kiedy wyszarpnął z niej plik banknotów, byłam cała mokra od potu i wysiłku, aby zachować spokój i nie zacząć krzyczeć na całe gardło. Potem niewiele już pamiętam. Prawdopodobnie minęło kilka dni, w czasie których babka zaczęła odzyskiwać zdrowie, ja natomiast zapadłam na dziwną, ciężką chorobę, która na wiele tygodni pozbawiła mnie przytomności. Musiałam mieć ogromną gorączkę, bo prześladowało mnie tysiące widziadeł najczęściej przybierających postać zniechęconego Niemca, usiłującego za wszelką cenę zacisnąć mi powróż na szyi. Pewnego ranka jednak uświadomiłam sobie, że leżę w swoim łóżku, a nade mną pochyla się zatroskana twarz babki, otoczona siwymi włosami, wymykającymi się spod dobrze mi znanej białej chusteczki. Od tej chwili, zdrowie i apetyt zaczęły wracać w zawrotnym tempie, tylko wewnątrz siebie odczuwałam pustkę, jakby coś się we mnie bezpowrotnie załamało. Stan ten potęgował fakt, że Zbigniewa nie było w domu, widocznie został gdzieś daleko wysłany. Dziwna rzecz, ale bałam się spytać babkę o przyczynę jego nieobecności, gdyż przewidywałam, że może ona wiązać się z dokonaniem przez nas ograbieniem sklepu. I nie zapytałam nigdy. Od tamtej nocy

przez długie lata nie widziałam Zbigniewa. I wtedy nagle w moim życiu pojawił się Wojtek Grąszyc. Było wówczas słoneczne, letnie popołudnie, pełne zapachów polnych kwiatów i aromatu świeżo skoszonej trawy w ogródku. Przeprowadził go do nas jego ojciec, stary doktor, wypróbowany przyjaciel rodziny Hortowskich. Być może dlatego, iż gapiłam się w niego jak w tęczę, chłopiec zwrócił na mnie uwagę. Nie był ładny, miał rude włosy, twarz obsianą piegami, ale kipiał zdrowiem, pogodą i siłą. Rozchyłona koszula ukazywała rozwiniętą nad wiek klatkę piersiową i muskularny kark, na którym perliły się drobne kropelki potu, a niebieskie oczy tryskały młodzieńczym humorem. Miał już prawie szesnaście lat. W zimie mieszkał w Warszawie u siostry ojca, która się nim opiekowała, gdyż doktor od wielu lat był wdowcem, ale na lato przyjeżdżał do ich domku zatopionego w kwiatach i zieleni i spędzał w nim parę miesięcy. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś równie wesołego, bezpośredniego w zachowaniu, pełnego niesłychanych pomysłów i radości życia. Był uosobieniem energii, żywotności, która rozsadzała go jak dynamit, prowokując do różnych żartów i swawoli, ku wiecznemu zgorszeniu starego doktora, ale jednocześnie umiał zdobyć się na niespodziewaną powagę. Mógł na przykład uważnie słuchać osoby, z którą rozmawiał, choćby miała ponad sto lat, i wówczas sprawiał wrażenie, że nic więcej go nie obchodzi ponad to, co ktoś ma mu do powiedzenia. Z miejsca wydał mi się ideałem moich snów dziewczęcych, niedościgłym wzorem wszystkich cnót męskich i od razu, w skrytości ducha, zapragnęłam się z nim zaprzyjaźnić. Ku memu nieopisanemu zdumieniu marzenie to urzeczywistniło się. Początkowo za zachętą

ojca, a później z własnej woli zaczął spędzać ze mną mnóstwo czasu. Przeważnie włóczyliśmy się po odległych polach, lasach, zbieraliśmy grzyby i różne, jego zdaniem, rzadkie okazy flory, kąpaliśmy się w daleko położonym jeziorze, wspinaliśmy na drzewa. Były to niezapomniane, najpiękniejsze chwile mego życia. Wojtek stał się dla mnie najwyższym autorytetem i ostoją w najróżnorodniejszych, codziennych kłopotach. Opowiadałam mu wszystko o sobie, a on cierpliwie słuchał albo udawał, że słucha, z twarzą umorusaną jagodami, które łączywie wyjadał w lesie. Kiedy miał mnie już dosyć, niespodziewanie dawał susa i uciekał daleko bez słowa, ale potem wracał. Byłam przyzwyczajona do tego rodzaju wyskoków. W gruncie rzeczy zdawałam sobie sprawę, że taki mały skrzat jak ja musi go niesłychanie nudzić i że powinnam być wdzięczna losowi, że w ogóle chce ze mną przebywać. Nie był przecież winien temu, że zakochałam się w nim cięło i bezgranicznie od pierwszego wejrzenia.

Przestał czytać, gdyż poczuł ostry głód, szarpiący mu wnętrzności. „Psiakrew, muszę wyjść i zjeść coś na mieście. Przecież nie wytrzymam o tej kromce chleba. Najgorsze, że już nie mam chyba ani złotówki.”

Zerwał się z miejsca i pokuśtykał do przewieszanej przez poręcz krzesła – marynarki. Wyciągnął z kieszeni mały zwitek jednodolarowych banknotów i dwie pięćdziesięciogroszówki. Sięgnął ręką jeszcze głębiej, gdyż wydało mu się, że coś w niej zaszeleściło pod palcami, i natrafił na jakiś papierowy pieniądz. Był to zwinięty w rulonik banknot pięćsetzłotowy. Przyjrzał mu się z ironicznym uśmiechem na wargach. „Kochająca mama nie daje mi

zdechnąć z głodu – pomyślał – musiała mi to wsunąć, kiedy zasnąłem.”

Nacisnął głęboko czapkę na uszy i przygarbiony, mocno kulejąc, wyszedł z domu.

Rozdział czwarty

Anna Hortowska powoli i z ociąganiem wchodziła po schodach prowadzących do mieszkania profesora Grąszycy. Sień była widna i przestronna, wyłożona marmurem, jak to się jeszcze zdarza w starych domach, ocalałych od zniszczeń wojennych. Solidne, duże okno, oszklone małymi szybkami, izolowało wnętrze od natarczywego, jazgotliwego zgiełku ulicy. Mimo iż mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze, serce łomotało w niej gwałtownie jak po wysokogórskiej wspinaczce. Na próżno usiłowała wziąć się w garść, karcąc siebie w duchu za zbytek emocji, nie licujący z jej powagą i wiekiem, za niepotrzebne dramatyzowanie sytuacji. Czarne lakierowane drzwi wejściowe, zdobne w błyszczącą, nową tabliczkę z metalu z misternie wygrawerowanymi literami: „Magdalena i Wojciech Grąszycowie”, wydały się jej wrogie i obce, chociaż miejsce to znała od kilkudziesięciu lat. Zbyt późno zrozumiała, że nie powinna była tu nigdy więcej przychodzić. Chciała się jeszcze wycofać, ale ręka jej, jakby działając niezależnie od woli, powędrowała do srebrnego krążka dzwonka, który natychmiast wywołał we wnętrzu mieszkania gamę dźwięków. Otworzył jej Grąszyc, płynnym, serdecznym gestem zapraszając do środka.

– Jakże się cieszę, Anno, że przyszedłś do nas – powiedział, całując ją w rękę. – Czekamy już tylko na ciebie.

Magda tak bardzo chciała cię poznać.

Przez chwilę unikała jego spojrzenia, ale w końcu zdecydowała się spojrzeć mu prosto w oczy. Miały ten sam, co zawsze, pogodny wyraz, budzący zaufanie otoczenia, tylko przekrwienie białek i opuchnięcie powiek mogło świadczyć o fizycznym przemęczeniu.

– Jeżeli tu przyszedłam – wycodziła – to tylko dlatego, że ty mnie o to prosiłeś. Pamiętaj o tym.

Poderwał się, aby zdjęć jej płaszcz z ramion, udając, że sens tych słów nie dotarł do jego świadomości. Annie wydało się, że jest może bardziej przygarbiony, ale musiała w duchu przyznać, że wygląda dobrze i że w jasnopopielatym garniturze i niebieskiej koszuli jest mu bardzo do twarzy. Nigdy dotąd nie dbał o swoją powierzchowność, widocznie i w tej dziedzinie nastąpiła radykalna zmiana w jego usposobieniu.

Mimo woli rozejrzała się dookoła, gdyż przez wiele lat przyzwyczajona była do bieli ścian tego przedpokoju. Teraz od góry do dołu okrywała je ciemnozielona wykładzina, a sufit wyłożony był belkami. W jednym rogu obrzeżona podmurówką, imitującą granit, szemrała wytryskując perlistymi kaskadami woda, w drugim, na cokole z zielonego kamienia, stało wielkie akwarium, podświetlone czerwonymi żarówkami, w którym pływały egzotyczne ryby.

– Jakie tu zmiany powiedziała, nie mogąc ukryć zdziwienia.

– To pomysł Małobrackiego. – Grąszyc uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem. – Magdzi bardzo się podobał. Ale, proszę, wejdźmy dalej, Anno.

W przyległym pokoju, który ongiś spełniał rolę

gabinetu pana domu, zaszły również przeobrażenia, dokonane zapewne ręką tego samego artysty plastyka, wyglądała bowiem jak dziwaczna grota skalna, przynajmniej na pierwszy rzut oka takie wrażenie wywoływały ściany pełne chropowatości, fantastycznych wypukłości i zagłębień, połyskujące czarno-białym szkliwem. Podłoga obita była bardzo puszystą tkaniną o barwie srebrno-zielonego mchu, a ogromny kominek, na którym płonęły z sykiem polana drzewa, podnosił nastrój tajemniczości tego wnętrza. Od sufitu z góry spływało ponadto łagodne, mleczne światło, zainstalowane tak, że nie można było dostrzec jego źródła. Cicha melodia przypominająca warkot murzyńskich bębnow przecinała powietrze dźwiękiem nieustannych, choć nie drażniących ucho dysonansów. Dziwaczne dla laika meble, o monstrualnie powyginanych kształtach, miały zapewne spełniać rolę foteli i kanap, choć raczej trzeba się było domyślać takiego ich przeznaczenia, a liczne otwory w ścianach, zakończone łukowatym zwieńczeniem, prowadziły do innych pokoi. Anna nie przygotowana na tego rodzaju metamorfozę pokoju, służącego od pokoleń prozaicznym celom normalnego życia, przystanęła na progu ze zdziwienia. Kilka osób usiłujących siedzieć lub leżeć na pseudofotelach zamilkło i odwróciło głowy na jej widok, tylko smukła dziewczyna w zwiewnej, wschodniej szacie, stojąca w pobliżu kominka obok wysokiego, barczystego mężczyzny, zanosiła się głośnym, gardłowym śmiechem.

„Jaka ona piękna” – pomyślała Anna i poczuła lodowaty chłód w okolicy serca.

Dziewczyna śmiała się nadal, nie zwracając na nią uwagi, z głową przegiętą do tyłu, z falą złotych włosów spływających na ramiona, kołysząc się w biodrach, które

w czerwonym blasku ognia drgały pod przezroczystą tkaniną sukni, bezczelna, zuchwała, świadoma tego, że oczy wszystkich zebranych na niej spoczywają.

– Magdziu, pozwól – powiedział głośno Grąszyc – przyszła pani Anna Hortowska.

Podbiegła roztańczonym krokiem, obnażającym spod rozciętej na bokach sukni gołe, zgrabne nogi, na których pobrzękiwały zapięte na kostkach złote bransolety. Wyciągnęła długą, opaloną na brąz rękę, zdobną w błyszczący, brylantowy pierścionek.

– Mik mi dużo mówił o pani, ale on się chyba pani boi. Musiałam go długo namawiać, żeby panią do nas zaprosił. Ale świetnie, że pani przyszła. Mik – zwróciła się rozkazującym tonem do męża – przynieś pani koktajl – ten mocniejszy. Musi pani nas dogonić. My już wszyscy jesteśmy na rauszu.

– Dziękuję, ja nie piję – odparła Anna drżącym głosem, czując ucisk w gardle.

– A to wielka szkoda. W takim razie obawiam się, że się pani będzie nudziła w naszym towarzystwie. Mik, podaj mi kieliszek. Chcę się dzisiaj upić. I bądź tak dobry, zajmij się panią.

„Właściwie powinnam natychmiast stąd wyjść, jeśli chcę uratować resztki godności – pomyślała rozpaczliwie Anna. – Ta mała impertynentka igra ze mną jak kot z myszą. Chce mi pokazać, że Wojciech jest jej niepodzielną własnością. I ta jej obrzydliwa czułość, świadcząca o intymnej zażyłości. Nazywa go Mikiem. Nikt nigdy się tak do niego nie zwracał.”

Zanim zdążyła coś postanowić, znany warszawski scenograf Harry Małobrcki przypadł do jej rąk.

– Witam znakomitą przedstawicielkę rodzimej

palestry – zahuczał, potrząsając swą imponującą brodą – jak szanowne zdrowie? O interesy nie pytam, bo na pewno kwitnące. Przy takiej praktyce... Ta mała jest czarująca, prawda? Ma ciało pogańskiej bogini, piersi jak wykute z brązu, cudowne proporcje. Co prawda wolę na nią patrzeć, niż jej słuchać, ale zazdroszczę Wojtkowi, że mu się na stare lata trafił taki kąsek. Ma chłop szczęście. Jej biust godny jest uwieńczenia w marmurze

Harry Małobracki w szerokich i wąskich kręgach towarzyskich uchodził za dziwaka i ekscentryka. Podkreślał to zresztą swoim zachowaniem i ubiorem. Poza innymi zaskakującymi nawykami miał zwyczaj mówienia tego, co mu ślina na język przyniesie ludziom prosto w oczy, pełniąc przy tym niezliczone nietakty i gafy, gdyż wiedział, że nikt się na niego nie obrazi. Chodził w rozchełstanych koszulach, wytartych portkach, kolorowych kamizelkach, obwieszony łańcuchami i bransoletami, z płomiennorudą brodą, starannie wyfryzowaną, opadającą mu na piersi. Właściwie nikt nic nie wiedział o jego życiu prywatnym, nawet jaki naprawdę był jego stan cywilny. Ostatnio krążyły niepotwierdzone pogłoski, że żyje w konkubinacie z jakąś egzotyczną niewiastą, którą przywiózł sobie z Ameryki Południowej, ale trzyma ją zamkniętą w zaciszu domowym. Jako artysta-scenograf i plastyk miał niesłychane powodzenie, należąc do ścisłej awangardy. Z Grąszycem znał się od czasów uniwersyteckich i bywał u niego od wielu lat, jeszcze za życia jego pierwszej żony. Wbrew pozorom umiejętnie podtrzymywanej młodości był prawie w jego wieku.

– Zostawmy w spokoju te rozważania anatomiczne – wpadł mu w słowo doktor Andrzej Łusiewicz, najbliższy współpracownik Grąszyca, młody naukowiec kardiolog o błyskotliwie zapowiadającej się karierze.

– Dlaczego mi nie wolno mówić o piersiach Magdy? Kobiety tak zbudowane powinny chodzić do połowy nago, jak poganki. To świętokradztwo, żeby takie piękno trzymać w ukryciu – obruszył się z niekłamana powagą Małobracki.

– Niech pan raczej powie, mistrzu, w jaki sposób namówił pan profesora do tego rodzaju dekoracji mieszkania. Nigdy bym go nie posądził o nowatorskie upodobania w tej dziedzinie.

– No a co, nie podoba się? – Małobracki zatoczył krąg ręką, prostując się z dumą. – Irmino, prawda, że tu jest bosko? – zwrócił się do wysokiej, szczupłej kobiety, o czarnych, spiętych w kok włosach, otulonej koronkowym szalem, która podniosła się z fotela na widok Hortowskiej. – Zareczam ci, że miłość w takim wnętrzu jest niesłychanie ekscytująca. Wojtek mógłby coś o tym powiedzieć. Jeszcze i ciebie namówię do przeróbki mieszkania. Od progu u was czuć cebulą i czosnkiem.

– O, co to to nie. Możesz sobie mówić, co chcesz, ale u mnie nie zarobisz ani grosza – docent Witold Ryński wyłonił z półcieni, zalegających kąty pokoju, swoją wysmukłą sylwetkę, opiętą w granatowy, wytworny garnitur. – Ani ja, ani moja żona nie jesteśmy ekscentrykami i nie lubujemy się w tych wszystkich wynaturzonych stylach. Oczywiście muszę przyznać, że wnętrze to działa na wyobraźnię, ma specjalną wymowę, nawet przerażającą w swej sugestywności, stanowi na pewno jakieś dzieło plastyczne, ale na co dzień musi wpływać deprymująco na psychikę nawet najzdrowszego człowieka.

– Ja bym się chyba bała tutaj spać – Irmina Ryńska podniosła ku mężowi swą długą, śniadą twarz, pokrytą

dyskretnym makijażem, umiejętnie maskującym się zło-wieszczco rysujących się zmarszczek.

Docent lekko wzruszył ramionami, jakby ta wypowiedź żony nie była w dobrym tonie. Ten słynny ginekolog, otoczony cichym uwielbieniem licznych pacjentek, znany był ze swego pełnego rezerwy, na pół lekceważącego stosunku do kobiet. Jego skandynawska uroda, mimo iż od dawna przekroczył czterdziestkę, wywierała wciąż silne wrażenie na otoczeniu. Wysoki, szczupły, o figurze sportowca, z lekka siwiejącej czuprynie, niebieskich, chłodnych oczach, uchodził za arbitra elegancji i dobrego smaku. Mimo tych niezaprzeczalnych walorów – nigdy nie łączono go z żadną kobietą, nie pomawiano o romans na boku i uważano małżeństwo jego z atrakcyjną w swoim czasie, ale obecnie już starzejącą się Irminą – za wzorowe i niezachwiane. Od wielu lat pracował z Grąszycem w jednym szpitalu, stąd łączyła ich bliska znajomość, a nawet zażyłość.

– Pani mecenas, proszę mnie bronić – Małobracki rwąc z rozpaczy brodę zwrócił się do Anny. – Ci profani zakochani w politurowanych orzechowych meblach, w miękkich betach i puchach, chcą mnie zakrakać. Nikt mnie nie rozumie na tym świecie, chyba się powieszę.

– Ja ciebie rozumiem, Harry. Wszystko, co robisz – jest piękne. Masz, napij się – Magda Grąszycowa zbliżyła się do Małobrackiego z kieliszkiem w ręku.

Wypił z gulgotem do dna i z emfazą pocałował ją w gołe ramię.

– Prawda, Mik, że Harry to nadzwyczajny artysta? Jego sztuka jest porywająca. Chciałabym, żeby urządził nam jeszcze jeden pokój w stylu wschodnim i żeby było w nim coś z nastroju haremu i perskiego jarmarku. Mik, chyba się zgodzisz?

Grąszyc, który wtaczał właśnie barek na kółkach, pełen kolorowych butelek z alkoholem, zastawiony tacami z miniaturowymi kanapkami, uśmiechnął się i nie podnosząc oczu skinął głową.

– Nikt nie wątpi, że pan Harry rozwiąże znakomicie tego typu założenia artystyczne – odezwał się ze śmiechem doktor Łusiewicz. – No a teraz, profesorze, pozwoli pan, że wzniosę toast za pomyślność tego domu i jego nowej gospodyni.

– Właśnie, właśnie. Nie byliśmy na weselu, to chociaż teraz uczcijmy godnie mariaż profesora. I nam się chyba też coś należy. Proszę państwa, do dna! Zdrowie młodej bogini! – podchwycił Małobracki, podnosząc w górę kieliszek.

Wszyscy wypili, oprócz Anny.

– Mik! – zawołała Magda tonem rozkapryszonego dziecka. – Pani Anna nie wypła za naszą pomyślność. Czyżby nam źle życzyła?

– Oj, nieładnie, pani mecenas. Chociaż symbolicznie prosimy umoczyć usta. Kieliszeczek koniaku nikomu nie zaszkodził – błaznował Małobracki.

– Ależ, Mądzik – powiedział Grąszyc, nie patrząc w stronę Anny. – Nawet najmniejsza dawka alkoholu nie jest wskazana dla mecenas Hortowskiej ze względu na stan zdrowia.

– Ach, tak, rozumiem – Magda z powagą wstrząsnęła złotymi włosami – moja mama też nie może pić, bo ma chorą wątrobę.

Anna poczuła, że drętwieje jej lewa ręka, co zawsze stanowiło zapowiedź zbliżającego się ataku duszniczy. Chciała wstać i wyjść, ale zabrakło jej sił.

– Gorzka wódka! – rozładował w prymitywny, ale

skuteczny sposób atmosferę Małobracki. – Gorzka! Gorzka! – podjęła reszta towarzystwa.

Magda podbiegła do męża, zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego całym ciałem i wszczepiła się w jego usta.

– Brawo! Brawo! Vivat młoda para! Za taki pocałunek sprzedałbym diabłu duszę – wrzeszczał podniecony alkoholem Małobracki.

Magda odsunęła się od Grąszycy, udając, że ślania się z upojenia.

– Dziękuję wam, wszyscy jesteście cudowni. Przyrzekam, że przywiozę wam z Azji fajne prezenty. Jeszcze nie wiecie, że Mikuś zafundował mi wycieczkę do Samarkandy. Wyjeżdżam pod koniec stycznia. Tobie, Harry – szablę, a panu, panie doktorze – zwróciła się do milczącego, jakby zastygłego w kompletnej obojętności na to, co się wokół rozgrywało, docenta Ryńskiego – sztylet albo ikonę. A w ogóle to mam dla was niespodziankę. Otóż Mik wybudował mi daczę nad Zalewem. No, może nie daczę, ale taki mały, śliczny domek w zakopiańskim stylu. – Giętkim ruchem znów przytuliła się do męża.

– No, no, nie spodziewałem się. Gratuluję, profesorze – docent Ryński jakby otrząsnął się z odrętwienia. Widocznie tego rodzaju inwestycja należała także do jego programu życiowego. – Sądziłem, że nie ma tam już wolnych działek.

– Zdaje się, że niedaleko jest jeszcze jedna do sprzedania – powiedział Grąszyc.

– Pozwólcie mi dokończyć – nadąsała się Magda, wydymając wargi. – Zapraszamy was wszystkich na otwarcie, chyba za jakieś sześć tygodni. Urządzimy szalone przyjęcie w którąś wolną sobotę na całe dwa dni.

– Czy wystrój wewnątrz będzie też pana dziełem? – Ryński z tonem ironii w głosie zwrócił się do scenografa.

– Tym razem nie dano mi zarobić – Małobracki gestem rozpaczy rozłożył ręce – co stanowi, oczywiście, niepowetowaną stratę dla gospodarzy.

– Dlaczego właściwie nie tańczymy?! – zawołała Magda. – Mik, kochanie, załóż inną taśmę na magnetofon. Wiesz, tę moją ulubioną z „Niebem nad Portoryko”.

Za chwilę popłynęła szeroka strugą dźwięków wzmocnionych przez urządzenia stereofoniczne jedna z najpopularniejszych melodii będąca przedmiotem zachwytu nastolatków. Już przy pierwszych taktach Magda zaczęła drgać ekstatycznie. Brzuch jej i biodra zafalowały rytmicznie pod przezroczystą suknią, drobne, krągłe piersi podnosił przyspieszony oddech. W mlecznym oświetleniu ciało jej nabrało złotego połysku, jak u posągów bramińskich.

Anna spojrzała na Wojciecha Grąszycy. Nie odrywał oczu od żony, przyglądał się jej z natężeniem wywołującym niemal grymas bólu na jego twarzy.

„Kocha ją do szaleństwa – pomyślała – kocha i już cierpi. I będzie cierpiał więcej. Biedny Wojtek...”

W tej chwili nie odczuwała nic więcej poza współczuciem dla Grąszycy. Nareszcie zdołała się dźwignąć z miejsca. Kosztowało ją to wiele wysiłku, serce szamotało się w niej gwałtownie. Stała kilka, sekund naprzeciw roztańczonej dziewczyny – wysoka, chuda, w brązowej garsonce, z krótko ostrzyżonymi, szarymi włosami, w okularach zasłaniających zmęczone oczy, przywodząca na myśl zwiędły, jesienny liść, zdając sobie sprawę ze swej bezsily, ze swej przegranej.

Grąszyc dogonił ją dopiero w przedpokoju.

- Już idziesz? – zapytał pospiesznie. – Szkoda, nawet nie zdążyliśmy porozmawiać.

Uśmiechnęła się, uścisnęła jego wyciągniętą rękę i wyszła bez słowa.

Od kilku godzin kręcił się po starym domu jak zwierzę w klatce. Był rozdrażniony, zły, nawet głodny. Starał się oszczędzać, ale pieniądze wyczerpały się bardzo szybko, pozostało mu zaledwie kilka złotych w kieszeni. Anna Hortowska nie pokazywała się, ignorując jego obecność w „Malwinach”. Wiedział, że musi coś postanowić, zacząć działać, że nie może dłużej prowadzić takiego życia bez konkretnych widoków na przyszłość. Wzbierała w nim złość na matkę, na jej postępowanie wyzbyte ze wszelkiego sentymentu i troski o jego osobę. Czego zresztą mógł się spodziewać po tej kobiecie? Właściwie wcale nie liczył na jej uczucia macierzyńskie, miał całkiem inne plany. Gdyby nie dolegliwości fizyczne, porzuciłby to wszystko i poszedł dalej w świat. Rozciągnął się na kanapie i sięgnął po czarny brulion. W dalszym ciągu czuł się podle, nie miał siły na walkę o byt. Wciąż też miał nadzieję, że wyjrzy z tych kart prawda, której bezskutecznie poszukiwał, choćby miała być bolesna i okrutna. W obecnym stanie ducha gotów był na wszystko, w gruncie rzeczy zależało mu już wyłącznie na wyciągnięciu z niej korzyści osobistych.

Przrzucił niecierpliwie wiele stron, wreszcie natrafił na akapit, który go zainteresował.

„Po raz pierwszy od śmierci babki przyjechałam do «Malwin» w maju. Była piękna wiosenna pogoda, w ogródku kwitły bzy i jaśminy. Otworzyłam okna, aby przewietrzyć mieszkanie, zapach, który wtargnął do

wnętrza, był wprost odurzający. W tym czasie dom zaczął się już chylić ku upadkowi, ogród był zachwaszczony i zaniedbany, ale przywiódł mi na pamięć całe moje dzieciństwo. Od kilku lat mieszkałam w Warszawie, w akademiku, dorabiając korepetycjami do otrzymywanego skromnego stypendium. Właśnie kończyłam pracę dyplomową i zamierzałam w najbliższej przyszłości podjąć aplikację w sądzie.

Babka zostawiła mi w spadku dwie obrączki, stary zegarek i broszkę. Pieniądzy nie miała wcale, żyła wyłącznie z emerytury, zupełnie zdziwaczała, w samotności. Wiedziałam, że w czasie okupacji, z obawy przed Niemcami, zakopała biżuterię i dolary w ogródku. Kiedyś w nocy spotkałam ją z łopatą i z małym zawiniątkiem w ręku. Dlatego wówczas, gdy była chora, nie mogłam się niczego doszukać w domu. Jednak aż do śmierci nic mi o tym nie wspomniała, może wydała wszystko, a może owładnięta starczym skąpstwem nie chciała mnie w te sprawy wtajemniczać.”

– Phi, phi – gwizdnął przeciągle, podnosząc się na łokciu – a to ci heca: zakopany skarb. Warto by się tym zająć.

„Byłam więc zupełnie sama, gdyż matka nie wróciła z zagranicy i nie dała znaku życia. Miałam wiadomości, zresztą nie sprawdzone, że zginęła w czasie nalotu w Anglii, a ojciec został rozstrzelany przez Niemców w więzieniu, w którym odsiadywał wyrok. Czasem myślałam o Zbigniewie, choć postać jego zaczynała stopniowo blednąć w mojej pamięci. Raz zapytałam o niego babkę. Spojrzała na mnie dziwnie i nie odpowiedziała. Tym niemniej lata spędzone na uniwersytecie były piękne. O Boże, jaka byłam wtedy szczęśliwa! Tak często widywałam się z Wojtkiem, który studiował medycynę i mieszkał jak dawniej

u ciotki w jej spółdzielczym, ocalałym od zniszczeń mieszkaniu. Rok temu skończył już studia i odbywał staż w jednym ze szpitali warszawskich. Był bardzo zdolny, rokowano mu wielką karierę, kontynuował więc pracę badawczo-naukową. Kiedy wracał późnym wieczorem do domu i zastał mnie pijącą herbatę z jego ciotką przy stole, uśmiechał się radośnie i serdecznie. To właśnie można było nazwać szczęściem. Potem kontakty nasze nieco się rozluźniły, gdyż uczęszczał na seminarium doktoranckie i był bardzo pochłonięty swoją pracą i nauką. Nie chciałam mu w niczym przeszkadzać, zawsze umiałam trzymać się w cieniu jego osoby. W tym czasie ojciec jego już dawno nie żył i ja w zasadzie byłam jedynym ogniwem łączącym go z dzieciństwem spędzonym w rodzinnym domu.

Tym razem musiałam go chyba przywołać siłą swoich pragnień, gdyż niespodziewanie zobaczyłam przez okno, że idzie przez nasz ogródek – jak zwykle zgarbiony – z plecakiem na ramionach. Wybiegłam mu na powitanie rozpromieniona i wesółą.

– Skąd wiedziałeś, że tu dziś będę? – zapytałam.

Odpowiedział, że właśnie odwiózł na stałe do ich domu ciotkę, która postanowiła tu spędzić resztę swego życia, na łonie przyrody, z dala od zgiełku wielkomiejskiego, jemu zaś oddała swoje mieszkanie w Warszawie. Korzystając z okazji zapragnął odwiedzić stare kąty i powspominać dawne czasy. Byłam pewna, że ucieszył się szczerze na mój widok, w jego oczach malowała się także niekłamana radość. Ten dzień był najpiękniejszy w moim życiu. Tak jak niegdyś błakaliśmy się po polach, trzymając się za ręce, zbieraliśmy grzyby, rwaliśmy kwiaty na łące, wyjadaliśmy w lesie dzikie owoce, słuchaliśmy zagubionego echa naszych głosów nad jeziorem i w nam tylko

znanych zakątkach. Potem brudni, spoceni, głodni wróciliśmy do mojego domu. Usmażyłam jajecznicę, zaparzyłam miętę schowaną gdzieś w babciny schowku, odkryłam w spiżarni resztki porzeczkowego wina, które wychyliliśmy do samego dna poszczerbionych kieliszków. Śmieliśmy się stale całą pierśią, gdyż bawiło nas wszystko: stary, rozhuśtany fotel, zegar z sygnaturką piszczącą zardzewiałym głosem po żmudnych, lecz uwieczonych powodzeniem próbach uruchomienia jej na nowo, spłoszona mysz polna, skrzypiące schody. Tę noc spędziliśmy razem. Po raz pierwszy znalazłam się w jego ramionach, szczęśliwa do szaleństwa, zawstydzona i zarazem zuchwała. Byłam tak upojona swoim zwycięstwem, że nic więcej dla mnie nie istniało. Tamtej nocy gotowa byłam umrzeć na jego skinienie, gdyby tylko zechciał, własnoręcznie wyjęłabym sobie z piersi serce, oddałabym mu wszystką krew płynącą w moich żyłach.

O świcie, kiedy niebo prześwitujące między gałęziami było jeszcze mlecznoróżowe, a pierwszy, nieśmiały promień słońca na próżno usiłował przedrzeć się przez szyby, powiedział mi, że za trzy miesiące żeni się ze swoją koleżanką ze studiów, Ewą.

Właściwie nic się nie zmieniło, leżeliśmy nadal koło siebie, jego głowa spoczywała jak przedtem we wgłębieniu mego ramienia, potem w kasztanowo-rudych włosach Wojtka nagle zapłonęło słońce, a obudzona mucha rozpoczęła ranny koncert, bzyknęła mi koło ucha i usiadła na parapecie. Tylko ja poczułam, że autentycznie umieram. On mówił mocnym, spokojnym głosem, który w miarę snutych zwierzeń nabierał coraz miększej i głębszej barwy, a we mnie gasło życie, bezmierny chłód spływał od wystudzonej piersi do brzucha, obejmował biodra, nogi.

Wiedziałam, że jeśli dotrze do stóp nastąpi koniec. Tylko od mojej własnej woli zależało, żeby się tak nie stało. Nie wiem dlaczego – postanowiłam dalej żyć. Może nie chciałam mu sprawić satysfakcji albo kłopotu, może miara moich cierpień jeszcze się nie dopełniła. Ostatnim, desperackim wysiłkiem wyrwałam się z kamiennej martwoty, odtrącałam śmierć. W pewnej chwili zaczęłam nawet pojmować sens jego słów: Ewa była słodka, miła, a przy tym tak krucha i wrażliwa. Samym swoim wyglądem budziła najtkliwsze uczucia, wprost miało się od razu chęć wziąć ją na ręce i zanieść gdzieś daleko, aby nie dotknęło ją zło i nikiemność tego świata. Była niezmiernym zjawiskiem, które przypadkowo zawędrowało na ten padół i uszczęśliwiało zwykłych śmiertelników swoim istnieniem. Nie mógł jej nie pokochać, uosabiała piękno i dobroć, a przy tym potrzebowała opieki, którą on i właśnie on tylko mógł jej zapewnić. W miarę jak się wywnętrzał, czułam rosnącą we mnie głuchą nienawiść. Leżąc w moim łóżku, po miłośnej nocy, roztkliwiał się nad tym wątłym stworzeniem, które lada podmuch mógł zdmuchnąć, nieomal płakał nad wzniosłością jej duszy i powabami ciała. A potem poczułam, że już mi jest wszystko jedno i że nie po to wróciłam do życia, aby nienawidzić. Nie chciałam tylko więcej o niej słuchać i o niczym wiedzieć... Kiedy podawaliśmy sobie ręce na pożegnanie, nie mógł nic wyczytać z moich oczu.”

Przestał na chwilę czytać i zapalił papierosa. „Biedna stara – pomyślał – w końcu to nie jej wina, że jest taka brzydka.”

Rozdział piąty

Teresa Molnicka przeżyła znowu dzisiaj „gorący dzień”: trzy ciężkie sprawy na wokandach sądów, w tym jedna w Sądzie Najwyższym, i sześciu klientów w zespole – na czele z właścicielką szklarni podwarszawskiej, babą-piłą, zdolną wypruć wnętrze najbardziej cierpliwemu rozmówcy. Przy tym warunki pracy w zespole nie były wcale ciekawe: szereg biurek stłoczonych na powierzchni niewielkiego pokoju, gwar przypominający brzęczenie os przy wyroju, gryzący dym papierosów, którego organicznie nie znosiła, zatory na korytarzach spełniających jednocześnie rolę poczekalni. Nic więc dziwnego, że pod koniec urzędowania poczuła ogarniające ją silne zmęczenie. Najchętniej spędziłaby resztę wieczoru w błogim nieróbstwie, w domu, przy telewizorze i czarnej kawie z fistaszkami, ale prawie nigdy nie było jej dane organizowanie sobie wolnego czasu według własnej woli. Zawsze ulegała czyimś sugestiom, prośbom, namowom, miała zbyt łagodne usposobienie, aby umieć się przeciwstawić, odmówić albo postawić na swoim. Stąd krążyła wokół niej fama, że jest najbardziej czynną koleżanką w zespole. Dzisiaj również została zaszczycona propozycją zastępstwa na jutrzejszej rozprawie w Sądzie Rejonowym w Pruszkowie, tym razem przez uroczego szaławiłę, kolegę Mirka Wirczuka, i jak zwykle z pozytywnym rezultatem. Adwokat Wirczuk był niesłychanie przystojny, o typie urody i obojętności przypominającym Rogera Moore'a z okresu triumfów w niezapomnianym „Świętym”, w związku z czym cieszył się zawrotnym powodzeniem u rozlicznych klientek płci

pięknej, oczarowanych jego wdziękiem i galanterią. Ponieważ był permanentnie zakochany, i to coraz to w innym obiekcie – na zajęcia zawodowe zostawało mu niepomier- nie mniej czasu, niż tego wymagała jego bogata praktyka, i dlatego chętnie korzystał z usług koleżeńskich. Teresa z natury rzeczy miała słabość do mężczyzn o chłopięcym uroku, co pozwalało uwodzicielskiemu Mirkowi wykorzy- stywać jej dobroć i pobłażliwość dla ludzkich ułomności. Tym razem jednak postanowiła uodpornić się na jego prośby przynajmniej w najbliższej przyszłości i nie reago- wać na tragiczne i romantyczne dzieje afektów do platy- nowych Dominik i rudych Iwon, uniemożliwiających mu występowanie na rozprawach sądowych w godzinach ku temu przeznaczonych.

Powziąwszy tego rodzaju niezłomną decyzję, schowała do teczki opasłe akta sprawy, w której miała go zastąpić. W pokoju nikogo już nie było. Mimo woli zahaczyła spoj- rzeniem o puste biurko Anny Hortowskiej-Rytniak, której osoba jak zwykle była przedmiotem jej specjalnej troski. Od owego popołudnia spędzonego przez Teresę w „Mal- winach” widziały się co prawda kilka razy, ale Anna ani słowem nie napomknęła o tajemniczym mężczyźnie, który pojawił się pod jej nieobecność w starym dworku i napę- dził tyle strachu Teresie. Obydwie z zadziwiającą zgodno- ścią przeszły nad tym faktem do porządku dziennego, choć ciekawość Teresy nie została zaspokojona. Od paru dni Anna była znowu chora i Teresa obawiała się, że tym ra- zem może to być naprawdę coś poważniejszego. Przyrze- kając sobie w duchu solennie, że na drugi dzień, niezależ- nie od nawału zajęć, odwiedzi cierpiącą koleżankę, docisnę- ła nareszcie z westchnieniem ulgi pękatą teczkę i wyjrzała

na korytarz. Na jej widok z krzesła pośpiesznie podniosła się wysoka, szczupła kobieta w szarym, sportowym kostiumie.

– Dzień dobry, pani mecenas – powiedziała, nerwowo przyciskając do boku podłużną torebkę z czarnej skóry. – Bardzo przepraszam, że tak późno. Czy mogłabym jeszcze zostać przyjęta?

Nie potrzebowała się przedstawiać, gdyż Teresa od razu ją poznała. Była to Irmina Ryńska, żona słynnego ginekologa warszawskiego, którą kiedyś raz spotkała na małym przyjęciu u Hortowskiej. Ponadto w swoim czasie leczyła „babskie” dolegliwości prywatnie u jej męża i kilka razy widziała ją z daleka w ich mieszkaniu, przy czym zdążyła dokonać spostrzeżenia, że Ryńska należy do rzędu kobiet, na których nawet najskromniejszy „ciuch” wygląda efektownie.

– Bardzo proszę – Teresa oblekła twarz w urzędowo-uprzejmy wyraz, mimo iż wizyta doktorowej definitywnie przekreślała jej plany wypoczynku – ale niestety pani mecenas Hortowskiej nie ma dzisiaj w zespole.

– Kiedy ja właśnie do pani... – Ryńska obrzuciła Teresę zbląkanym i trwożliwym spojrzeniem, charakterystycznym dla osób mocno zaafierowanych swoimi kłopotami, a przestępujących po raz pierwszy w życiu progę zespołu adwokackiego.

Kiedy siedziały już naprzeciw siebie przy biurku, Ryńska sięgnęła do torebki, którą dotąd trzymała kurczowo, i zaczęła w niej bezładnie przerzucać drobiazgi.

– Czy mogę zapalić? – wykrztusiła, wyjmując wreszcie papierosnicę i zapalniczkę.

– Oczywiście – tym razem Molnicka przyjrzała się jej uważniej. Tak, niewątpliwie ta kobieta przeżywała jakąś

tragedię osobistą, całkowicie wytrącającą ją z równowagi. Twarz bez makijażu, szara, przywiedła, miała wyraz zagnębienia i lęku jednocześnie. Duże, brązowe oczy, stanowiące jej największą ozdobę, były przygaszone i uciekające w głąb samej siebie, a usta zaciskał bolesny grymas.

– Naturalnie, proszę – Teresa wykonała zachęcający gest ręką, aby przerwać przedłużającą się ciszę, będąc w głębi ducha przygotowana na najintymniejsze zwierzenia. Adwokat tak jak spowiednik musi wysłuchać wszystkiego, co klient ma mu do powiedzenia. Wysłuchać, wybrać właściwy materiał, a na resztę spuścić zasłonę milczenia i zapomnienia.

Ryńska pochyliła głowę o czarnych, gładko zaczesanych nad czołem włosach, spiętych z tyłu w gruby węzeł, wśród których przewijały się srebrne nitki.

– Proszę o wniesienie przeciw mojemu mężowi sprawy rozwodowej – prawie krzyknęła, a ręka, w której trzymała papierosa, zadrżała jak po wielkim wysiłku fizycznym. Widać było, że znajduje się w stanie krańcowego wyczerpania nerwowego i resztkami woli panuje nad sobą, aby nie wybuchnąć płaczem, a może nawet nie popełnić desperackiego czynu.

Teresa odczekała chwilę, spodziewając się, że Ryńska zechce coś jeszcze dodać do swego oświadczenia, mającego tak wielką wagę w życiu każdej kobiety. Jednakże na razie przynajmniej wydawało się, że nie wydusi więcej z niej ani słowa.

– Proszę pani, moim obowiązkiem jest zapytać, czy decyzja ta została przez panią gruntownie przemyślana. Nigdy nie należy w takich przypadkach działać pochopnie. Później często żałuje się tego kroku, który może mieć ogromne znaczenie dla obojga małżonków i zaciążyć na

całej przyszłości. Dlatego pytam, czy istotnie jest pani zdecydowana wystąpić przeciw mężowi z pozwem o rozwód? Ryńska podniosła na Teresę zaszklone łzami oczy:

– Tak... Ja nie mogę już dłużej znieść takiego życia... nie wytrzymam... muszę się rozwieść.

– W takim razie należy wykazać, że pożycie małżeńskie państwa uległo rozkładowi. Jak mi wiadomo – państwo są bezdzietni, odpada zatem ważna kwestia prawna, jaką w takich wypadkach jest dobro małoletnich dzieci i zapewnienie im należytej opieki. Niemniej jednak podstawowe znaczenie będzie mieć stanowisko pani męża w tej sprawie, to znaczy, czy wyrazi zgodę na rozwiązanie małżeństwa, czy tej zgody odmówi, o wiele, szybciej bowiem można uzyskać rozwód bez orzekania o winie jednego lub obojga małżonków.

Ryńska zdawała się nie słuchać tego, co mówi Teresa. Sens krótkiego wywodu prawnego nie dotarł widać do jej mózgu, udręczonego zapewne jedną obsesyjną myślą, że traci ukochanego człowieka, z którym spędziła najpiękniejsze lata swego życia, że wkrótce zostanie sama bez szans na odbudowanie domowego ogniska. Gwałtownym ruchem zgniotła w popielniczce papierosa i niezwłocznie zapaliła drugiego, jakby od tej czynności zależała możliwość wydobycia głosu z zaciśniętej krtani.

– Pytam, czy mąż pani wie o zamiarze rozwodu i czy się na niego zgadza? – natarła na nią Teresa, już nieco zniecierpliwiona zachowaniem klientki.

Na twarz Ryńskiej wy płynął lekki rumieniec.

– Nie, mąż nic nie wie. To ja postanowiłam dać mu swobodę, uwolnić go od siebie... Pani rozumie, trudno jest mi o tym mówić... Tyle lat żyliśmy spokojnie i szczęśliwie...

Witek jest dobry, bardzo mądry, taki świątły. Ja byłam przy nim niczym, wiem o tym, ale on mnie kochał, dbał o mnie, było nam dobrze...

– Co się więc stało?

– On ma kochankę! – wykrzyknęła z takim wyrazem twarzy i błyskiem w oczach, jakby fakt tego rodzaju był rewelacją na skalę światową i nie zdarzał się nigdy wśród dobrze wychowanych ludzi. Teresa mimo woli uśmiechnęła się. Czyżby atrakcyjny, wytworny doktor, otoczony rojem młodych pielęgniarek, lekarek i pacjentek, żądnych przygód – istotnie hołdował kanonom wierności małżeńskiej w sposób tak doskonały, że jakiegokolwiek zboczenie z drogi cnoty mogło spowodować iście żywiołową reakcję ze strony jego połowicy? Wydawało się to wprost nienaturalne! a jednak musiało być prawdą. Teresa postanowiła raz jeszcze wystąpić w roli mentora.

– No cóż – powiedziała – takie sytuacje w każdym małżeństwie mogą się zdarzyć. Są jednak kryzysy, które należy przetrwać nawet kosztem wielkich wyrzeczeń i ustępstw. Przecież wszystko może się zmienić. Nie należy kaprysom chwili przypisywać nadmiernego znaczenia – mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że jest przynajmniej o piętnaście lat młodsza, przy tym niezamężna, a więc nie posiadająca doświadczenia w tak drastycznych sprawach. Jednak żal jej było tej kobiety, która wydawała się być zupełnie załamana i ogłuszona spotkanym ciosem.

Ryńska wyjęła chusteczkę z torebki i dyskretnym ruchem wytarła toczącą się łzę: – Pani zdaje się, że jestem niemądra, egzaltowana, że powinnam przez palce patrzeć na awanturkę męża. Być może inna by tak postąpiła – ja nie mogę... Przecież wiem, że Witek miał i ma tysiące

okazji do kontaktów z kobietami, jest przystojny, znany, ale może dlatego, że ciało kobiece jest mu tak bliskie, tak przed nim obnażone, pozbawione tajemnic, że patrzy na nie jak lekarz, nie budzi, a w każdym razie dotąd nie budziło w nim pragnień natury erotycznej. W ten sposób nieraz tłumaczył fakt obojętności wobec stałych zaczepek, prowokacji ze strony ładnych dziewczyn. No, nie tylko tym... Wydaje mi się, że byliśmy szczęśliwi, że zaspokajałam w pełni wszystkie jego potrzeby fizyczne i duchowe, że mu odpowiadałam jako towarzyszka na co dzień i od święta. Bo ja umiałam podporządkować się jego woli, jego żądaniom. On dyktował warunki, a ja zawsze je przyjmowałam. Zrezygnowałam z pracy zawodowej, z własnych ambicji. Jestem z wykształcenia mikrobiologiem, miałam nawet w młodości pewne osiągnięcia w dziedzinie naukowej, ale wiedziałam, że Witek nie chce mieć żony niezależnej, wyłamującej się z zasięgu jej woli, indywidualistki o własnym światopoglądzie. Żyłam więc u jego boku tylko dla niego – tak jak chciał. Udało mi się stać bezwolnym kobieciątkiem, prawie przestałam samodzielnie myśleć. Było mi z tym dobrze, niech mi pani wierzy. Aż tu nagle – głos jej załamał i przeszedł w urywany szloch. – Przepraszam, może za dużo powiedziałam.

– Ależ, nie – zaprzeczyła Teresa – chciałam, aby pani dokładnie zrelacjonowała bieg wszystkich wydarzeń. Tylko wciąż wydaje mi się, że pani zbyt dużą wagę przywiązuje do banalnego epizodu, nad którym należy przejść do porządku dziennego.

Ryńska ukryła twarz w dłoniach i dłuższy czas milczała. Oczywiście w normalnych warunkach pracy zespołu,

w zwykłych godzinach urzędowania takie zachowanie klientki byłoby niedopuszczalne. Adwokaci zwykli krótko i rzeczowo załatwiać sprawy, nie mają czasu na roztkliwianie się nad każdym złamanym sercem, szczególnie, że niektóre wersje wydarzeń ulegają w interpretacji przewrażliwionych petentów przejaskrawieniu, zatracając rzeczywiste wymiary. Jednak Irminę Ryńską Teresa potraktowała inaczej, z dużą dozą tolerancji – przede wszystkim jako osobistą i bliską znajomą adwokat Hortowskiej-Rytniak, poza tym jako kobietę godną współczucia. Było i tak już bardzo późno, cały wieczór zmarnowany, nie było się do czego śpieszyć. Ponadto romans pięknego doktora, tak niezłomnego w sprawach seksu, rozbudził w Teresie czysto kobiecą ciekawość, dlatego też pozwoliła jego żonie na tak znaczne przedłużanie czasu wizyty.

– Ja o tym dużo myślałam – Ryńska z trudnością stłumiła ciche łkanie – ale on chce mnie opuścić, ma zamiar ode mnie odejść, dlatego wolę go uprzedzić. Tak będzie lepiej, będę się czuła mniej upokorzona. Nie wiem, czy pani mnie rozumie... Ta dziewczyna jest okropna, okrutna, zrobi wszystko, żeby mnie zniszczyć.

– Czy jednak jest pani w posiadaniu niezbitych dowodów zdrady? Może są to tylko domysły, przypuszczenia. O ile mąż nie wyrazi zgody na rozwód, potrzebni będą świadkowie, konkretne fakty, dokumenty.

– Ależ nasze małżeństwo właściwie już nie istnieje...

– No dobrze. A czy wie pani, kim jest przyjaciółka męża?

Znów chwila ciszy, jakby wahania.

– To Magda Grąszycowa, żona profesora Wojciecha

Grąszycza – Ryńska podniosła na Teresę brązowe, wilgotne od łez oczy.

Teresę aż zamurowało z wrażenia. Nieobca jej była rewelacyjna i głośna w swoim czasie historia niespodziewanego małżeństwa statecznego i cenionego naukowca, bliskiego znajomego adwokat Hortowskiej, z nikomu nie znaną i ponoć niezbyt kryształowej konduity, acz bardzo urodziwą młodą dziewczyną, która była jego pacjentką. Z historią tą w głębi ducha Molnicka wiązała stany nerwowego załamania, jakie zaobserwowała ostatnio u Anny, choć nigdy z ust jej nie padły słowa zwierzenia. Teresa jednak zdawała sobie sprawę, że rozstanie z serdecznym przyjacielem, jakie niewątpliwie pociągnął za sobą ten związek, było dla Hortowskiej bolesnym przeżyciem, z którego do dnia dzisiejszego trudno jej się było otrząsnąć. I oto ta sama dziewczyna, dla której mariaż ze sławą w świecie medycznym stanowił wielką karierę, społeczny awans i był wizytówką do nowego dla niej, niedostępnego dotąd świata, miałaby wystąpić w roli demona zarzucającego siłą na bliskiego kolegę swego męża, i to w niedwuznacznym celu: rozbicia jego domowego ogniska niemal natychmiast po ślubie z Grąszyczem? Czyżby ten cały skandal nie był wymysłem przewrażliwionej i zazdrosnej Irminy? Pod wpływem nagłego impulsu położyła rękę na drżącej dłoni Ryńskiej.

– Droga pani, jestem prawie pewna, że pani jest na błędnym tropie. Pani domniemana rywalka nie może mieć żadnego interesu w rozejściu się ze swoim mężem, którego przecież tak niedawno poślubiła. Niech pani spojrzy na to pod tym kątem widzenia, a przekona się pani, że sprawa nie jest poważna.

– Nie, ja wiem wszystko. Witek jest w niej zakochany jak sztubak i już do mnie nie wróci. Są takie rzeczy w małżeństwie, których nie da się ukryć. Ta bezczelna smarkata opanowała go bez reszty. Widocznie poznał ją w szpitalu, kiedy leżała na oddziale kardiologii u Grąszycy. Nie wiem, dlaczego wyszła za tamtego za męża, może jej zaimponował, był wolny, mógł się żenić. Bardzo prędko zrozumiałam, że Witek mnie zdradza. Najpierw były różne drobiazgi: spóźnione powroty do domu, karteczki w kieszeni – przypadkiem zabłąkane, zapach perfum na marynarce, ślad szminki na koszuli. Nigdy przedtem się to nie zdarzało, ale usiłowałam nie zwracać na nic uwagi, ignorować. Początkowo. Tylko że to się powtarzało, a Witek zmienił się nie do poznania. Zupełnie inaczej zachowywał się w domu, stał się automatem wykonującym różne czynności, wobec mnie wrogim i obcym. Pani wie – ja ich wysłedziłam. Poniżałam się do tego stopnia, że przychodziłam pod szpital i czekałam w ukryciu. Przyjeżdżała po niego autem. Jechali zawsze w jednym kierunku, w stronę Czerniakowskiej. Muszą tam mieć garsonierę. Jak ja jej nienawidzę, jak ja jej nienawidzę! – znów zaniosła się krótkim łkaniem.

– Jeżeli nawet jest tak, jak pani mówi – trzeba umieć wybaczać. Mężczyźni w wieku pani męża mogą mieć przemijające słabostki, z mojej praktyki zawodowej wiem, że zwykle krótkotrwałe.

– Rozumiem, pani mecenas, że chce mnie pani pocieszyć, ale niestety jest jeszcze jedna sprawa. Mąż mój otrzymał niedawno propozycję pracy za granicą – konkretnie w Filadelfii. Omawialiśmy nasz wyjazd szczegółowo, robiliśmy przymiarki, projekty. Teraz zapadła cisza. Nic się między nami na ten temat nie mówi. Jestem niemal

pewna, że to nie ją, a ona ma z nim wyjechać. I to mnie utwierdza w przekonaniu, że mój mąż naprawdę chce ode mnie odejść.

– No cóż, proszę pani – Teresa zgarnęła akta, które odruchowo wyjęła z teczki – adwokat jest po to, żeby służyć radą i pomocą swoim klientom. Niestety dzisiaj już jest za późno na załatwienie formalności. Kancelaria zespołu już jest zamknięta. Przyjmuję w poniedziałki, środy i piątki między szesnastą i osiemną, zatem oczekuję panią pojutrze.

Przerzucał nerwowo kartkę po kartce, śliniąc palce. Był prawie pewien, że zna już tajemnicę swego pochodzenia. Chciał jednak poznać wszystkie szczegóły, aby móc potem działać bezbłędnie.

„Kiedy lekarz w przychodni powiedział mi obojętnym tonem, że jestem w ciąży, poczułam, że tracę grunt pod nogami. Najprostszym wyjściem w mojej sytuacji było zrobienie zabiegu i pozbycie się kłopotu, ale nie mogłam się na to zdobyć. Wydawało mi się, że rodząc dziecko Wojciecha, nie stracę go całkowicie, że jego częśćka pozostanie ze mną na zawsze. Było to beznadziejnie głupie, przecież przysięgam sobie, że on, nigdy o niczym się nie dowie. Dopóki mogłam, uczyłam się i pracowałam, potem zasyłam się w «Malwinach», prawie nie wychodząc z domu. Wojtek ożenił się przez ten czas, nawet przysłał mi zaproszenie na ślub. Byłam tak odrętwiała i mało przytomna, że biała karta z wymalowaną na niej karetą, zaprzęzoną w cztery ogniste rumaki, nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Przed samym prawie porodem przyjechali do mnie niespodziewanie goście z Ameryki: jedyna, dużo młodsza siostra ojca ze swoim mężem Frankiem,

opastym poczciwym bostończykiem. Nie wiedzieli nawet o śmierci babki, zajechali do «Malwin» na chybił trafił. Było to niewątpliwie zrządzenie Opatrzności, którego wagę miałam potem w pełni ocenić. Florentyna przerażona moim stanem fizycznym i psychicznym i zupełną bezradnością wobec tego, co miało nastąpić, zajęła się mną pieczołowicie. Na odbycie porodu wyjechałam z nią do miasteczka odległego o sto kilometrów. Biała wysterylizowana sala szpitalna, bezosobowa pielęgniarka, lekarz o wygolonej, nieprzeniknionej w wyrazie twarzy – przypominały mi bardziej gorączkowy, niesamowity sen, niż rzeczywistość. Nie czułam nic prócz bólu, wstydu i poniżenia. Na wszystkich stolikach przy łóżkach stały kwiaty, mężowie przysyłały liściki, paczki, skradali się pod drzwiami, przepychywali salowe, aby zerknąć na żony i dzieci – ja byłam sama. Moje dziecko było czerwone, brzydkie, rozwrzeszczane. Nie kochałam go, było mi obce i obojętne. Spodziewałam się rzeczy wielkich, jakiegoś olśnienia, naglego, niespodziewanego związku duchowego z niewinną, przeze mnie stworzoną istotą, a tymczasem wypełniła mnie bez reszty pustka i wstręt. W «Malwinach» czułam się jeszcze gorzej. Były chwile, że nie widziałam przed sobą żadnych perspektyw, żadnych szans na odbudowanie swego życia, tylko dni pełne nie kończącego się wrzasku niemowlęcia. Przede wszystkim jednak opanowała mnie obłądna myśl, że Wojtek może się dowiedzieć o narodzinach dziecka. Myśl ta przeszła w obsesję i powodowała wybuchy rozpaczony lub kompletnego otępienia. Florentyna patrzyła na mnie blada i milcząca, tylko Frank usiłował czasem żartować, ale wychodziła z tego żałosna farsa. Dla okolicznych ludzi matką dziecka była Flora, uważali tak wszyscy od sprzedawczyni w GS do wszędobylskiej

apteczkowej. Flora chętnie przystała na tę rolę, nigdy nie miała własnego dziecka i żadnych już szans na jego urodzenie. Zauważyłam, że przyglądała mi się z zazdrością, kiedy karmiłam małego. A mnie to nie sprawiało żadnej przyjemności, byłam szczęśliwa, kiedy straciłam pokarm. Za wszelką cenę nie chciałam/ nie mogłam przyzwyczajać się, do tego kruchego stworzenia o małej, zastraszonej twarzyczce, które łapczywie przywierało do mojej piersi i drobnymi paluszkami czepiało mojej szyi. Dzień po dniu z zimną świadomością tego, co czynię, niszczyłam w sobie jakiegokolwiek przejawy uczucia do syna, prowadziłam sama ze sobą okrutną walkę, z której wyszłam zwycięsko. Kiedy Flora odjeżdżając zabierała ze sobą małe zawiniątko, miałam już serce zimne i spopieliałe. Tylko kiedy paliłam pod kuchnią drewnianą, kołyskę, wrywając z niej kawałek po kawałku, wydawało mi się, że szczapy w ogniu płaczą głosem dziecka.”

– Zapłacisz mi za to ty i kochany ojczulek – warknął, zaciskając pięści, aż skóra pobieliała na kostkach. – To musi być jakiś nadziany gość. Na pewno nie będę go oszczędzał.

Właściwie mógł już poprzestać na tym, czego się dowiedział, i w umyśle jego zaczął już kiełkować plan działania, ale ciekawość sprawiła, że powrócił do czytania.

„Praca zawodowa i jej widome efekty przyniosły mi dużo zadowolenia. Nie było to łatwe, ale udało mi się uzyskać wpis na listę adwokatów i dostać do zespołu. Sukces ten poprzedziły lata trudów i wyrzeczeń, walki o byt, wegetacji na nędznych posadach, beznadziejnego zdawałoby się oczekiwania na etat aplikancki, aż wreszcie nadszedł Uwieńczony powodzeniem egzamin sędziowski, a potem

adwokacki. Następny etap – to zdobycie własnego mieszkania, kawalerki na VII piętrze w bloku na Ochocie, a potem nieoczekiwany werdykt lekarski: przedwcześnie rozwijająca się choroba wieńcowa i wada serca. Zalecenia: spokojny, oszczędzający tryb życia, unikanie wzruszeń, stresów. Tak czy inaczej przy wykonywanym przeze mnie zawodzie – wróży mi to tak zwaną „śmierć adwokacką”, czyli zawał serca.

Podczas jednego z badań kontrolnych, w szpitalu, na korytarzu – spotkałam Wojtkę. Byłam już dojrzałą trzydziestokilkuletnią kobietą, a on cenionym kardiochirurgiem, zyskującym coraz większe uznanie na rynku międzynarodowym dzięki własnym nowatorskim metodom naukowym. Szedł pośpiesznie, powiewając połami białego fartucha, ale na mój widok przystanął i rozłożył obie ręce: – Anno! Co cię do nas sprowadza? Służę ci wszelką pomocą. Kopę lat! Co u ciebie słyszeć? Musimy koniecznie porozmawiać, mam ci tyle do powiedzenia.

Później, kiedy siedzieliśmy naprzeciw siebie w kawiarni, przedzieleni tylko blatem stolika, istotnie opowiedział mi wiele o sobie. Mówił o swojej pracy, w którą wkładał maksimum trudu i inwencji twórczej, o pomyślnie przeprowadzonym doświadczeniu, stanowiącym podwaliny przeszczepu serca, potem przeszedł do spraw osobistych, do swego małżeństwa pełnego szczęścia, wzajemnego zrozumienia i zaufania. Kiedy wspominał Ewę, twarz mu rozświeślał wewnętrzny blask, lecz jednocześnie czoło jego przecinała zmarszczka troski i niepokoju. Musiał być w niej dalej nieprawdopodobnie, szaleńczo zakochany, jak młody student. Nawet nie zapytał mnie, czy wyszłam za mąż. Uznał widocznie za rzecz naturalną, że pozostałam

sama, że nie ułożyłam sobie życia. Biedna, stara panna, którą przez kaprys zaszczycił kiedyś przelotną łaską. Mimo to nie mogłam go znienawidzić, moje uczucia były tak samo świeże i beznadziejnie ślepe, jak przed laty.

Niedługo potem Grąszycowicze złożyli mi wizytę. Ewa sprawiła na mnie wrażenie tak zwiewnej i filigranowej, jakby nie była kobietą z krwi i kości, ale pozaziemską zjawą, przed którą należy ze złością składać pokłon. Miała przezroczystą, pozbawioną kropli krwi twarz, w której płonęły spokojnym blaskiem jasne, niebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami, ciemnobrązowe włosy upięte nad czołem w warkocz, który wydawał się być zbyt ciężki dla niej, i małe, ruchliwe dłonie, oplecione pergaminową skórą, przez którą prześwitywała sieć niebieskich żyłek. Wojtek wodzu za nią czułym, smutnym spojrzeniem. Wielbił ją jak świętość.

W kilka miesięcy później wysłałam za męża. Władysław Rytniak był moim klientem. Pomyślnie przeprowadziłam mu proces o odszkodowanie za wadliwie wykonane przez kooperanta elementy, niezbędne przy produkowanych przez niego wyrobach galanterii metalowej. Był rzemieślnikiem, właścicielem małego warsztatu w Piastowie pod Warszawą. Był wdowcem, został sam z małym synem. Wiedziałam, że jest ciężko chory na niewydolność nerek, poza tym nie miał nogi, stracił ją w partyzantce jako młody człowiek. Nasze małżeństwo było rodzajem swoistej umowy, zawartej pomiędzy dwojgiem samotnych i rozczarowanych życiem ludzi. Nie kochałam go i przez długi czas walczyłam ze wstrętem, jakie budziły we mnie jego chropowate, zniszczone od fizycznej pracy ręce i ciężki, astmatyczny kaszel nałogowego palacza. Nie miałam nigdy złudzeń, że to uroda moja wzbudziła w nim uniesienia

miłosne, które zawiodły nas przed ołtarz, natomiast wiedziałam, że odczuwał dla mnie szacunek i żywił uznanie dla mojej wiedzy i stanowiska. Tak czy inaczej – to ja byłam mu wdzięczna za niespodziewaną propozycję matrymonialną, wypowiedzianą nieco drżącym głosem, a pokrytą rubasznym śmiechem. Kiedy się zgodziłam – biedak spocił się z wrażenia. Niedługo potem wymieniałam mieszkanie na większe, dwupokojowe i mąż mój wraz z pasierbem sprowadzili się do mnie. Pewnego letniego popołudnia zatelefonował do mnie Wojtek.

– Anno – powiedział, a głos mu łamał się ze wzruszenia – musisz przyjść do nas! Musisz mi pomóc! Ja dłużej tego nie wytrzymam, nie znoję!

– Co się stało? – zapytałam z przerażeniem.

– Ewa! Mój Boże, Ewa! Mam wynik wycinka! To rak trzustki!

– Czy to pewne? Może zaszła pomyłka?

– Nie, nie ma najmniejszej wątpliwości. Ona strasznie cierpi, ale niczego się nie domyśla! Błagam cię, przyjdź! Jestem bliski obłędu!”

Rozdział szósty

Taksówka zatrzymała się u zbiegu ulic Myśliwieckiej i Szwoleżerów, koło wejścia do Łazienek. Wysiadła z niej wysoka dziewczyna, ubrana w krótki, szary, haftowany kożuszek, wełnianą spódnicę w biało-zieloną kratę i obcisłe, zielone buty do kolan. Uważnym spojrzeniem ogarnęła parkujące licznie samochody i uśmiechnęła się z zadowoleniem na widok czerwonego fiata 125P ze znajomą rejestracją.

Potem szybko weszła do parku, przerzuciwszy przez ramię białą, skórzaną torbę. Wysokie obcasy postukiwały głośno na bruku dziedzińca w rytm pośpiesznych, zniecierpliwionych kroków, a wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy, spływające na ramiona. Łazienki ustrojone w przepych jesiennej szaty, w złoto przetykane brązem i rdzą, zasłane dywanem więdnących, misternie rzeźbionych przez naturę liści – nie budziły w niej wrażeń estetycznych. Nie rozglądając się dążyła w stronę rosłego młodzieńca w skórzanym marynarce, rozpartego niedbale na ławce, z papierosem w ustach i znudzonym wyrazem twarzy.

– Serwus, Magda – powiedział, nie przerywając palenia. – Mogłabyś wreszcie przestać się spóźniać, kiedy się ze mną umawiasz. Na drugi raz nie będę czekał i złożę ci wizytę na Poznańskiej.

– Ani się waż! – krzyknęła, biorąc jego pogroźkę na serio – on nie może wiedzieć, że się spotykamy. Musiałam mu przysiąc, że między nami wszystko skończone.

– Jak widzę, coraz bardziej rozpalasz się do swego staruszka. Możesz się z nim cackać, ile chcesz, w końcu mam to w nosie, ale ze mną powinnaś się liczyć.

– Dobrze, dobrze. Oddaj mi kluczyki od samochodu. Nie mogę stale kręcić, że jest na przeglądzie.

– Wolnego, bellissima. Jak jest z tą naszą umową o podziale forsy? Miało być fifty-fifty. Muszę mieć dzisiaj trochę dolców, trafia mi się niezła maszyna, nie będę potrzebował twojej łaski.

– Wiesz co, Rysiek, jesteś śmieszny. Przecież tyle razy ci mówiłam, że on nie jest milionerem. Nie to, żeby był skąpy, zwija się i skręca, żeby mi dogodzić, ale on jest z

tych uczciwych, z etyką, jak to się u nich nazywa. I tak z wielkim trudem namówiłam go do otworzenia prywatnego gabinetu. Uważał, że to będzie mu przeszkadzać w pracy naukowej.

– Nie mów do mnie z wysoka, dobrze? Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych wszystkich bredni. No, ile w końcu przyniosłaś?

Wyszarpnęła garść banknotów z torebki i wrzuciła do jego otwartej, chciwej dłoni. Zmełł przekleństwo, ale słowa zamarły mu na ustach, kiedy spojrzał w jej oczy. Były zimne, białe, fosforyzujące złością i nienawiścią.

– Chcę, żebyś wiedział, że to po raz ostatni. Właśnie w tej chwili zdecydowałem się: nie będę ci się więcej opłacać. I nawet możesz zaraz pójść do niego i powiedzieć, że byłam twoją kochanką. On i tak o tym wie. A teraz w nic nie uwierzy. Nawet, gdyby mnie złapał z jakimś mężczyzną w łóżku, umiałabym w niego wmówić, że mu się to śniło. Chyba rozumiesz, że między nami wszystko skończone. A teraz oddaj kluczyki, bo mi się bardzo śpieszy.

– Magda, coś się tak wściekła. Przecież tego nie mówiłaś serio, prawda? – rozpoczął pojednawczo. – Gdzie znajdziesz lepszego ode mnie chłopa?

Szukał w jej twarzy uśmiechu, zrozumienia. Jeszcze niedawno było im dobrze ze sobą, przeżywali wspólnie różne tarapaty, łączyły ich złe i dobre chwile. Była piękna i diabelnie pociągająca, szczególnie teraz, w tych atrakcyjnych, zagranicznych łaskach, z obrączką na palcu. Nie chciał z nią zrywać. Nawet na drugim końcu świata nie mógłby o niej zupełnie zapomnieć. Wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale odtrąciła go z wściekłością.

– Ty dęty zarozumiałcze! Odczep się ode mnie! Myślisz, że dam ci się wiecznie szantażować. Nic z tego! Dostyc wyciągnąłeś forsę! Zapłaciłam ci za tę twoją przysługę. I dowiedz się, że wyjeżdżam, i to niedługo, tylko że nie z tobą. Na co mi taki śmierdzący golec!

– Czyżby pan profesor otrzymał posadkę za granicą? Poczekaj, spójrz na mnie! – tym razem nie pytając o pozwolenie przycisnęła ją brutalnie do siebie i przytknęła niemal twarz do jej twarzy. – Ej! Ty coś grubszego kombinujesz! Tak, teraz rozumiem! Masz jakiegoś innego frajera, od dawna to podejrzewałem. Zrobiłaś się taka dumna jak księżna Monaco. Chcesz nas obu wykiwać, mnie i starego. Jak się dowiem, kto to taki, to mu kości poprzetrącam! Nie będziesz mnie wystawiała rufą do wiatru!

– Bałwan! – warknęła – przestań, bo ludzie się na nas patrzą.

Istotnie jakaś starsza pani z dzieckiem i mocno kulejący mężczyzna obejrżeli się kilkakrotnie za siebie i przyrzekli tej młodej parze, wyglądającej na kochanków, przeżywających dramat miłości i zazdrości.

Odsunął się i wetknął papierosa do ust, a dziewczyna poprawiła wzburzone włosy.

– Myśl sobie, co chcesz – uśmiechnęła się kpiąco. – Jest mi absolutnie wszystko jedno. Nie będę się przed tobą tłumaczyć. Słuchaj, ja naprawdę nie mam czasu!

Wyciągnął kluczyki z kieszeni i chwilę bawił się nimi, podrzucając w górę. – A gdybym ci nie zwrócił? Powiedzmy, takie małe odszkodowanie w formie tego grata?

– Wybij sobie taki idiotyczny pomysł z głowy. Zaraz bym poszła na milicję i powiedziała, żeś mi go ukradł. Nic ci nie jestem winna. I żadnych kawałów, zapamiętaj sobie.

– Aleś ty świnia! – powiedział i plunął przed siebie przez rozkraczone nogi. – Masz, łap! Jeszcze się zobaczymy!

Roześmiała się głośno, drwiąco, chowając kluczyki do torebki.

– Radzę ci zająć się tą twoją macochą. Z niej prędeziej coś wydusisz. I tak ledwo zipie. Była u nas ta wielka pani mecenas. Myślałam, że kofnie na miejscu ze złości. Pociesz się – na pewno cię czeka niedługo spadek.

– Idź już – powiedział, usiłując udawać obojętność, ale na próżno. Kiedy odchodziła pośpiesznym krokiem, ozłocona blaskiem jesiennego słońca, wiotka i smukła, podobna do jednego z poruszanych wiatrem drzew, ciągnących się wzdłuż zasłanej liśćmi alei, patrzył za nią wzrokiem pełnym rozpacz i mściwej nienawiści.

Ściemniało się już, kiedy zapalił lampę wiszącą u sufitu. Mleczne światło spłynęło wątlm strumieniem na pokój, wyłuskując z mroku stare sprzęty, zaczajone w kątach, jak dziwaczne stwory z bajek dla dzieci, które kiedyś w długie wieczory opowiadała mu ciotka Flora. Lektura pamiętnika matki wywołała w jego pamięci zatarte już fragmenty różnych wydarzeń z dzieciństwa, które – mimo poprawnej opieki, jaką nad nim roztaczali Frank i Florentyna – było puste i samotne. Poczłł ostry głód. Zrobił sobie kilka kanapek z resztek chleba i białego sera. Krajał go i smarował na stole w pokoju, bez ceraty i bez obrusa, znacząc blat białymi, tłustymi plamami.

– Nie będę już więcej głodował, nigdy! Musicie dać mi wszystko, czego tylko zapragnę. Już ja się o to postaram!

Myślał o rodzicach z zimną zawziętością, winiąc ich za doznane w życiu krzywdy i upokorzenia. Ojciec budził w nim jeszcze większą odrazę i pragnienie odwetu. Na samo wspomnienie jego imienia żyły nabrzmiewały mu na skroniach.

W czarnym brulionie zostało już niewiele zapisanych kartek.,

„Odtąd chodziłam do Grąszycow codziennie, zaniedbując własny dom, praktykę adwokacką, gospodarstwo. Wojtek snuł się po mieszkaniu jak bezradne dziecko. Ten człowiek, który na co dzień miał do czynienia z najcięższymi chorobami i śmiercią, w obliczu nieszczęścia, które dotknęło jego własny dom, wydawał się zupełnie zagubiony i przerażony. Mąż mój nieustannie wymawiał mi, że on i jego syn nic mnie nie obchodzą. Wówczas to zaczął często zaglądać do kieliszka, co podkopało i tak jego zrujnowane zdrowie. Mały rósł obok mnie, ale nigdy nie mogłam się do niego zbliżyć: był dziki, nieufny, złośliwy, nie chciał się uczyć i często podkradał ojcu pieniądze. Bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że wychodząc za mąż popełniłam poważny błąd, który zaważył na całym moim życiu. Nie powinnam była tego robić. Przecież wiedziałam, że nigdy nie zdobędę się na odrobinę nawet uczucia wobec tego prymitywnego mężczyzny. Dom Grąszycow zamienił się w szpital pełen przemykających bezszelestnie pielęgniarek w białych fartuchach, pojawiających się i znikających jak zjawy, i lekarzy o poważnych, zafrasowanych twarzach, których czynności ograniczały się przeważnie do opukiwania chorej, po czym następowała cicha wymiana zdań na osobności z półprzypadnym Grąszycem,

połączona z wymownym ściskaniem jego dłoni, mającym wyrażać współczucie. Pośrodku tej bezładnej krzątaniny, ustawicznego ruchu, tysiącznych zabiegów – Ewa leżała cicha i samotna w swoim łóżku w małżeńskiej sypialni. Jej blada twarz w powodzi rozrzuconych, brązowych włosów niewiele różniła się kolorem od pościeli i bardziej przypominała woskową lalkę niż człowieka. Prawie nie odczuwała bólu, gdyż stale otrzymywała zastrzyki i środki znieczulające, ale spojrzenie jej smutnych, ogromnych oczu zdawało się już nie rozumieć spraw ziemskich. Weszło w zwyczaj, że spędzałam w jej pokoju kilka godzin dziennie, zastępując stale zmieniające się pielęgniarki. Odnosiłam wrażenie, że lubiła moją obecność koło siebie, gdyż uśmiechała się często do mnie i dziękowała za każdą oddaną jej przysługę. Patrząc na jej skuloną, zagubioną wśród poduszek i kołder postać, na zmienione cierpieniem rysy, doświadczałam mieszanych uczuć. Była przecież istotą, która zabrała mi najdroższego na świecie człowieka, przez którą doznałam największego upokorzenia, jakie znieść może kobieta, nienawidziłam jej tyle lat, przeklinałam w samotne, pełne rozpaczny noce, ale wszystko to działo się w młodości, powinno się zatrzeć, zmatowieć, nabrać innych, spokojniejszych barw i wymiarów. A jednak tak się nie stało. Początkowo odczuwałam głuchą, podłą radość, że los się na niej zemścił, że wkrótce zejdzie z tego świata, na którym ja zostanę, i były chwile, że bałam się sama siebie, uznawałam za potwora wyzutego z cech ludzkich. Potem jednak te wszystkie niskie uczucia zaczęła przesłaniać litość, która wkrótce całkowicie je zdominowała. Tylko w momentach, kiedy Wojtek po powrocie ze szpitala klękał przy łóżku i przypadał do jej umęczonych rąk, oczy moje zachodziły czerwoną mgłą.

Na wiosnę ku zdumieniu sztabu lekarzy Ewa poczuła się lepiej. Było to polepszenie nieznaczne, ale dostrzegalne: mały przybytek wagi, więcej czerwonych ciałek krwi, mniejsza intensywność bólowa, ustąpienie obrzęków. Wojtek szalał ze szczęścia. W tym samym czasie otrzymał zaproszenie od jednego z amerykańskich ośrodków naukowych na cykl wykładów i odczytów. Powszechnie wiadomym było, że jest to wielkie wyróżnienie, stanowiące wstęp do kariery mogącej mu przynieść światową sławę. Oczywiście odmówił, nie chciał słyszeć o wyjeździe. Wtedy zaproponowałam, żeby wywieźć Ewę do ich dworku na wieś pod moją opieką. Długo go namawiałam, argumentowałam, że w obecnym stanie jej zdrowia pobyt na świeżym powietrzu może zdziałać cuda, że poświęcę jej cały urlop, nie bacząc na obowiązki domowe i zawodowe, a on nie powinien wyrzekać się szansy wielkiego awansu w pracy naukowej. I zwyciężyłam. Wyjechał, a ja przeniosłam się z Ewą na wieś. Ciotka Wojtka już dawno zmarła, byliśmy tylko we dwie.

Mąż mój przyjął fakt ten z ostentacyjnym milczeniem. Od pewnego czasu prawie cały dzień przebywał w swoim warsztacie w Piastowie, a ostatnio zaczął tam nocować. Nie zależało mi wcale na jego obecności, odwrotnie – odczuwałam ulgę, kiedy mi schodził z oczu.

Pewnego dnia, kiedy Ewa po zastrzyku dożylnym spała na leżaku w ogrodzie, oddychając ciężko, zjawił się Zbigniew. Przyszedł niespodziewanie i stanął pod drzewem w blasku zachodzącego słońca. Poznałam go od razu, choć przecież wtedy, kiedy rozstaliśmy się, był małym dzieckiem. Teraz był tak samo smukły, zgrabny i piękny jak niegdyś, jego wysokie czoło, obramowane czarnymi włosami, pełne było spokoju i zadumy, oczy zamyślenia, usta

bez uśmiechu drżały ze wzruszenia. Podszedł do mnie i położył mi ręce na zmęczonej głowie. Wydało mi się, że czas cofnął się, że nigdy nie rozłączaliśmy się ani na chwilę i znowu stanowimy jedność. Równocześnie przepełniła mnie duma, że mam tak urodziwego brata, i szczęście, że jednak o mnie nie zapomniał. Od tej pory przychodził stale, choć zawsze bez zapowiedzenia, wieczorem lub nocą, kiedy Ewa spała i kiedy nikt nam nie przeszkadzał. Nie zapytałam go nigdy, co się z nim działo przez te lata, gdzie przebywał, jak żył, wystarczała mi jego obecność i świadomość, że znów jesteśmy razem.

– Pamiętasz – powiedziałam kiedyś – nasze wycieczki na Gwadelupę, na Baleary, na wyspy słońca i nadziei?

W odpowiedzi skinął poważnie głową i objął mnie ramieniem. W tej ekstazie, w tym zapamiętaniu się ze szczęścia, jakim było odnalezienie Zbigniewa, prawie nie zauważyłam, że z Ewą dzieje się coś niedobrego. Raptownie schudła, tak jakby chciała pozbyć się czym prędzej zewnętrznej powłoki, kości zaczęły przeświecać przez skórę, a cera nabrała sinawego odcienia. Kiedy w nocy obudził mnie jej zwierzęcy jęk, zrozumiałam, że sprawa jest beznadziejna. Wezwany lekarz stwierdził jednak, że koniec nastąpić może za tydzień, jak i za miesiąc lub za rok ze względu na stosunkowo niezły stan serca. Na wszelki wypadek radził zawiadomić Wojtka, czego mimo wszystko nie uczyniłam. Na pewno wróciłby pośpiesznie, nie bacząc na konsekwencje z tym związane. W dalszym ciągu jego kariera, perspektywy na przyszłość były dla mnie nadzędne, stanowiły największą, niewymierną wartość.

Zbigniew przychodził teraz ciągle. Razem schylaliśmy się nad pozółką twarzą Ewy, wsłuchiwalismy w jej chra

pliwę oddech, w słowa mamrotane z największym wysiłkiem, wpatrywaliśmy w rozszerzone błędnymi i strachem źrenice. Najgorsze były noce – wtedy jej cierpienia wznęgały się jeszcze bardziej. Pozostały już tylko lekarstwa znieczulające, które prawie przestawały działać.

Była jasna, księżycowa noc. Zbigniew siedział koło mnie. Jego profil wyraźnie rysował się na tle firanki, w srebrnym blasku sączącym się przez otwarte okno. Zdrzemnąłam się na krótką chwilę. Nagle usłyszałam jej przeszywający krzyk. Chciałam wstać, aby podać Ewie lekarstwo, ale Zbigniew powstrzymał mnie gestem ręki. Jego oczy były spokojne, ale zimne i nieubłagane, nie mogłabym oprzeć się ich mocy. Sam nalał lekarstwo do kieliszka, odliczając kropla po kropli. Wiedziałam, że jest to środek najsilniejszy ze wszystkich, jakie przyjmowała, który trzeba było dawkować z największą ostrożnością – od trzech do pięciu kropli – i że w kieliszku, który przytknął do ust chorej, było więcej, znacznie więcej... W tym czasie, kiedy Ewa połykała brunatny płyn spieczonymi, czarnymi od bólu wargami, ujrzałam ją nagle w karecie zaprzężonej w cztery siwe konie, w białym welonie, rozświetlaną, promieniejącą szczęściem u boku rozkochanego, młodzieńczego Wojtka. Zjawisko to było tak wyraźne, że nie poruszyłam się z miejsca. Tętent kopyt, chrapanie koni zmieszały się z rżeniem wydobywającym się z jej piersi w jedną nierozzerwalną całość. Kiedy po chwili pochyliłam się nad nią, już nie żyła...

Nie wiem, dlaczego to wszystko napisałam. Nie powinnam była tego robić. To brzmi jak wyznanie, jak samooskarżenie. Nikt nigdy nie dowiedział się przecież,

jaka była prawdziwa przyczyna śmierci Ewy. Po prostu czułam potrzebę uzewnętrznienia się, powierzenia tym kartom prawdy o sobie, o swoim życiu. Piszę to tutaj, na tym odludziu, gdzie nikogo nie ma oprócz mnie, starych ścian i wspomnień. Któregoś dnia spalę ten brulion i być może wtedy oczyszczę się z cierpienia.”

Na razie nie chciał o niczym myśleć, nie analizował swoich uczuć. Był zwyczajnie, po zwierzęcemu głodny, a ponadto definitywnie skończyły mu się papierosy. Jeśli chodzi o jedzenie, może by jeszcze jakoś wytrzymał. Zauważył w kuchni makaron i trochę smalcu – tym ostatecznie też można się najeść, nie takie sytuacje i klęski żywiołowe przeżył na własnej skórze, ale głód nikotyny był nie do pokonania. Założył kurtkę, nacisnął czapkę na oczy i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Nawet ich nie zamknął na klucz. Stacja kolejowa z nieodłącznym kioskiem „Ruchu” była stosunkowo niedaleko. Po kupieniu papierosów zamierzał zaraz wrócić, przespać się i naza-jutrz od rana rozpocząć działanie. Na samą myśl o tym szyderczy uśmiech wypełznął mu na usta. Pragnienie doznania satysfakcji za zło, które dotąd doświadczył, wywar-cia zemsty na osobach, które z natury rzeczy powinny być mu najbliższe, a były najbardziej obce, rozsadzało go jak dynamit.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, padał drobny, dokucz-liwy deszcz. Droga na stację była wyboista, rozmięczona kałużami wody, w których połyskiwały mętne światła nielicznych latarni. W miejscu porośniętym drobnymi, ogołoconymi z liści krzakami, w którym należało skrócić na lewo, aby dojść do stacji, podszedł do niego jakiś bar-dzo wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce z podniesionym kołnierzem.

– Można ognia? – zachrypiał mu nad uchem umyślnie przyciszonym głosem, schylając twarz zakrytą ciemnymi okularami.

Bez słowa sięgnął do kieszeni i wyciągnął ku nieznanemu zapalniczkę. Kiedy płomień syknął i zachwiał się na wietrze, zauważył w jego nikłym blasku, że mężczyzna był bardzo młody i miał jasnoblond włosy. Wolno zaciągnął się papierosem, ale nie zamierzał odejść.

– Przejdźmy się trochę razem – powiedział obcy – mam do ciebie interes.

– O co chodzi? – poczuł wewnętrzne spięcie, które zawsze przeżywał w momentach niebezpieczeństwa. Od lat przyzwyczał się mieć się na baczności, bywał w ustawicznym prawie zagrożeniu i wówczas instynkt podszeptował mu środki obrony. Nie podobała mu się zaczepka na pustej drodze i sposób, w jaki ten facet zwrócił się do niego. Na wszelki wypadek dotknął w kieszeni powierzchni sprężynowego noża, który zawsze nosił przy sobie. Chłód metalu przywrócił mu równowagę.

– O to chodzi, gnojku – roześmiał się mężczyzna w skórze – żebyś stąd spieprzał, i to zaraz! Co tak wybałuszasz ślepie? No tak. Masz zabierać swoje łachy pod pachy i iść wont, tak jak przyszedłeś. I żebyś cię więcej tu w okolicy nie widział, bo cię tak urządzę, że cię rodzona mamusia nie pozna!

– A jak nie pójde, to co? – już się nie bał. W swojej praktyce nie z takimi cwaniakami miał do czynienia. Ten tutaj, mimo znacznej przewagi wzrostu, nie wydawał się być groźny. Jego słownictwo i zachowanie było prymitywne i sztuczne. Wskazywało raczej na amatora niż na zawodowca.

– Chcesz się przekonać, śmierdzielu, to zobaczysz – wycedził przez zęby młodzian i pchnął go z całej siły,

ale Robert był na to przygotowany. Stał mocno na rozkraczonych nogach, błyskawicznie wyciągnął nóż z kieszeni i zaatakował przeciwnika. Wydawało mu się, że trafił go w prawą rękę, przynajmniej tak celował, aby go unieszkodliwić, ale było to ostatnie stwierdzenie, jakiego dokonał przed utratą przytomności. Jego napastnik uskoczył w bok, pochwycił w oka mgnieniu leżący kamień i z wściekłością uderzył go w głowę.

– Toś ty taki numer! – syknął, patrząc, jak chłopak sflaczałym ruchem osuwa się na ziemię. – Od razu z nożem idzie, cholera!

Uważał, że postąpił słusznie, miał przecież prawo się bronić, skoro tamten nastawał na jego życie. Fakt, że to on pierwszy zaczął, zupełnie uleciał mu z głowy. Z pewnym niepokojem jednak przyjrzał się pokonanemu. Leżał w dziwnej pozycji, z rozkrzyżowanymi rękami, czapka spadła mu z głowy, a spod włosów sączyła się coraz bardziej powiększająca się smuga krwi. Poczul nagły strach. W końcu nie chciał go tak mocno stuknąć, postraszyć tylko, żeby odczepił się od Hortowskiej i nic więcej. A ten zaraz na noże! Sam sobie winien, śmierdziel. Najgorzej jednak, że skaleczona ręka zaczęła mu mocno krwawić. W każdym razie należało szybko zwiewać. Mimo spóźnionej pory, lada chwila mógł się ktoś pojawić na drodze. Rozejrzał się dokoła, było pusto, ciemno, gdyż tylko światło dość odległej latarni mdłym blaskiem rozpraszało mroki. Raz jeszcze spojrzął na swoją ofiarę.

– Psiakrew! Kto to może być? – zapytał sam siebie. – Najlepiej mu zabrać dowód, żeby nikt się nie dowiedział, co to za jeden.

Pochylił się i wprawnym ruchem wymacał mu w kieszeni dokumenty.

– Robert Hortowski – przesylabizował, przytykając je prawie do nosa ze względu na ciemności. – Cholera! Paszport zagraniczny, amerykański! Jakiś krewniak z Ameryki czy co? Może się przydać taki papierek, wystarczy tylko zmienić fotografię.

Zadowolony ze swego odkrycia pośpiesznie wsunął paszport do kieszeni i, nie oglądając się za siebie, wielkimi susami podążył drogą.

Rozdział siódmy

Doktor Witold Ryński przyglądał się siedzącej naprzeciw siebie dziewczynie z upodobaniem nie pozbawionym cienia melancholii. Z upodobaniem – gdyż obiekt jego obserwacji był niezwykle wdzięczny, można powiedzieć fascynujący świeżością ledwo rozkwitłej urody kobiecej, nie skażonej jeszcze dość intensywnie prowadzonym, mimo młodego wieku, życiem erotycznym, melancholia zaś wpływała z faktu, że w duszy jego dojrzało już niezłomne postanowienie jak najszybszego zlikwidowania tego stosunku, jaki go z tą młodą osobą łączył. Stawało się to z dnia na dzień coraz bardziej uciążliwe. Szkopuł był w tym, żeby całą sprawę rozegrać bez burz i konfliktów ze względu na jej specyficzny, drastyczny charakter, i nie spowodować zbyt wielu i nieprzyjemnych dla obu stron reakcji ze strony dziewczyny. Świadomość, że to spotkanie należy być może do ostatnich, nadawało tym chwilom specjalny, drażniący smaczek i powodowało, że spojrzenie jego powleczone było zadumą i smętkiem, mogącym dla postronnego widza, nie znającego myśli doktora, świadczyć o wysokiej temperaturze uczuć. Fakt faktem, że Ryński,

który dotąd organizował swoje pozamałżeńskie „skoki na boki” w sposób tak ostrożny i dyskretny, że nikt nie mógł musnąć jego nieposzlakowanej reputacji najlżejszym podejrzeniem, tym razem istotnie przekroczył zwykle przez siebie rygorystycznie zakreślane ramy zdrowego rozsądku. Co tu mówić! Niespodziewanie dał się ponieść porywowi zmysłów. Ta mała Magda Kłodkówna, protegowana Grąszycy, a wkrótce jego żona, którą poznał w szpitalu, podziałała jak haust mocnego, uderzającego do głowy wina, zachwiała posady skutecznie dotąd stosowanych metod postępowania, rozluźniła napiętą do ostateczności wrażliwość na opinię środowiska, w którym żył i pracował. Przede wszystkim niepokoiło go, że Irmina dowiedziała się o wszystkim, gdyż potulne jagnię mogło lada chwila zamienić się w rozjuszoną lwicę. Wyrzucał sobie po tyśiąckroć sztubacką nierozwagę w postaci pozostawiania wokół siebie śladów obcowania z kochanką, które każda zazdrosna kobieta może z łatwością rozszyfrować, a przecież tak łatwo mógł je zatrzeć. I nie tylko to. Irmina była właśnie kobietą, z którą nie mógłby się rozstać, Magdę zaś w gruncie rzeczy uważał za prymitywne, bezmózgie stworzonko wyłącznie zainteresowane materialnym aspektem wszystkich spraw, w których brała udział, łącznie z tak zwaną „sferą uczuć”. Przecież tylko dlatego wyszła za męża za profesora Grąszycy, żeby się dobrze urządzić, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości... Inna rzecz on sam, będąc atrakcyjnym mężczyzną, wzbudził być może w niej również zainteresowanie od strony erotyczno-emocjonalnej. Wiedział, jak bardzo podoba się kobietom i że na jego skinienie wiele z nich porzuciłoby swych mężów i poświęciło domowe ogniska. Dlatego traktował je

zazwyczaj z rezerwą, graniczącą z zimną obojętnością, szczególnie jeśli chodziło o pacjentki. W umyśle doktora Ryńskiego funkcjonowało wiele sprawnie działających i bacznie kontrolowanych mechanizmów: ambicja zawodowa, szacunek dla form i konwenansów, siła przebicia i życiowe wygodnictwo. Nawet szaleństwo, które przeżył z Magdą, musiało ulec regułom, jakie w sobie wypracował. W gruncie rzeczy nigdy by nie porzucił żony dla tego pokroju dziewczyny. Nigdy by jej nie rzucił. Irmina jednoczyła w sobie wszystkie cechy, które mu najlepiej w kobiecie odpowiadały: umiejętność podporządkowania się bez reszty mężczyźnie, uznania jego prymatu w małżeństwie, zupełnego wyzbycia własnych ambicji na polu zawodowym, oszczędność, gospodarność, brak wysokich wymagań w dziedzinie strojów i innych dóbr doczesnych, za którymi gonią zazwyczaj stworzenia płci żeńskiej, przy jednoczesnych umiejętnościach wyglądu atrakcyjnie kosztem małych nakładów. I to nie dlatego, że nie miał pieniędzy. Wręcz przeciwnie – zarabiał bardzo dobrze, ale był skąpy jak przysłowiowy Harpagon. Podział domowego budżetu z preferencją wydatków na łaszki kobiece wydawał mu się zawsze nie do przyjęcia i wywoływał w nim naturalny protest pana i władcy, niezależny od jego woli. Natomiast w głębi ducha hodował od najmłodszych lat skryte marzenia posiadania na własność skrawka ziemi, z budynkiem otoczonym drzewami, kwiatami, łąkami pszenicy. Mogła to być dacza, odrestaurowany dworek z dawnych stuleci lub w ostateczności staropolska chałupa. I tylko taka inwestycja była jego zdaniem godna, by na nią wydatkować zarobione pieniądze. Irmina go rozumiała i podzielała ten pogląd. Ponadto, będąc mężem

Irminy, posiadał jakby jednocześnie kilka kobiet: potulną kurę domową o ptasim mózdzku, wysublimowaną w gustach i poglądach intelektualistkę, oddaną przyjaciółkę, której można było bez obaw powierzyć najintymniejsze doznania, podzielić niepokojami, troskami. I to wszystko na jego zawołanie. Kura zamieniała się w bachantkę, bachantka w wytworną, starzejącą się z wdziękiem panią domu, godnie reprezentującą interesy męża. Nie, stanowczo nie! Z taką kobietą jak Irmina nie mógł tak po prostu, zwyczajnie rozejść się, było mu z nią za dobrze, za wygodnie. Zresztą nie leżało w żadnym wypadku w jego założeniach życiowych wywoływanie skandalu towarzyskiego w sferach, w których od lat żył, gdzie dojrzewała jego nieskalana pozycja naukowca pnącego się coraz wyżej po szczeblach hierarchii zawodowej. Wyobrażał sobie, jaki by szum powstał, jaki niesmak by wywołał w ich świecie jego rozwód i fakt, że odebrał żonę profesorowi Grąszycowi. Budowanie nowego życia na gruzach dawnego domu, i to opartego na chwiejnych podstawach, z osobą taką jak Magda, zajęcie miejsca Grąszyca, przeobrażenie się w śmiesznego, żalosego rogacza – oto co czekałoby go w najbliższej przyszłości, gdyby nie umiał w porę zawrócić z błędnej drogi. Najgorsze w tym wszystkim było, że w porywach euforii, związanej z pierwszymi uniesieniami miłosnymi, dokonał mniej lub więcej wiążących obietnic, związanych z projektowanym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, na który Magda liczyła. Na pewno też pod wpływem wizji złotodajnego wyjazdu miłość jej do niego osiągała temperaturę wrzenia. Mimo poczucia własnej wartości nie był w sobie zaślepiony i umiał sytuację ocenić na trzeźwo. Toteż od pewnego czasu umysł jego

pracował w kierunku umiejętnego i bezbolesnego dla stron wybrnięcia z impasu.

Tego wieczoru spotkali się w małym, przytulnym lokalu na Starym Mieście, w półmroku rozjarzonym światłem przyćmionych, czerwonych żarówek, w zacisznym kącie, gdzie istniała minimalna szansa, aby ktokolwiek ze znajomych mógł ich zobaczyć. Magda była trochę niespokojna, jakby coś przeczuwała. Od kilku dni nie zabierał jej na Czerniakowską, gdzie miał wynajęte małe pied-a-terre. Chciał raz radykalnie przeciąć spotkania sam na sam, które czyniły go bezwolnym, zdanym na jej łaskę i niełaskę.

– Wit, czy już jej powiedziałaś o nas? – zapytała niespodziewanie, patrząc mu w oczy. Oczywiście odnosiło się to do Irminy, której rzekomo miał wyznać wszystko, w celu jak najszybszego przeprowadzenia rozwodu. Nie wiadomo, dlaczego poczuł się tą obcesowością nagle dotknięty. Była w końcu jakaś domena uczuć strzeżona wewnętrznymi zakazami, do której nikt poza nim samym nie miał prawa wstępu.

– A ty czy powiedziałaś o nas mężowi? – odpowiedział jej pytaniem – przecież uzgodniliśmy, że zachowamy nasze projekty w tajemnicy do samego końca i postawimy ich przed faktem dokonanym. Tak będzie lepiej, musisz mi wierzyć.

Kłamał zimno, spokojnie i z rozmysłem. W głębi ducha powziął już przecież postanowienie, że nigdzie z nią nie wyjedzie i że być może więcej się z nią nie spotka. Jednak uznał, że sytuacja nie dojrzała do takiego stadium, aby można było jej odkryć prawdę bez narażenia się na niepotrzebne komplikacje, mogące za sobą pociągnąć nieobliczalne następstwa.

Przysunęła się i położyła szczupłą, wypielęgowaną rękę, połyskującą brylantowym pierścionkiem, na jego dłoni – Wit, tak mi ciebie brak, tak mi smutno bez ciebie. Twój mały kotek chciałby być z tobą stale razem. Szczególnie w nocy. Kiedy budzę się rano i widzę obok tego paskudnego starucha, jestem tak wściekła, że mogłabym go zabić.

– Nie mów tak – powiedział z niesmakiem. – W końcu wysłaś za niego z własnego wyboru. Profesor Grąszyc – to człowiek ze wszech miar godny szacunku.

– Ale nie w łóżku – roześmiała się niskim, drażniącym śmiechem.

Nie odpowiedział, gdyż oczyma wyobraźni ujrzał siebie za parę lat wczesnym rankiem u jej boku i zrobiło mu się nagle zimno.

Musiła odczuć zmianę jego nastroju, gdyż nagle zaczęła paplać:

– Strasznie, ale to strasznie chciałabym pójść z tobą gdzieś potańczyć, zabawić się, popić. Stale musimy się ukrywać, wiecznie boisz się, żeby któryś z tych twoich nadętych nudziarzy nas nie zobaczył. Tak bardzo chciałabym przytulić się do ciebie, choćby w tańcu.

– Jesteś bardzo młoda, moje dziecko – stwierdził zgorzkniałym, ojcowskim tonem.

– Mój kotek jest cudownie młody, wiem coś o tym – zalotnie przechyliła głowę.

Spojrzał na nią, raz jeszcze stwierdzając, że jest niesłychanie pociągająca. Nie mógł nie uśmiechnąć się z zadowoleniem. Ta mała znakomicie umiała wprowadzać go w dobry humor. W czarnej, obcisłej sukni, rozchylonej na krągłych piersiach, między którymi w rytm oddechu kołysał się na złotym łańcuszku wisior ze znakiem zodiaku, było jej wyjątkowo do twarzy. Na ramionach miała narzuconą kurtkę z rudych lisów, którą niedawno odebrała od

kuśnierza, podkreślającą elegancję jej sylwetki. Jednak właśnie kosztowność tego okrycia sprawiła, że Ryński poczuł się nagle wyzwolony spod uroku, jaki na nim bezsprzecznie wywierała jej uroda i młodość.

„Jakże ona jest zaborcza i łapczywa – stwierdził w duchu – z pewnością jej wymagania w stosunku do mężczyzny, z którym jest związana, będą wzrastały z dnia na dzień, zależnie od koniunktury i prosperity. Ale w końcu co to mnie obchodzi. Przecież ma męża, który na to pracuje.” I myśl jego z westchnieniem ulgi pożegłowała do Irminy, stanowiącej całkowite przeciwieństwo Magdy.

– Wit – Magda uśmiechnęła się przymilnie – dlaczego nie zabierasz mnie na Czerniakowską? Tak bardzo do ciebie tęsknię.

– Mówiłem ci już, że gospodyni ma zamiar przeprowadzić w mieszkaniu remont. Prosiła, żeby przez pewien czas nie przychodzić – powiedział trochę niepewnie, gdyż zuchwałe, fiołkowe oczy płonęły tuż przy jego twarzy. Były blisko, coraz bliżej... – ale myślę, że dzisiaj jeszcze ostatni raz możemy tam pojechać.

Ryszard Rytniak szedł przez ogródek niepewnym i skradającym się krokiem, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie powinien był tu przyjeżdżać i że zachowuje się jak typowy przestępca, który pchany nieznaną siłą wraca na miejsce zbrodni. Od kilku dni lodowaty strach ścisnął go za gardło i nie pozwalał przespać spokojnie jednej nocy. Co prawda dekując się w swoim prowizorycznym miejscu zamieszkania w Piastowie mógł właściwie liczyć na bezkarność, ale... czort wie. Licho nie śpi... Za wiele ludzi wiedziało o tej jego melinie. Najgorsze, że nie miał pojęcia, co się właściwie stało z tamtym chłopakiem. Czytał

uważnie gazety, ale nie było w nich najmniejszej wzmianki o tym wypadku. Zresztą pisma codzienne zwykle nie podają tego rodzaju wiadomości ze względu na dobro śledztwa. Snuł różne spekulacje: jeżeli chłopak wykitował – na pewno było to okropne, ale przynajmniej zażegnawało bezpośrednie niebezpieczeństwo wykrycia sprawcy zabójstwa, jeśli jednak żył i podał różne informacje, to milicja prowadzi dochodzenie i być może jest już na jakimś tropie. Istniało jeszcze realne prawdopodobieństwo, że umarł, ale zdążył przed śmiercią złożyć zeznanie. Wszystkie te domysły sprawiały, że samopoczucie Rytniaka było nadzwyczaj podłe. Posiadane apanaże skurczyły się też do minimum ze względu na kompletny brak dopływu ze złotodajnego źródła, jakim była dotychczas Magda Grąszycowa – de domo Kłodkówna.

– Wstrętna dziwka – mruczał do siebie, przedzierając się przez gęste krzaki – jeszcze przyjdzie się do mnie prosić, ale ja jej wtedy pokażę.

Właściwie dobrze nie wiedział, w jaki sposób zdoła się zemścić na niewdzięcznej protegowanej, ale złość na nią i na cały otaczający go świat przepelniała go od stóp do czubka głowy. Najchętniej cisnąłby wszystko i zwał za granicę, ale nie było to łatwe do zrealizowania. Korciło go, żeby wykorzystać paszport, który ukrył skrzętnie w swoim mieszkaniu, ale wymagało to pomocy ze strony kilku osób, z którymi wołał się na razie nie kontaktować. Ponadto sprawa była za świeża, jeszcze nie przycichła. O ile ten dureń zmarł bez odzyskania przytomności, mógłby bez większych obaw po jakimś czasie wykorzystać jego dokumenty. Chyba że Hortowska w jakiś sposób z nim blisko spokrewniona wszczęła poszukiwania. W każdym razie musiał to wyświecić, a poza tym zaopatrzyć się w

pieniądze. Próby zaatakowania macochy w jej mieszkaniu w Warszawie speszły na niczym, nie odpowiadała na telefony, nie reagowała na dzwonki u drzwi. Widocznie była w „Malwinach”. Domek wyłonił się nagle z ciemności. W środkowym, największym pokoju paliło się światło elektryczne, rzucając słaby odblask na ogród. Okna były nie zasłonięte, a nawet jedno z nich wyglądało na nie domknięte. Przystanął, gdyż niespodziewanie strach zjeżył mu włosy na głowie. A jeżeli w środku domu jest kociół? Być może milicja czeka na mordercę? Chciał się pośpiesznie wycofać, ale było za późno. I tak musiano już dostrzec jego sylwetkę. Podszedł na zwiotczających nogach do drzwi i pchnął je jednym ruchem. Otworzyły się bez najmniejszego oporu. Wewnątrz panowała kompletna cisza, nie zakłócona najmniejszym szmerem. Ostrożnie wsunął głowę do pokoju, ale nie było w nim żywej duszy, natomiast wyglądał tak, jakby ktoś przed chwilą w pośpiechu go opuścił. Fotel był niedbale odsunięty na bok, na stole walały się resztki zgniecionego papieru, leżał kawałek zeschniętego chleba z białym serem i otwarty brulion z jakimiś zapiskami, przy którym stała szklanka z nie dopitą herbatą. Odetchnął z ulgą, ale stale miał się na baczności. Kto wie, czy w innych pokojach obok albo na górze nie czają się mundurowi funkcjonariusze? Jednak kilka minut przeszło, a spokój panował nadal. Przysunął fotel do stołu i usiadł w oczekiwaniu. Był niemal pewny, że macocha zaraz się pojawi. Niewątpliwie wyszła tylko na chwilę z domu po jakieś zakupy. Wzrok jego padł tymczasem na otwarty brulion.

Odruchowo wziął go do ręki i z nudów zaczął czytać.

– O, do diabła! – krzyknął, po przejrzeniu kilku kartek. – O, do diabła! – powtórzył raz jeszcze – a to ci numer!

W ostatnich dniach Anna czuła się bardzo źle. Choroba serca zaatakowała ją z niespotykaną dotąd siłą. Być może wpłynęła na to wizyta u Grąszyców, którą rozpamiętywała w czasie bezsennych, gorączkowych nocy, pełnych widziadeł i sensacji. Prawdopodobnie również musiała się zaziębić, organizm był wyczerpany i nie mógł przewyciężyć stanów zapalnych. Przy tym ogarnęła ją absolutna apatia i zniechęcenie do podjęcia jakiegokolwiek wysiłku. Nie leczyła się wcale, tylko snuła w szlafroku po mieszkaniu, samotna, pogrążona bez reszty w swoim cierpieniu fizycznym i psychicznym. Teresa Molnicka, której z wielkim trudem udało się do niej dostać, przestraszyła się jej bladej twarzy, zastygłej w martwocie i bólu. Jednak wizyta młodej adwokatki przywróciła Annie poczucie rzeczywistości. Przekazała jej znów część swoich spraw, wysłuchiwała nowin i plotek z zespołu, dała się wciągnąć w wir ciekawostek z kuluarów życia sądowego. Największe wrażenie zrobiła na Annie wiadomość o bytności Irminy Ryńskiej w zespole. Teresa długo wahała się, czy powtórzyć Annie rewelacyjną wieść o romansie Magdy Grąszycowej z Ryńskim. W zasadzie nie powinna była tego robić, wiązała ją tajemnica zawodowa, ale ponieważ Ryńska nie pojawiła się więcej i nie powierzyła jej sprawy rozwodowej, uznała, że można tę całą historię potraktować jak wykwit rozhisteryzowanej wyobraźni doktorowej przeżywającej okres klimakteryczny. Gdyby mogła przewidzieć, że Anna przyjmie to z takim przejęciem, a nawet przerażeniem, na pewno powściągnęłaby swoje czysto zresztą

kobiece skłonności do „nieszkodliwego” kolportowania nowinek i skandalików z tak zwanego eleganckiego świata.

Hortowska wysłuchiwała tej opowieści z nieprzeniknioną i spokojną twarzą, tylko serce załomotało w jej piersi gwałtownie i boleśnie. Po wyjściu Teresy niespodziewanie zdała sobie sprawę, że nie załatwiła poważnej i najbardziej palącej sprawy, jaką było usunięcie Roberta z „Malwin” i w ogóle z okolic Warszawy. Dziwna rzecz, ale w ciągu minionych dni nie myślała o nim wcale, jakby jego nieoczekiwany powrót nie miał miejsca, a był jedynie częścią przeżywanych przez nią koszmarów z pogranicza snu i jawy. Mimo spóźnionej pory wsiadła do autobusu podążającego w stronę Nasielska. Konduktor ze zdziwieniem przyglądał się wysokiej, chudej kobiecie w szarym, wełnianym płaszczu, zapatrzonej nieruchomo w przestrzeń i nie reagującej na jego wezwania do okazania biletu. Był młodym pracownikiem i niedawno rozpoczął kursowanie na tej trasie, nie widział więc nigdy tej osoby i uznał ją za pasażerkę na gapę. Właśnie miał autorytatywnie nakazać jej opuszczenie wozu, kiedy siwowłosa, bardzo stara kobieta, która od wielu lat znała mecenas Hortowska, a nawet jej babkę, przyzwała go do siebie i uspokajająco szepnęła coś do ucha. Dzięki tej interwencji Anna, nie będąc zresztą jej świadoma, dojechała bez przeszkód na miejsce.

Idąc do swego domu odniosła dziwne wrażenie, że ktoś trzyma ją pod rękę. Była pewna, iż to Zbigniew, ale bała się spojrzeć mu prosto w twarz, choć tak bardzo potrzebowała jego rady i pomocy. Być może ta rada byłaby twarda, nawet straszna w swojej wymowie. Wiedziała, że

jest słaba, a on taki silny, zdolny do zaskakujących czynów, które przejmowały ją lękiem.

Mimo iż tak bardzo pragnęła z nim spotkania, nie oglądając się za siebie, wyzwoлиła ramię z jego uścisku i poszła przed siebie szybszym krokiem.

– Cześć – powiedział Ryszard Rytniak, kiedy zmęczona i zdyszana weszła do pokoju. Nie oczekiwała jego widoku i cynicznego uśmiechu na pełnych ustach, odsłaniającego białe, mocne zęby, jak u młodego, drapieżnego wilka.

– Czego chcesz? – zapytała, opadając na krzesło – i w ogóle jak się tu dostałeś? – rozejrzała się przy tym dookoła, jakby szukając obecności kogoś trzeciego, co nie uszło uwagi Ryszarda.

– Widzę, że nie jesteś zbytnio zachwycona moją wizytą. Powinienem się tym zmartwić, ale, szczerze mówiąc, absolutnie mi to wisi. A wszedłem tutaj przez drzwi, które nieprzezornie zostawiasz otwarte. Radzę ci na przyszłość uważać, mogą cię jeszcze napaść bandyci.

– Mów, o co ci chodzi. Na pewno masz do mnie jakiś interes.

– Nie mylisz się, matko – ironicznie zaakcentował to słowo – widzisz, potrzebuję dużo pieniędzy.

– Nie bądź bezczelny. Mówiłam już ci niejednokrotnie, że nie będę cię utrzymywać. Jesteś młody, zdrowy, możesz pracować. Ja nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań.

– Tak ci się tylko zdaje. Zaczнешz inaczej śpiewać, kiedy ci coś opowiem. Otóż ty i twój zacny braciszek Zbysio zaciukaliście razem pierwszą żonę Grąszycy. Ewunia chyba jej było na imię, prawda? Daliście jej takie lekarstwo, że zaraz po nim wyzionęła ducha. A pan profesor

został żałobnym wdowcem do wzięcia. Tylko że nie ożenił się z tobą. Wolał młodszą – zaśmiał się głośno, głupkowato.

Zerwała się z miejsca bez oddechu, purpurowo-sina na twarzy.

– Kłamiesz! Łżesz! Nie możesz nic wiedzieć! I zostaw w spokoju mego brata, słyszysz. On nie ma nic z tym wspólnego! Nie masz prawa tak mówić o moim bracie!

Trzęsa się tak na całym ciele, że zląkł się o jej życie, naturalnie z komercyjnego punktu widzenia. Gdyby zmarła, cały jego plan spaliłby na panewce.

– Wolnego! Niech się szanowna mamusia nie denerwuje. I tak wiem wszystko – wyciągnął brulion spod pachy i postukał weń palcem – tu stoi jak wół napisane.

– Ty łobuzie! Ty łajdaku! – zaniósła się krótkim, szmatycznym kaszlem – gdzieś to znalazł? Wiesz, głupi jesteś – nagle zaczęła się nerwowo śmiać – to wszystko nieprawda, zmyślane... Po prostu fantazja, nic więcej...

– Ej że! Nie ze mną taka gadka! Nie na darmo miałem tyle lat macochę adwokata. Co byś powiedziała na przykład na propozycję ekshumacji zwłok? Podobno i we włosach można odkryć ślady trucizny. Słyszałem coś takiego o Napoleonie.

Milczała przez dłuższy czas, tylko świszczący oddech wydobywał się z jej krtani: – Ile chcesz? – wy rzeziła wreszcie.

– O, to co innego! Widzę że zaczynamy się rozumieć. Nie bój się, nie będę taki wymagający, ostatecznie nosisz nazwisko mego ojca. Mógłbym zażądać więcej, ale wystarczy mi... no powiedzmy... – rozmyślnie przedłużał drażniącą nerwy sytuację, delektował się jej narastającym

stale niepokojem – no chyba... jakieś trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

– Nic z tego, nie mam tyle.

– Mowa! Taki słynny mecenas nie ma szmalu. Kto by w to uwierzył? Przecież to nie dolary, a złotówki. I pomyśleć za co? Za ukrywanie zbrodni, za cenę spokoju na całe życie. Nie, ja chyba zwariowałem, że chcę tak mało.

– Zamilcz wreszcie! Kto mi zaręczy, że za parę dni nie przyjdiesz znowu?

– Czyżbyś mi nie wierzyła? Nie bój się, zniknę ci z oczu. Na zawsze. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz! No, a teraz dość tych ceregieli. Potrzebuję tych pieniędzy bardzo szybko, ale dla ciebie zrobię wyjątek, udzielę ci zwłoki. To się tak nazywa w języku handlowym, prawda? Za tydzień masz mi przynieść forszę. Jeszcze dam ci znać, gdzie i w jakim miejscu się spotkamy. Pieniądze mają być w kopercie. Widzisz, muszę być ostrożny, żebyś mnie nie przefajniła. Nawet z mamusią trzeba uważać, już takie czasy. I jeszcze jedno! Ja nie żartuję! Jeśli nie dotrzymasz słowa, pan prokurator będzie miał dużo uciechy, kiedy to przeczyta.

Rozdział ósmy

Goście zaczęli się zjeżdżać do domku Grąszyców nad Zalewem Zegrzyńskim na pierwsze inauguracyjne przyjęcie wczesnym sobotnim popołudniem. Najpierw przyjechali zielonym wartburgiem Ryńscy, wkrótce Małobracki, którego podrzucił swoim autem jeden ze znanych plastyków warszawskich, udający się na wczasy do Jachranki, a na koniec przybył swoim czerwonym fiatem 126P doktor

Łusiewicz, przywożąc Annę Hortowską. Namówienie Anny na przyjazd nie było rzeczą prostą. Zastał ją w jej mieszkaniu nie ubraną, w podomce, nie spakowaną, mimo że od dziesięciu dni wiedziała o zaproszeniu. Na wszelkie namowy, aby zmobilizowała się do podróży, odpowiadała, że jest chora, zmęczona i niezdolna do jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi. Dopiero, kiedy Łusiewicz ujął ją mocno za ręce i patrząc prosto w oczy powiedział: – Niech mi pani wierzy, pani Anno, że profesor będzie niepokieszony. Wydaje mi się, że on naprawdę pragnie panią zobaczyć i szczerze porozmawiać – skinęła głową na znak zgody i w ciągu kilku minut przygotowała się do drogi.

Domek Grąszyców, stał nad Zalewem na zboczu pagórka, przytulony do skrawka ziemi, jakby w obawie, że lada podmuch wiatru może go strącić do wody. Ośłaniały go co prawda liczne i dość gęste krzaki i drzewa, a z tyłu broniły od kaprysów aury stare świerki – stanowiące resztki wytrzebionego lasu, ale na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał wywinąć koziołka. Było to oczywiście złudzenie optyczne, znakomity architekt wykonał go według planu gwarantującego bezpieczeństwo i stabilność budowli, a całość dawała zamierzony, niecodzienny efekt, gdyż stanowiła mieszaninę stylu zakopiańskiego połączonego z elementami świątyni budyjskiej, co u Małobrackiego wywołało dreszcz niesmaku, ale laika zaskakiwało nieoczekiwaną koncepcją formy i pomysłowością elewacji.

We wnętrzu, mimo wczesnej pory, paliły się już stojące lampy, przesłonięte jedwabnymi abażurami, i buzował ogień na kominku wykonanym z ozdobnego, czarno-białego kamienia.

Magda w długiej, obcistej sukni z zielonego aksamitu,

z głębokim dekoltem, odsłaniającym szczupłe, opalone ramiona, roześmiana, uwieszona u boku męża, witała gości hałaśliwie i z ostentacyjną serdecznością.

– Strasznie fajnie, żeście przyjechali – mówiła każdemu. – Musimy dzisiaj zaszaleć, nawet Mikuś pozwolił mi się upić. Ale najpierw chodźcie obejrzeć nasz domek. Prawda, że tu jest wspaniale?

Nikt oczywiście nie przeczył, a w oczach docenta Ryńskiego, zwykle zastygłych w nieodgadnionym, kamiennym wyrazie, malowało się pewne podniecenie, połączone z zazdrością.

Najbardziej reprezentacyjny pokój znajdował się na dole. Z wyłożonego belkami stropu, ścian, sosnowych podłóg unosił się specyficzny zapach przesiąkniętego żywicą drzewa. Cepeliowskie meble ciosane z jednej bryły ręką doświadczonego artysty: stół na mocnych, sękatych nogach, niewielki kredensik, drewniane zydle, ławy – stanowiły harmonijną całość, zakłóconą nieco przez supernowoczesne lampy i chiński, bladuróżowy dywan, rozciągnięty na podłodze. W samym środku pokoju umieszczone były wąskie, dość strome schody, obramowane poręczami, prowadzące na piętro. W ich cieniu, jakby w ukryciu, stał politurowany fotel na biegunach z siedzeniem z wikliny. Na półce migotał ostrymi barwami kolorowy, miniaturowy, japoński telewizor Sony i połyskiwały nowym, czarnym obudowaniem kasetowy magnetofon i aparat radiowy. Stół przykryty barwnym, haftowanym obrusem, zastawiony był masą różnorodnych zakąsek, których nie powstydziliby się zakład gastronomiczny kategorii S, oraz bateria butelek z alkoholem zagranicznego pochodzenia, zaopatrzonych w kolorowe nalepki. Małobracki, nieprzejętny łakomczuch i

smakosz, od progu zaczął zerkać pożądliwie na stół.

– Chodźcie, państwo, na górę i rozgośćcie się.. Każdy będzie miał swój pokoik, co prawda niewielki, ale osobny – zapraszał Grąszyc.

– Zaraz zobaczycie, jaki wdechowy gabinet urządziłam Mikusiowi. Może tam pracować od rana do nocy i nikt mu nie będzie przeszkadzał – pochwaliła się Magda. – A jak tylko trochę wypoczniecie, to schodźcie zaraz na dół na coś mocnego.

– Jeśli chodzi o mnie, to mogę już zaczynać. Przy tobie czuję się jak młody bóg – oświadczył Małobracki. – Podaj jakiś zbawczy płyn strudzonemu podróżnemu.

– Harry ma rację, to świetny pomysł. Mikuś – zwróciła się rozkazująco do męża Grąszycowa – oni na pewno zmarli po drodze. Należ nam wszystkim ginu.

Grąszyc posłusznie napełnił kieliszki.

– Za świetną przyszłość tego domu i jego gospodarzy – wznosił toast doktor Łusiewicz.

– Oby te ściany nigdy nie popękały – dodał z powagą Małobracki, wchodząc na schody, które niepokojąco zatrzęszczały pod jego ciężkimi stopami.

– Uwaga! Proszę państwa. Próba techniczna! Jeżeli Harry przejdzie, możemy iść za nim – powiedział Ryński.

Próba się powiodła, wszyscy roześmieli się i udali w jego ślady. Anna stała na uboczu z torbą podróżną w rękę, nie biorąc udziału w ogólnej rozmowie. Grąszyc uśmiechając się podszedł do niej.

– Dla ciebie, Aniu, zatrzymałem pokój na parterze. Pozwól, zaniosę ci rzeczy.

Wyprowadził ją do małego przedśionka, a stamtąd do niewielkiego, lecz luksusowo wyposażonego pokoiku, z

oszkłonymi drzwiami, wychodzącymi na ogród, w którym znajdował się wygodny, pokryty wiśniowym obiciem tapczan, nocny stolik z radiem i dwa foteliki. Na podłodze leżał biało-czarny futrzak i stał kolorowy wazon, wypełniony żółtymi chryzantemami. Grąszyc otworzył drzwi od szafy wbudowanej w ścianę i położył torbę na półce.

– Odpocznij trochę, Aniu – powiedział – wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Dziękuję – Anna skinęła głową. – Ale wydaje mi się, że naprawdę niepotrzebnie tu przyjechałam. Nie potrafię się już bawić i nie umiem dopasowywać się do wesołego towarzystwa. Na pewno zepsuję wam dobry nastrój.

– Nie mów tak, proszę – Grąszyc przerwał jej ze zniecierpliwieniem. – Widzisz, chciałbym z tobą porozmawiać. Nie teraz, trochę później. Mam ci coś ciekawego do powiedzenia, a właściwie muszę zasięgnąć twojej rady. Być może, że to nic ważnego, ale w każdym razie gdybyś mogła mi poświęcić trochę czasu, byłbym bardzo zobowiązany. W Warszawie od dawna nie mogę cię złapać. Dzwoniłem kilka razy, ale nikt się nie zgłaszał. Poprosiłem więc Łusiewiczza, żeby cię do nas zabrał.

Chciała mu powiedzieć, żeby nie zwracał się do niej tak oficjalnie, jak klient do swego adwokata, że ten obcy ton w jego głosie sprawia jej przykrość, ale zabrakło jej siły, poczuła słabość i zniechęcenie. Spojrzała mu tylko prosto w twarz i stwierdziła, że jednak przybyło na niej wiele bruzd i zmarszczek, których przedtem nie знаła, a niebieskie oczy utraciły dawny intensywny kolor. Uświadomiła sobie, nie po raz pierwszy zresztą, że oboje są już starzy i bardzo zmęczeni.

– Mikuś! – ostry, młodzieńczy głos Magdy zadźwięczał niespodziewanie tuż obok za cienką ścianą – Mikuś!

Gdzie ty właściwie się podziewasz? Chodź wreszcie, pomóż mi przygotować kolację. Musimy zaraz usiąść do stołu.

Poruszył się niezgrabnie i potrząsnął ramionami. – Proszę cię bardzo, Aniu, przyjdź po dwudziestej trzeciej do mego pokoju na górę, dobrze? Nie zapomnij...

– Martwię się o ciebie, Wojtku – powiedziała tak cicho, że ledwo ją dosłyszał. Będąc na progu, zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby w ten sposób chciał podkreślić, że w gruncie rzeczy wszystko jest nieważne i mało znaczące.

Na dworze zapadł gęsty mrok, kiedy całe towarzystwo zebrało się przy stole, wiatr uderzał o szyby i potrząsał okiennicami, ale wewnątrz było ciepło i przytulnie. Ogień huczał na kominku, w kolorowych lichtarzach płonęły świece, stwarzając nastrój izolacji od całego świata w tym bezpiecznym i spokojnym miejscu. Magda nastawiła radio i dźwięki najnowszych przebojów wypełniły pokój. Irmina w brązowo-żółtej sukni robionej na drutach, prawdopodobnie przez nią samą, z gładko ściągniętymi nad czołem włosami, wyglądająca jak zwykle elegancko mimo niewyszukanego ubioru, siedziała przy mężu, podnosząc raz po raz na niego swoje sarnie oczy, obwiedzione głębokimi cieniami. Nietrudno było dostrzec, że pomiędzy małżonkami nastąpiło jakieś nowe zbliżenie, im tylko wiadome porozumienie. Przejawiało się to w spojrzeniach, jakie wymieniali, w niedostrzegalnych zdawać by się mogło półuśmiechach, jakimi reagowali wspólnie na toczącą się rozmowę, w dotknięciach rąk, które przy lada okazji szukały z sobą kontaktu. Dyskusja przy stole toczyła się wokół problemów gospodarczych, społecznych, aby zejść na

tematy z zakresu najnowszych osiągnięć kardiochirurgii i na koniec zwekslować na tory happeningów artystycznych i kulturalnych. Zagadnienia te absolutnie nie interesowały Magdy, która z grymasem rozpieszczonego dziecka przeżywała co gorętsze wypowiedzi, prowadzące w labirynt spraw leżących poza sferą jej zainteresowań. Przede wszystkim chciała się bawić, eksponować swoją wyzywającą urodę, odczytywać zachwyty i uwielbienie w oczach otaczających ją mężczyzn. Piła dużo, wybuchając raz po raz kaskadami głośnego, nienaturalnego śmiechu, a w spojrzaniach jej pojawiały się ostre i nieprzyjemne błyski, szczególnie kiedy ciemna głowa Irminy pochylała się blisko w stronę często zwracającego się do niej męża. Z radia płynęła właśnie wiązanka starych, przedwojennych tang, zajmujących obecnie poczesne miejsce w audycjach stylu retro.

– Panie docencie, czy mogę pana prosić – zawołała, dygając jak pensjonarka przed Ryńskim, który w tym momencie zamierzał zapalić papierosa. Wstał i objął ją sztywno ramieniem, niepostrzeżenie szepcząc coś do ucha. Zareagowała na to wybuchem śmiechu i natychmiast przywarła do niego całym ciałem, zarzucając mu obydwie ręce na szyję. Tańczyli tak kilka chwil, na oczach wszystkich ciasno spleceni ze sobą, chociaż widocznym było, iż Ryński czyni wysiłki, aby jak najdalej odsunąć ją od siebie. Anna siedząca przy Małobrackim zanotowała raptowną zmianę w wyrazie twarzy Irminy, nienaturalne rozszerzenie źrenic, bolesne skrzywienie ust. Jerzy Połomski przyciszonym, ekspresyjnym głosem śpiewał „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?”, a Magda, nie odrywając ramion od szyi Ryńskiego, muskała jego pochmurną twarz rozchylonymi, zachłannymi wargami.

Łusiewicz, chcąc ratować sytuację, poderwał się i skłonił przed Irminą, która machinalnie, jak automat, zaczęła tańczyć.

– Ta mała piła dziś i jest wstawiona – zanucił refren popularnej ongiś piosenki Małobracki i konfidencjonalnie pochylił się do ucha Anny. – Młodość się musi wyszumić. My oboje, pani mecenas, patrzymy na miłość z dystansu naszych lat i doświadczeń, ale któż z nas nia chciałby przeżywać na nowo jej wzlotów i upadków?

Melodia urwała się, rozległ się głos spikerki, zapowiadający następną audycję. Ryński uwolnił się z objęć Magdy i, nie całując jej w rękę, oficjalnie odprowadził na miejsce.

– Chodź do mnie, malutka, usiądź na kolanach u staro, bo wprost usycham z zazdrości – Małobracki wyciągnął ręce do Magdy z teatralnym patosem. – A w ogóle, proszę państwa – zwrócił się do wszystkich – co byście powiedzieli na partyjkę brydża?

Propozycja ta spotkała się z aprobatą profesora, Ryńskiego i Łusiewicza. Czwórka graczy natychmiast usadowiła się przy specjalnie do tego celu przeznaczonym stoliku, a Irmina przysunęła krzesło do męża, aby mu kibicować.

– Prosimy, pani mecenas, na piątego – Łusiewicz zwrócił się do Anny, która samotnie została przy stole.

– Dziękuję, nie gram w karty – Hortowska przecząco potrząsnęła głową. – Najchętniej pójdę do siebie odpocząć. Proszę się mną nie krępować.

– Ale co tam! Ma pani jeszcze czas na spanie! – Magda zbliżyła się do niej, lekko się zataczając, ze sztucznym uśmiechem gościnnej gospodyni. – Niech pani

pójdzie ze mną na górę. Pokażę pani gabinecik Mikusia i w ogóle resztę domku.

Początkowo chciała odmówić. Nie miała najmniejszej chęci na zawierania bliższej znajomości z tą dziewczyną, ale wyczytała w jej przymrużonych, nieco zamglonych alkoholem oczach wyzwanie i szyderstwo. Musiała jej stawić czoła, aby nie dać się nasycić zbyt łatwym triumfem.

– Chętnie wszystko obejrzę – powiedziała, wstając z krzesła.

Schody prowadzące na górę były wąskie i kręte. Anna wchodząc musiała przytrzymywać się poręczy, gdyż poczuła zawrót głowy. Magda biegła pierwsza, a jej smukłe, białe nogi, obute w złote pantofle bez pięt, migąły przed oczyma Anny na stromych stopniach.

Na górze znajdował się dość długi korytarzyk, zakończony oknem, z którego prowadziło szereg drzwi do różnych pomieszczeń. Dziewczyna otwierała wszystkie szeroko i po kolei wprowadzała Annę do barwnych, wytwornie wyposażonych wnętrz.

Charakterystyczne dla ich wystroju było, że każdy z niewielkich zresztą pokoiów utrzymany był wyłącznie w jednym kolorze razem z plastikowymi meblami, dywanem i firankami: pierwszy w czerwonym, drugi w zielonym, a trzeci – fioletowym. Dawało to ciekawy i niecodzienny efekt, nasuwający niewątpliwie zwiedzającemu natrętną myśl, że właściciel tego domu nie liczył się z wydatkami.

– Tu będą spali Ryńscy, tam Małobracki, a tu Łusiewicz – objaśniła Magda – a tutaj jest gabinecik Mikusia.

Wnętrze tego pokoiku kojarzyło się od progu z kabiną okrętową pierwszej klasy na luksusowym statku pasażerskim. Wrażenie to sprawiały małe otwory okienne irozciągnięty wzdłuż jednej ze ścian hamak z sieci rybackiej,

służący raczej ku pretensjonalnej w smaku i guście ozdobie niż do użytku gospodarza. Poza tym pośrodku stało biurko, zastawione przyborami do pisania, pełne licznych książek, dwa czarne, skórzane fotele i także leżanka. Drzwi obite były materia z izolacją wyciszającą. Magda zapaliła lampę na biurku, rzucającą wokół duży krąg światła.

– No i jak? – zapytała, opierając się o politurowany blat, gdyż z trudnością utrzymywała równowagę – podoba się pani?

– Bardzo oryginalne urządzenie jak na dom rekreacyjny, a przede wszystkim kosztowne – mruknęła Anna.

– Ach, jeżeli chodzi o pieniądze, to dla Mikusia nie mają żadnego znaczenia. Zrobi wszystko, czego zapragnę. Przecież kupił to dla mnie. On nie żałuje mi niczego. To zrozumiałe... Tyle lat nie miał przy sobie odpowiedniej kobiety. Dopiero teraz jest szczęśliwy.

– Tym lepiej dla pani – głos Anny miał twarde, nie-naturalne brzmienie. Magda przez cały czas nie poprosiła jej, aby usiadła. Stała, z wysiłkiem przytrzymując się krawędzi fotela.

– A niech pani nie sądzi, że nie umiem tego ocenić. Zawsze o nim pamiętam, kiedy jestem za granicą. Na przykład z Turcji przywiozłam mu taki prezent – wzięła do ręki leżący na biurku długi, cienki nożyk do przecinania papieru, o migocącym srebrzyście ostrzu, tkwiący w oprawie wysadzanej różnokolorowymi, drobnymi kamieniami. – To są prawdziwe rubiny i turkusy, wie pani? Mogłam sobie za to zafundować jeszcze jeden kożuch i dwa pierścionki, a wolałam go kupić, żeby mu sprawić przyjemność. On lubi takie ładne drobiazgi, tylko widać nikt nigdy o nim nie pamiętał. Kiedy mu to podarowałam, mało się nie popłakał ze szczęścia i zaraz na

drugi dzień kupił mi kurtkę z lisów.

„Albo jest beznadziejnie głupia, albo nieskończenie podła – pomyślała Anna – ą raczej jedno i drugie. W każdym razie nie mogę dać się jej sprowokować do wymiany zdań.”

– Tu u nas jeszcze nie wszystko jest wykończzone, ale na wiosnę Mikuś obiecał mi wybudować przystań żeglarską i kupić motorówkę. Strasznie lubię sporty wodne.

– Pani wybaczy, że pójde do siebie, jestem bardzo zmęczona.

– Rozumiem, nie chce pani tego słuchać. Niech już sobie pani idzie. Mnie także chce się spać – zaśmiała się cicho i lekko zachwiała na nogach.

Anna skinęła głową, mimo iż dygotała ze zdenerwowania. Prawie wybiegła z pokoju, ale musiała skoncentrować wszystkie siły, aby nie spaść ze schodów i opanować ogarniające ją drżenie całego ciała. Z góry dobiegał hałaśliwy, nieustający śmiech przerywany czkawką.

„Powinam zażądać, żeby Łusiewicz natychmiast odwiózł mnie do domu” – myślała rozpaczliwie. Spędzenie nocy pod wspólnym dachem z tą dziewczyną wydawało jej się nie do zniesienia, nieomal obelgą uwłaczającą godności osobistej. Jednocześnie jednak uświadamiała sobie, że nie może zrobić zawodu Wojciechowi, który oczekuje od niej jakiejś bliżej nieokreślonej pomocy bądź rady i w związku z tym musi tu zostać.

Tymczasem reszta towarzystwa pochłonięta była pasjonującym bridżem. Małobracki rozgrywał właśnie licytowany szlemik bez atu i wszyscy wpatrzeni byli jak zahipnotyzowani w każdy ruch jego rąk. Tylko Irmina

podniosła na nią niespokojne, smutne oczy, kiedy przechodziła obok grających.

Około godziny dwudziestej trzeciej goście i gospodarze rozeszli się do swoich pokoi. W domku zapanowała cisza. Anna ani na chwilę nie położyła się, aby odpocząć, lecz cały czas siedziała w fotelu i śledziła wskazówki zegara. O umówionej z Grąszycem godzinie weszła do stołowego. Pogaszono już światła, więc poruszała się niemal po omacku. Szczególnie trudno było jej wspiąć się po schodach. Grąszyc najwidoczniej z niecierpliwością oczekiwał jej przybycia, gdyż na jej widok zerwał się z miejsca i pochwycił ją za rękę.

– Jak dobrze, że przyszedłeś. Proszę cię, usiądź.

Rozejrzała się wokół siebie i zauważyła zaścieloną, przygotowaną do spania leżankę.

– Nie bój się, Magda tu teraz nie wejdzie – powiedział. – Śpi w swoim pokoju na dole. Chyba trochę za dużo dzisiaj wypija. – Chciał się uśmiechnąć, aby zbagatelizować sens tych słów, nadać im pozór żartu ze słabostki, nad którą można przejść do porządku dziennego, ale wypadło to żałościwie. Anna zbyt dobrze znała każde drgnienie jego twarzy, wyraz oczu, nerwowe ruchy mocno splecionych rąk, aby nie pojąć, że człowiek ten znajduje się na skraju załamania, a może nawet kryzysu wewnętrznego.

Od tych kilku tygodni, kiedy widziała go po raz ostatni w czasie swojej wizyty w mieszkaniu przy ulicy Poznańskiej – zmienił się bardzo. Wtedy promieniowało od niego szczęście, zadowolenie z samego siebie, z pełnego zaspokojenia zmysłów, wpływającego regenerująco na wygląd, na samopoczucie. Teraz postarzał się o kilka lat,

przygarbił, skurczył, jakby czas z nieubłaganą konsekwencją dążył do unicestwienia wszystkich okazanych mu przez chwilę łask.

– Pewno dziwi cię, dlaczego o tak późnej porze chciałem z tobą porozmawiać – zaczął, zagłębiając rękę w kieszeni marynarki – ale chodziło mi o to, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Sprawa jest prawdopodobnie błaha, ale w każdym razie pragnę zasięgnąć twojej rady jako doświadczonego prawnika, bez nadawania temu wszystkiemu niepotrzebnego rozgłosu. Wyobraź sobie, że po raz drugi otrzymuję głupi list o podobnej treści. Właściwie nie powinienem w ogóle przywiązywać do niego wagi i wrzucić z miejsca do kosza, tym bardziej że autor jest anonimowy, ale jest w nim coś, co można by potraktować jako pogróżkę pod moim adresem, i dlatego nie wiem, jak się do niego ustosunkować.

Mówił to wszystko przyciszonym głosem, starając się nadać mu spokojną intonację, ale nietrudno było zorientować się, że jest coś, co tkwi w nim głęboko, siejąc panikę i spustoszenie w jego psychice.

– Proszę cię, przeczytaj sama. Oczywiście jest to próba wymuszenia, i to najniższego lotu. Ktoś niewątpliwie potrzebuje pieniędzy i szuka ofiary. Wolałbym jednak, żebyś się wypowiedziała bez moich sugestii. – Podał jej kartkę papieru zapisaną maszynowym pismem z licznymi zaiksowanymi ustępami, omyłkami i nierównymi odstępami między wierszami. Szybko przebiegła ją wzrokiem.

„Szanowny Panie Profesorze! Jeśli pan dotąd nie wie, że jest pan stuprocentowym rogaczem, a pańska żona zwyczajną dziwką, to w najbliższym czasie mogę pana o tym łatwo przekonać. Oczywiście nie za darmo. Taka informacja musi kosztować. Na razie nie podam panu nazwiska rywala, z którym pana żona się puszcza.

Najlepiej, jak pan osobiście sprawdzi to, o czym pana zawiadomię, bo inaczej mi pan nie uwierzy. Jedno mogę nadmienić, że jest to pana bliski znajomy i kolega po fachu. Pewno pan pomyśli, że to jest wszystko pic na wodę, ale niestety to święta prawda. Wiem, gdzie się spotykają i kiedy, oraz mam ich wspólną fotografię. Będzie pan ich mógł z łatwością nakryć. Poza tym niedługo razem mają zamiar dać nogę z kraju i więcej jej pan nie zobaczy. Jeżeli pan nie chce tej szmacie dalej pozwalać się nabierać i naciągać – to niech pan pojutrze o siódmej wieczorem położy w pojemniku na śmieci na ulicy Świętokrzyskiej przy ulicy Marchlewskiego – trzecim z prawej strony, zaklejoną kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami złotych i odejdzie. Za pół godziny znajdzie pan drugą kopertę z adresem ich garsoniery i nazwiskiem jej właścicielki, która im tę budę wynajmuje, i wiadomą fotografię. Myślę, że pan nie zawiadomi milicji o mojej propozycji, bo po co się panu kompromitować. Przy tym ostrzegam pana, że jeśli się pan szybko z nimi nie załatwi, to może pan szybko zostać wyekspediowany na tamten świat. Ona pana nienawidzi! Życzliwy.”

– No i co o tym sądzisz? – głos Grąszycy nabrał sztucznej bez troski. – Wydaje mi się, że jest to stek plugawych kłamstw, spreparowany przez kogoś, komu zależy na zakłóceniu nam życia. Czy uważasz, że powinienem nad tym przejść do porządku dziennego i całkowicie zignorować, czy też mimo wszystko nadać sprawie urzędowy bieg, aby odszukać autora i odpowiednio go ukarać? Szczególnie, że ten list poza poważnymi insynuacjami, godzi w moje osobiste bezpieczeństwo?

Milczała, nie mogąc zdobyć się na jednoznaczną odpowiedź. Była pewna, całkowicie, absolutnie pewna, że list napisał Ryszard Rytniak. On jeden mógł zdobyć się na

taką nikczemność, aby zerować na ludzkim nieszczęściu i za tego rodzaju usługę żądać pieniędzy. Prawdopodobnie też w jakiś sposób chciał wyrzucić zemstę na Magdzie, z którą mógł mieć osobiste porachunki. Styl, układ listu, sposób wysławiania się w celowo wyeksponowanym żargonie – wszystko wskazywało na Ryszarda. Jednak nie mogła mu tego powiedzieć ani zasugerować takiego podejścia. Przecież Ryszard dla niej samej stanowił zagrożenie, którego skutków nie chciała, nie była w stanie przewidzieć. Wprawdzie mimo upływu wyznaczonego terminu nie dał dotąd znaku życia, ale ta cisza właśnie była złowróżbna, nie wiadomo jaka eksplozja mogła po niej nastąpić.

– A więc co, co powiesz, Aniu?

– Z punktu widzenia prawnego można do tego rodzaju anonimu nie przywiązywać żadnego znaczenia. W zasadzie nie jest to nawet szantaż, gdyż ów „życzliwy” nie grozi żadną represją w przypadku nie spełnienia jego żądania, proponuje tylko przekazanie informacji i w zamian żąda zapłaty, zresztą bardzo naiwnie, bo bez żadnej gwarancji ze swej strony. Oczywiście można by go oskarżyć o zniesławienie w przypadku identyfikacji pisma, poza tym kierując pod twoim adresem ostrzeżenie dotyczące osobistego bezpieczeństwa, dopuszcza się wykroczenia, gdyż wniesiony w ten sposób niepokój może wyrzucić ujemny wpływ na zdrowie, a nawet życie odbiorcy tego rodzaju wiadomości, zależnie od jego odporności psychicznej. Biorąc jednak pod uwagę różne aspekty tej sprawy, uważam, że możesz o niej z całym spokojem zapomnieć.

Po tych słowach zapadła cisza. Grąszyc ukrył twarz w dłoniach, jakby mu to było potrzebne do sformułowania swego zdania a ten temat. Niewątpliwie gnębiła go jakaś

myśl, Której nie miał odwagi wydobyć na światło dzienne, której się tragicznie bał, a jednocześnie wstydził.

– Rozumień, Aniu – powiedział wreszcie cichym, zdławionym głosem – i dziękuję ci za radę. Ciężko mi było o tym mówić nawet tobie i przyznam się, że trudno jest mi się z tym uporać, aby żyć tak, jakby nic nie zaszło. Bo gdybym miał pewność, że ten człowiek nie mówi prawdy... – raptownie przerwał i oderwał ręce od twarzy poszarzałej od bólu i wewnętrznego cierpienia.

– Tego niestety nie mogę ci zagwarantować – powiedziała cicho – a teraz wybacz mi, już pójdę, jestem bardzo zmęczona.

Skinął machinalnie głową, lecz nie wstał, aby ją pożegnać. Wyglądało na to, że przygnieciony ciężarem własnych myśli nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje.

Na schodach ogarnęła ją duszność, serce boleśnie zadudniło w piersi, zwiotczone nogi odmówiły posłuszeństwa. Zsuwała się po stopniach prawie na czworakach, ale nie chciała wzywać pomocy. Po omacku dotarła do fotela na biegunach. Opadła nań, oddychając ciężko i z wysiłkiem. Nagle usłyszała nad głową charakterystyczne skrzyknięcie. Ktoś schodził ostrożnie na dół i zatrzymał się w gęstym mroku zalegającym pokój.

– Wit! – usłyszała wyraźny szept, dobiegający z odległości kilku kroków od miejsca, w którym się znajdowała – jesteś nareszcie!

– Magda, czyś ty oszalała? Dlaczego napisałaś do mnie tę kartkę? Czego chcesz ode mnie?

– Twój kotek po prostu miał chęć cię pocałować, stęsknił się za tobą.

– Teraz, tutaj?! Co ty wyprawiasz? Słuchaj, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

– Dobrze, ale najpierw mnie pocałuj.

Szept stał się niedosłyszalny, jakby zdławiony kilkoma pośpieszonymi oddechami.

– Magda, to nie jest odpowiednie miejsce do okazywania sobie wzajemnych czułości. Zrozum – to szaleństwo! Proszę cię, idź natychmiast do swego pokoju. W poniedziałek się spotkamy i wiele sobie wyjaśnimy.

– Ja nie chcę czekać do poniedziałku! Pragnę dziś w nocy być z tobą. Musisz przyjść do mnie choćby na krótką chwilę.

– Jesteś pijana i niepoczytalna! Mam już tego wszystkiego dosyć. Czyżbyś sądziła, że zgodzę się na wywołanie skandalu pod dachem domu profesora, i to będąc jego gościem? Wracaj w tej chwili do siebie! Bądź rozsądna!

– Nic się nie bój, on się o tym nie dowie, myśli, że już dawno poszłam spać. Jest głupi, beznadziejnie głupi, wierzy we wszystko, co powiem. – Zaśmiała się niewyraźnie, bełkotliwie.

W tym momencie schody znów lekko zatrzeszczały nad głową Anny, zdradzając jej obecność kogoś, kto od pewnego czasu był jeszcze jednym niemym świadkiem sceny rozgrywającej się w ciemnościach. Odgłos ten jednak nie dotarł do zajętej sobą pary.

– Zapominasz chyba, że nie jestem sam, że przyjechałem tu z żoną. Radzę ci, idź spać.

– Żoną, żoną – powtórzyła urągliwie – powinieneś ją już do tego przyzwyczaić, że możesz robić, co ci się podoba. Przecież niedługo wyjeżdżamy...

– Cicho! – syknął – nie mów głupstw, gdybyś tyle

nie wypić, porozmawiałbym z tobą inaczej. I tak dziś do ciebie nic nie dotrze.

– Słuchaj, kotku. Ty jednak jesteś jakiś dziwny. Idę teraz lulu, ale czekam na ciebie. Jeżeli nie przyjdiesz do mnie w nocy, jutro sama powiem o nas Irmince. Z detalami – znów szept przeszedł w urywany, drwiący śmiech.

Kiedy dookoła ucichło, Anna ciężko wstała z fotela. Szła do siebie chwając się, z rękami przyłożonymi do rozpalonego czoła.

– Jaka to podłość, jaka to podłość! – usta jej bezwiednie wypowiadały te słowa, mimo iż całą siłą woli usiłowała panować nad sobą.

Rozbierała się powoli, leniwie, bezładnie rozrzucając gdzie popadło różne części garderoby. Było jej gorąco, duszno, w głowie szumiały opary alkoholu, przez które przebijała niejasna myśl, że zachowała się głupio i niepotrzebnie wywołała całą tę hecę z Ryńskim. Z dotychczasowego, dość bogatego doświadczenia wiedziała, że kiedy wypije – zdolna jest do wszystkiego, do największych rozróbek, jakby jakaś wewnętrzna siła sterowała jej postępowaniem i pchała do różnych, awanturnych czynów. Przez dłuższy czas ostatnio, wcieliwszy się w skórę pani profesorowej – usiłowała z tym walczyć, poskramiać w sobie tego rodzaju zapędy, wobec czego przede wszystkim mniej piła alkoholu, aby nie prowokować złego. Przynajmniej na razie zależało jej na utrzymaniu pozorów. Tyle już razy na skutek doznawania niespodziewanych reakcji pod wpływem wódki wpadała w rozmaite kłopoty, z których często wyciągał ją Rysiek. Dzisiaj jednak znów przekroczyła miarę i hamulce zawiodły.

W gruncie rzeczy była zła na Ryńskiego, że ją tak potraktował. Nieoczekiwanie wyczuła w nim niechęć i obcość. Wzbudziło to w niej natychmiastowe pragnienie wywarcia na nim zemsty. Miała jednak nadzieję, że wszystko się między nimi jeszcze dobrze ułoży. Wydawał się jej przecież mężczyzną w oparciu o którego miała szanse wypłynięcia na szersze wody za granicą, łącznie z perspektywą usidlenia milionera z prawdziwego zdarzenia. Czyżby jednak Ryński pogodził się z żoną, a ją miał zamiar wykiwać? Myśl ta wprawiła ją w stan podniecenia, które – znając siebie – mogła tylko ukoić nową dawką alkoholu. Jeżeli chodzi o męża – to lekceważyła go zupełnie, gdyż zdążyła już poznać jego słabostki i wiedziała, że uroda jej i młodość wywierają na niego nieograniczony wpływ, dzięki któremu mogła nim kierować jak bezwolną marionetką. Teraz też ani przez moment o nim nie pomyślała. Nigdy nie miała zamiaru spędzić z nim całego życia i nie uwzględniała jego osoby w swoich perspektywicznych planach na przyszłość.

Boso i w krótkiej, jedwabnej halce, spadającej z ramion podeszła do szafy, gdzie miała ukrytą butelkę koniaku. W tej chwili ktoś ostrożnie, ale mocno zapukał w szyby od strony ogrodu.

Zastygła na miejscu, nasłuchując. Pukanie powtórzyło się wyraźne i natarczywe. Uśmiechnęła się zwycięsko. A więc Ryński uląkł się jej groźby. Z całą satysfakcją doprowadzi do tego, że za parę minut będzie błagał u jej stóp o przebaczenie.

Po krótkim szamotaniu otworzyła okno. Wiatr gwałtownie wtargnął do pokoju, owiewając ją ostrym smagnięciem.

– To ty? – powiedziała ze zdziwieniem i cofnęła się w odruchu niechęci – po coś tu przyszedł?

Mężczyzna w skórzanej kurtce zwinnym ruchem wspiął się na parapet i wskoczył do pokoju.

– Nie rób takiej głupiej miny! – syknął – nie mam czasu na gadanie. Gliny depczą mi po piętach. Potrzebuję dziesięciu tysięcy złotych, żeby gdzieś na razie prysnąć. Potem ci zwrócę z procentem.

Ujęła się pod boku z wulgarnym, pijackim chichotem.

– Zidiociałeś? Nic ci nie dam! Żadnej forsy, ani grosza! Już ci raz powiedziałam, żebyś się odczepił. Mam ciebie dosyć. A teraz wynoś się, bo zacznę krzyczeć.

Usiłował złapać ją za rękę, ale wyrwała mu je z mściwą nienawiścią.

– Słuchaj, Magda, jesteś pijana jak bela i nic nie rozumiesz. Moja melina w Piastowie jest spalona. Całą okolicę przetrząsa milicja. Nie mogę tam ani chwili dłużej siedzieć. Muszę zwiewać albo parę dni gdzieś przesiedzieć.

– Zamordowałeś kogoś, czy co, że się tak boisz?

– Nie wiem. Stuknąłem jednego faceta chyba trochę za mocno. Nie chciałem go wykończyć, ale oni tego nie rozumieją. Może zresztą szukają kogoś innego albo chodzi o zupełnie inną sprawę, o dolary albo o recepty na morfinę, które wykradałaś swojemu staremu. Jeśli mnie złapią – sypnę ciebie, możesz być pewna.

Ładna twarz dziewczyny zmieniła się pod wpływem szału, który ją ogarnął, w ohydną, zwierzęcą maskę, a na usta wystąpiła piana.

– Spływaj stąd, zaraz, ty gnojku, ty – z ust jej bluznęły stek plugawych przekleństw – nie dam ci się zastraszyć. Nic mnie nie obchodzą twoje łajdackie sprawy. I nie boję się twoich pogroźek, nie dam ci się zastraszyć! Możesz się nimi wypchać! Myślałeś pewnie, że sobie znalazłeś na całe

życie dojną krowę, co?! Ale nic więcej ze mnie nie wyciągniesz, ani gronia!

– Jesteś podła i głupia! – wycharczał, cofając się do okna – chciałem ci dać spokój, ale teraz tego pożałujesz. Jeszcze mnie popamiętasz!

Jednym susem – jak kot, odbił się od podłogi i rozpląnął w ciemnościach otaczających dom.

Anna leżała na tapczanie z otwartymi oczami. Potworny ból rozsadzał jej czaszkę, puls łomotał w skroniach, serce waliło w piersiach nierównym rytmem. Czowała wciąż wzrastającą gorączkę, doprowadzającą ją do maligny, do dziwnych, niepokojących widziadeł. Na przykład zobaczyła w pewnej chwili twarz Ryszarda w świetle zawieszanej na ścianie domu latarni, rozpląszczoną o szybę drzwi, a tym samym nieco zniekształconą. Co prawda natychmiast obraz ten zniknął, ale wrażenie obecności Rytniaka pozostało. Nie miała nawet siły, aby analizować przyczyny jego pojawienia się w tym domu. Zapewne śledził ją, aby okrutnie zdemaskować wobec człowieka, na którym najbardziej jej w życiu zależało. Z drugiej jednak strony wobec planowanego wymuszenia pieniędzy również i na profesorze, tego rodzaju zachowanie – gra w otwarte karty – byłoby ze strony Rytniaka co najmniej nieostrożne. Nie była zdolna myśleć o tym więcej, gdyż czerwona mgła przesłoniła jej oczy, a potem nagle rozpląnęła się. Wtedy ujrzała jakiś przedmiot, jakby kołyskę zawieszoną w próżni, z której wydobywał się płacz niemowlęcia, przypominający miauczenie kota. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że w kołysce znajduje się Robert – mały, kilkumiesięczny, taki, jakim był przed odjazdem do Ameryki.

Chciała przytulić go, przewinać, a jednocześnie panicznie się bała, że ujrzy tam nie dziecko, a jakiegoś potwora, którego widok pozbawi ją zmysłów. Kołyska nagle spadła jej na piersi. Ocknęła się, na czoło wystąpił pot, oddech stał się równiejszy.

Robert... Odszedł od niej tak nagle, jak się pojawił. Nie szukała go, mając w głębi ducha przeświadczenie, że ujął się ambicją i postanowił rozpocząć życie na własną rękę. Nie miała złudzeń co do stanu jego uczuć – musiał ją nienawidzić. Nagła, niespodziewana myśl przeszła ją powodując, że wpół uniosła się na tapczanie. A jeżeli Robert również przeczytał jej pamiętnik? W takim razie wie wszystko o swoim pochodzeniu. Być może zechce wykorzystać te wiadomości, zniszczyć ją, złamać, obierając ten najskuteczniejszy sposób zemsty za zło, którego od niej doznał, a również przy okazji osiągnąć zyski finansowe. Nic przecież nie wiedziała o swoim synu, jak życie, które spędził z dala od niej, ukształtowało jego charakter. Czy był dobry czy zły, łagodny czy okrutny? Dlaczego dotąd nie spaliła pamiętnika?! Ona – świątły prawnik, zdający sobie sprawę z wagi dokumentu, zawierzyła jak niedoświadczona pensjonarka kartom papieru tajemnicę swego życia.

Wtedy, pisząc to wszystko, wyładowując swoje najintymniejsze odczucia, doznała niewysłowionej ulgi, jakby odbyła spowiedź przed konfesjonalem, ale potem powinna była wyznania te zamienić w popiół, pogrzebać razem z przeszłością. Zanadto była pewna, że nikt niepowołany nie przekroczy progu jej samotni, którą odbudowała z gruzów. Teraz może stać się igraszką w rękach obu tych młokosów...

Gorączka opanowała ją na nowo, wywołując niesamowite, nierealne zjawy, ujrzała bowiem przed sobą

nienaturalnej, monstrialnej wielkości posąg bogini ze złotego metalu o stromych, gładkich piersiach, ze skrzyżowanymi rękoma, zakończonymi szpiczastymi, krwiożerczymi paznokciami, o twarzy zastygłej w szyderczym uśmiechu, w której płonęły fioletowe, zuchwałe oczy, mające rażący, nie dający się niczym ugasić blask, nie do zniesienia dla ludzkiego wzroku. Wiedziała, że dopóki nie unicestwi, nie zniszczyć źródła tego blasku, nigdy nie zna spokoju, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jest to zły, gorączkowy sen, i całą siłą woli pragnęła się z niego wyzwolić. W pewnej chwili udało się jej – zmora zniknęła. Pozornie wszystko wróciło do normy. Sprzęty odzyskały swój zwykły, realny kształt. Leżała na tapczanie jak przedtem, w ciszy nocy, a nawet poczuła się znacznie lepiej, ból głowy prawie ustąpił, serce biło równiej, regularniej. I wtedy ku swemu nieopisanemu zdumieniu zobaczyła, że drzwi prowadzące na ogród otwierają się powoli, a na progu ukazuje się sylwetka mężczyzny. W migotliwym świetle płynącym od latarni dojrzeć można było zarys jego głowy, wysokie czoło, orli nos... Poznała go od razu i fala nieopisanego szczęścia podpłynęła do jej serca. A więc jednak odnalazł ją, znów po tylu latach milczenia, jest tuż obok, aby otoczyć ją opieką, udzielić pomocy, w chwili kiedy tak bardzo jej potrzebowała.

Jak mało się zmienił... Tak samo młodzięncy, piękny, doskonały w każdym ruchu i geście, jak dzieło sztuki, którego nie narusza czas. Zbliżył się do niej i siadł na tapczanie, obejmując w uścisku obie jej ręce. Nie zapyta go o nic, gdyż nic nie ma znaczenia poza tym, że wrócił, że są razem i stanowią jedność tak jak zawsze, jakby biło w nich jedno serce i jedna krew przelewała się przez żyły. Cała

przeszłość odeszła, zniknęła, byli znów małymi dziećmi, podróżującymi nocą na dalekie wyspy. A więc nie myliła się, wyczuwając w ostatnich czasach jego obecność w pobliżu siebie, bezbłędnie rozpoznawała go w tłumie przechodniów. Miała co prawda niejasny, mglisty żal, że dał jej tak długo czekać, nie podchodził do niej, zachowywał się jak obcy, ale to już minęło. Nie będzie robić mu wymówek. Taka taktyka wobec niego jest najlepsza, pozwala na uniknięcie starć, umożliwia harmonijne współżycie w tych krótkich chwilach, kiedy są razem.

Poczuła lekki oddech na swoim czole, a może muśnięcie pocałunku. Razem z nim spłynął na nią błogostawiony spokój i absolutna pewność, że nic już jej złego nie grozi.

Rozdział dziewiąty

Spśród wszystkich osób, przebywających tej nocy w domku Grąszyców, pierwszy obudził się Małobracki. Była godzina dziewiąta trzydzieści, rachityczne słońce przeświatywało za oknem poprzez chmury, a dwa gołębie gruchały na parapecie, postukując dzióbkami o szyby. Był to jedyny zresztą odgłos mącący panującą dookoła ciszę.

Małobracki łypnął okiem na zegarek, syknął z bólu, gdyż potężnie łupało go we łbie, jako że po wczorajszym przyjęciu miał kaca. Nawymyślał sobie w duchu od idiotów, co zwykł był czynić w takich razach, kiedy, przebrawszy miarę w spożyciu alkoholu, odczuwał potem wiadome i żałosne skutki. Dokonawszy tego, poleżał jeszcze około pół godziny, usiłując nie patrzeć na fioletowe

ściany i także krzykliwe, jakby aroganckie w swoim wyrazie meble, które w wyjątkowy sposób szokowały jego odczucia estetyczne, po czym ze względu na suchość w ustach i coraz bardziej wzmagające się pragnienie zwłókł z pościeli swoje ogromne cielsko, przyglądał rozwichrzoną na wszystkie strony świata brodę i udał na poszukiwanie jakiegokolwiek bądź napoju.

– Ki diabeł podkusił mnie, żeby tyle chlać – mruczał, schodząc z postękiwaniem po krętych schodach – a ot i rezultat. Czuję się, jakby mnie kto przekręcił przez maszynkę od mięsa. Już nie te czasy, nie te lata. Swoją drogę Magda ma też niezły spust, chyba nie mniej ode mnie wypija.

W pokoju, gdzie wczoraj całe towarzystwo spożywało sutą kolację, panował niemal zupełny mrok, gdyż światło dnia sączyło się tylko szparami zamkniętych do tej pory okiennic. Małobracki uchylił je, zrobiło się względnie widno i z ciemności wyłonił się stół przedstawiający obraz nędzy i rozpacz, stanowiący istne pobojuwisko po biesiadzie, nikt bowiem nic z niego nie sprzątnął, talerze zaśmiecone były resztkami jedzenia, na obrusie tak wspaniale prezentującym na przyjęcie gości talenty twórców ludowych walały się ogryzki pieczywa, kostki kurczaków, ości ryb, widniały smugi zakrzepłych sosów, plamy rozlanych win i wódek. Małobracki, posławszy półgłosem szereg soczystych uwag pod adresem gospodarności i zamiłowania do porządku pani domu, wszczął poszukiwania jakiegokolwiek płynu, nadającego się do natychmiastowego wypicia poza alkoholem, ale było tego niewspółmiernie mało w stosunku do jego potrzeb – jedynie dwie butelki coca-coli i jedna do połowy wypróżniona piwa. Zaledwie zdążył umoczyć usta, a już miał niepożądanego współnika

do zdobytego łupu. Był nim doktor Łusiewicz, który nęka-
ny podobnymi pragnieniami przyłączył się do artysty parę
minut po dziesiątej.

– Jak Boga kocham, pęknę jak smok wawelski. Czuję
w brzuchu kilka kilogramów siarki. Czy w tym domu nie
ma paru butelek mazowszanki? – biadolił Małobracki po
osuszeniu naczyń z zawartością nadającą się do wypicia. –
Gospodarze śpią, a ty, bracie, lataj jak pies z wywieszonym
ozorem.

– Chyba pójdę do kuchni i zaparzę kawę – oświadczył
smętnie Łusiewicz – mam nadzieję, że Magda nie
będzie miała mi tego za złe.

– Szczególnie, że może obudzić się po południu. W
jej wieku po wódzi ma się dobry sen.

Łusiewicz znalazł wśród mnóstwa naczyń kuchennych
ekspres do kawy i względnie szybko zaserwował sobie i
swemu towarzyszowi po filiżance aromatycznie pachnącego
napoju. Koło pół do jedenastej na schodach ukazała się
Irmina, już ubrana i elegancka jak zwykle, choć ze śladami
zmęczenia na twarzy.

– Niestety, Irminko, nie możemy służyć śniadankiem.
Jak widzisz, wszystko w rosole. Przepraszam za strój nie-
dbały, ale od rana mnie suszy i musiałem się czegoś napić.
– Małobracki z zażenowaniem zapinał pośpiesznie roz-
chełstany na włochatych piersiach szlafrok. – Chyba że nie
pogardzisz udkiem kurczęcia z wczorajszej kolacji – mówiąc
to nadział na widelec kawałek w zastygłym sosie,
wygrzebany spod resztek znajdujących się na półmisku.

– Dziękuję, nie jestem głodna – uśmiechnęła się bla-
do Irmina – ale przyznam, że chętnie napiłabym się rów-
nież kawy.

– I ja także – oświadczył głośno docent Ryński, który
w tej chwili wymuskany i pachnący dobrą wodą kolońską

doszłusował do reszty towarzystwa.

– Łusiewicz zaraz wam przyniesie. Już zdążył poznać z konieczności kuluary kuchenne tego domostwa. Jak się wam spało pod tym wytwornym dachem?

– Nienadzwyczajnie. Tapczan był trochę za wąski – skrzywił się Ryński – ale, mówiąc szczerze, ja w przeciwieństwie do mojej żony jestem potwornie głodny i nie mam zamiaru dzisiaj cały dzień pościć. Jeżeli profesor i Magda nie raczyli do tej pory wstać, należy rozumieć, że mają nas dosyć i że powinniśmy natychmiast wracać do domu.

– Eureka! – wykrzyknął tymczasem Łusiewicz, ukazując się z sześcioma butelkami piwa przytulonymi do łona – patrzcie, co znalazłem.

– Witoldowi się chce jeść – powiedział Małobracki, skwapliwie dobierając się do jednej z butelek – czy nie mógłbyś, Andrzejku, jako osobnik najbardziej tu zadomowiony, zapukać dyskretnie do profesora i przypomnieć, że ma gości. Jestem wyrozumiały i doskonale pojmuję, że trudno mu się wyrwać z objęć swojej nadobnej małżonki, ale przyznam, że i mnie zaczyna nieco burczeć w kiszkach.

– Magda dzisiaj spała oddzielnie w swoim pokoju na dole – odezwała się niespodziewanie Irmina.

– A więc w takim razie, Irminko, zajrzyj do Magdy i obudź ją. Nam, chłopom, nie wypada tego robić, choć z przyjemnością ujrzałbym ją au naturel, tak jak ją Pan Bóg stworzył. Nie chcę się jednak narażać Wojtkowi.

Irmina niechętnie wzruszyła ramionami i spojrzała na męża, jakby szukając w jego oczach aprobaty, ale Ryński ostentacyjnie odwrócił się do okna i wyglądało na to, że aktualnie najbardziej interesuje go rozciągający się w dali krajobraz.

– Ostatecznie możemy sami tu pogospodarować. W lodówce jest masę jedzenia. Proponuję, abyśmy z panią Irminą przygotowali trochę kanapek. W końcu nie znajdujemy się w obcym domu – oświadczył Łusiewicz.

– A ja proponuję bezzwłoczny wymarsz. Widocznie nie jesteście tu mile widziani, skoro się nie pamięta o naszej obecności – wycedził Ryński – nie mam zwyczaju jadać śniadań wieczorem.

– Nie róbmymy z tego takiego problemu i nie bawmy się w konwenanse. Rozumiem, Witku, że nieregularność posiłków źle wpływa na twoje trawienie, ale raz możesz zrobić wyjątek. Wszyscy wiemy, że Magda się wczoraj urznęła i trzeba jej to wybaczyć ze względu na młody wiek i niedoświadczenie jako gospodyni domu – obruszył się Małobracki. – Jak Boga kocham, sam pójdę i wyciągnę ją z łóżka.

– Zostaw – Irmina skinęła ręką, aby powstrzymać jego zapędy i wyszła z pokoju. Słońce wyrzało właśnie zza skłębionych chmur i nieśmiało wśliznęło się do wnętrza, złocąc porozstawiane po wszystkich kątach sprzęty.

– Wypij, Witku, to ci pobudzi cyrkulację krwi – Harry Małobracki wyciągnął do Ryńskiego nie napoczętą butelkę piwa.

– Dziękuję, nie pijam piwa na czczo – zmarszczył brwi Ryński, który w dalszym ciągu wyglądał na niezadowolonego i obrażonego, jakby tego rodzaju naruszenie praw gościnności przez gospodarzy należało do spraw największej wagi, wykraczających przeciw kanonom *savoir vivre*'u.

Głośny krzyk przeciął powietrze, podrywając wszystkich z miejsca. Irmina wbiegła, trzymając się oburącz za szyję z wyrazem obłądnego przerażenia w oczach. Przez

dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z krtani ani jednego słowa.

– Powiedz wreszcie, co się stało – docent potrząsnął ją z całej siły za ramiona.

– Magda! – zawołała wreszcie, wyciągając drżącą rękę w stronę ściany przylegającej do pokoju Grąszycowej.
– Magda! – powtórzyła. – Tam! To straszne! To okropne!

Małobracki, Ryński i Łusiewicz razem rzucili się ku drzwiom. Pokój stał otworem, gdyż Ryńska nie zamknęła go, wybiegając w popłochu. Na rozestłanym tapczanie, w nienaturalnej pozycji, ułożona w poprzek leżała Magda Grąszycowa z głową zwisającą w dół i rozrzuconymi bezwładnie rękami. Była półnaga, w krótkiej, czarnej koszuli, zdobnej w koronki. W piersi tkwił jakiś kolorowy przedmiot. Smuga zakrzepłej krwi spłynęła na pościel z niewidocznej dla oka rany.

Łusiewicz pierwszy pochylił się nad dziewczyną i, poszukując pulsu w bezsilnej dłoni.

– Nie żyje – powiedział głuchym, powolnym głosem.
– Niewątpliwie popełnione zostało morderstwo. Pamiętajcie, że nie wolno nam niczego dotykać ani zmienić miejsca położenia zwłok.

Z ust Irminy znów wydobył się krzyk, przypominający raczej zwierzęcy niż ludzki odgłos, zdławiony w zaraniu pod gromowładnym spojrzeniem męża, zaś Małobracki głośno zakaszał, usiłując w ten sposób zamaskować ogarniające go wzruszenie.

– Zabito ją ostrym narzędziem, prawdopodobnie długim, cienkim nożem do przecinania papieru. Na wierzchu została tylko rękojęść – uzupełnił informację Łusiewicz, pochylając się raz jeszcze nad ofiarą mordu.

– Nie mogę tego słuchać, nie mogę! – Irmina, zatykając sobie uszy, ze spazmatycznym płaczem wybiegła z pokoju.

– Muszę jej dać lekarstwo na uspokojenie – powiedział, podążając za nią Ryński.

– Gdzie jest profesor?! Trzeba natychmiast zawiadomić profesora! – chwycił się za głowę Małobracki.

– Właśnie, profesor o niczym nie wie. To będzie dla niego straszne – przytaknął mu Łusiewicz. – Nie rozumiem tylko, dlaczego nie usłyszał krzyku Irminy.

– Przecież w jego pokoju jest izolacja wyciszająca. Andrzej, idź do niego, ja muszę natychmiast napić się czegoś, co mnie postawi na nogi. W moim wieku takie historie nie powinny się zdarzać – Małobracki postępując wycofał się do jadalni.

Irmina siedziała na brzeżku krzesła i zażywała właśnie jakiś proszek, popijając go wodą ze szklanki, którą trzymała w ręku. Ryński stał nad nią, zapewne szepcząc jej do ucha jakieś uwagi, odnoszące się do zachowania umiaru i taktu w tej trudnej chwili, na które reagowała półprzytomnym spojrzeniem.

Małobracki, nie bacząc na zasady dobrego tonu, zlał resztki koniaku z kilku butelek do jednego kieliszka i wychylił go jednym haustem.

– Jaka szkoda, wielka szkoda tego pięknego ciała – powiedział z namaszczeniem, jakby redagował epitafium dla zmarłej – nieprędko natura wyprodukuje ludzkie kształty o takiej harmonii i doskonałości.

Obudzenie profesora Grąszycy celem zakomunikowania mu tak makabrycznej wiadomości nie należało do łatwych chwil w życiu doktora Łusiewicza.

Grąszyc spał z ręką położoną pod głowę, w rozpiętej na piersiach piżamie. Jego długie nogi zwisały z leżanki, a z ust wydobywało się lekkie pochrapywanie. W pierwszym momencie nie wiedział, co się z nim dzieje, jakby stracił poczucie czasu i rzeczywistości. Łusiewicz domyślił się, że musiał zażyć potężną dawkę środków nasennych.

– Przepraszam, Andrzeju, prawdopodobnie zasnęłam. Musi być już późno. Czy wszyscy już wstali? – powiedział, siadając na kanapie i odruchowo drapiąc się w szyję. – Zaraz przygotuję śniadanie.

– Profesorze, stało się coś strasznego – Łusiewicz postanowił nie obwijać sprawy w bawełnę i od razu wykonać swoją dramatyczną misję. – Musi się pan uzbroić w odwagę. Magda nie żyje. Została w nocy zamordowana.

Grąszyc nie odpowiedział, tylko przełknął kilkanaście razy ślinę i zaczął nieporadnie zapinać guziki przy piżamie, jakby ta czynność była najważniejszą funkcją w jego życiu. Potem niespodziewanie wstrząsnęło nim głośne łkanie i łzy spłynęły po policzkach. Łusiewicz odwrócił się, aby na to nie patrzeć.

– Profesorze, jesteśmy przecież mężczyzmi – mruknął, pomagając mu wstać.

W momencie przestępowania progu sypialni Magdy Grąszyc wydawał się już spokojny, ale widok jej zburzył tę sztuczną równowagę i Łusiewicz musiał siłą powstrzymać go od runięcia na ciało żony. Potem wyprowadził go do jadalni, gdzie opiekę nad nim przejął Małobracki. Oczywiście zastosował najskuteczniejszą, jego zdaniem, na wszystkie najcięższe zmartwienia terapię w postaci szklanki czystej wódki, którą Grąszyc machinalnie wypił trzęsącymi się od powstrzymywanego płaczu ustami.

– Muszę iść zawiadomić milicję – oświadczył tymczasem Łusiewicz, który z racji wieku i stanowiska najniższego w hierarchii zawodowej przejął rolę służebną i sterującą jednocześnie w tym towarzystwie. – Gdzie jest najbliższy telefon?

Okazało się, że w stosunkowo niedaleko położonym budynku wczasowym pracowników resortu komunikacji. Było oczywiste, że nikt nie może opuścić tego domu przed przesłuchaniem ze strony milicji. Co do tego wszyscy byli zgodni, niezależnie od wewnętrznych, ukrywanych zresztą reakcji. Tylko na twarzy Ryńskiego malowała się wściekłość. Pierwszy raz pozwolił sobie tak otwarcie na uzewnętrzanie uczuć, które zazwyczaj umiejętnie trzymał w ryzach pod maską chłodu i rezerwy.

– Czy nikt nie wie, co się dzieje z mecenas Hortowską? – zapytał nagle Małobracki. To proste, zwykłe pytanie wprowadziło wszystkich w konsternację. Anna nie była osobą rzucającą się w oczy, nie błyszczała urodą, nie popisywała elokwencją, znajdowała się poza orbitą osobistych zainteresowań wszystkich zebranych tu osób. Jej szara, zawsze smutna postać pozostawała w cieniu, szczególnie w obecności młodszych, atrakcyjnych kobiet. Tym bardziej w obliczu tragedii, która się tu rozegrała, absencja jej w tym gronie uszła uwagi, okazała się niezauważalna, jakby chodziło o rzecz, a nie o żywego człowieka. Łusiewicz i Małobracki poczuli coś w rodzaju zawstydzenia, a potem przerażenia.

– Chodźmy sprawdzić do jej pokoju. To dziwne, że się dotąd nie pokazała – zdecydował artysta, ruszając się z miejsca.

Hortowska leżała spokojnie na tapczanie, z twarzą zwróconą do ściany. Jednak ten spokój, cisza i nieruchomość ciała zdawały się nie wróżyć nic dobrego.

– Na litość boską! – krzyknął Małobracki – toż chyba jakiś zwyrodnialec chciał nas wszystkich dzisiaj w nocy wymordować! Albo może grasuje tu jakaś szajka! Jeszcze chwila, a szlag mnie trafi!

Łusiewicz bez zwlekania podsunął delikatnie rękę pod głowę Hortowskiej, przyłożył głowę do jej piersi i poszukał tętna w dłoni.

– Na szczęście żyje – powiedział po chwili, – Ale znajduje się od dłuższego czasu w stanie zapaści. Niewykluczone, że jest to bardzo rozległy zawał serca. Musi natychmiast zostać odtransportowana do szpitala. Zaraz zadzwonię po karetkę reanimacyjną.

Porucznik Leszek Warowski z Biura Kryminalnego Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, zawezwany przez swoich kolegów z Zegrza w związku z morderstwem popełnionym w willi profesora Wojciecha Grąszycy na osobie jego żony, siedział przy stole do niedawna zawalonym resztkami kolacji z wyrazem zaaferowania na twarzy. Ekipa techniczno-dochodzeniowa ukończyła już swe czynności: zrobiono liczne zdjęcia fotograficzne, zabezpieczono wszelkie możliwe ślady i odciski palców, odwieziono ciało do Zakładu Medycyny Sądowej, a teraz czekało go nieprzyjemne zadanie. Musiał wstępnie przesłuchać wszystkie osoby, które spędziły noc pod tym dachem. Oczywiście poza adwokat Anną Hortowską, która odtransportowana została do szpitala w stanie wykluczającym jakikolwiek kontakt, mimo iż odzyskała przytomność. Towarzystwo było wyjątkowo doborowe: profesor, docent, doktor, sami wybitni naukowcy i znakomity, powszechnie znany dzięki środkom masowego przekazu artysta plastyk.

I w takim to szlachetnym gronie drogą żmudnego dochodzenia, na podstawie eliminacji faktów, drobiazgowych ustaleń, prawdopodobnie licznych ekspertyz, należy szukać zwyrodniałego mordercy, który w okrutny, bezwzględny sposób pozbawił życia urodziwą, młodą żonę profesora. Istniały wprawdzie także poszlaki, że zbrodni mógł dokonać ktoś z zewnątrz, nie będący uczestnikiem spotkania, ale jak dotąd wiele wskazywało na to, że jest inaczej. Trudno jednak przesądzać na samym wstępie o wynikach dochodzenia i budować jakiegokolwiek hipotezy, które przecież mogą nie znaleźć potwierdzenia w stanie faktycznym.

Tak czy inaczej porucznik Warowski był w dość kłopotliwej sytuacji.

– Poproś najpierw tego docenta – zwrócił się do sierżanta Chwałka. – Wydaje się, że najwięcej ze wszystkich śpieszy mu się do domu.

Istotnie wytworny docent wszedł do pokoju z wyrazem głęboko obrażonej dumy na gładko wygolonym obliczu.

– Panie poruczniku, jak długo będę tu przetrzymywany? – zaczął. – Ostatecznie wszystko ma swoje granice. Nie widzę żadnego racjonalnego powodu, aby tu spędzać jeszcze jedną noc. Moja żona jest bardzo zdenerwowana, wymaga absolutnego spokoju.

– Mam nadzieję, że po kilku wyjaśnieniach będziecie mogli państwo stąd odjechać. Jednak sam pan rozumie, że sytuacja jest poważna i wymaga dołożenia maksimum dobrych chęci i wysiłku ze strony wszystkich uczestników tego tragicznego weekendu, aby morderca został wykryty i przykładownie ukarany. Sądzę, że w tym zakresie podziela pan moje zdanie, panie docencie – powiedział Warowski, wskazując mu krzesło. Ryński skinął głową i usiadł, ale

nie porzucił pozy ciemżonego przez barbarzyńców męzczenika.

– Od jak dawna znał pan Magdalenę Grąszycową? – zapytał porucznik.

Ryński przesłał mu spojrzenie, mające wyrażać najwyższe zdziwienie, że tego rodzaju informacja może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy.

Mniej więcej od ośmiu lub dziewięciu miesięcy – odparł kwaśno. – Była pacjentką na oddziale kardiologicznym, którego ordynatorem jest profesor Grąszyc. Ponieważ przyjęta została z podejrzeniem wady serca, wymagającej zabiegu chirurgicznego, poddaliśmy ją wszechstronnym badaniom również na moim oddziale.

– Czy często, ją pan widywał?

Nastąpiła chwila milczenia. Warowski zanotował lekkie drganie ust docenta, które zapewne uszłoby oczom mniej bacznego i dociekliwego obserwatora.

– Zależy, na jakim etapie naszej znajomości – powiedział wreszcie Ryński powoli, jakby ważąc każde słowo. – Jeśli chodzi o jej pobyt w szpitalu, nie częściej niż każdą inną pacjentkę przebywającą na szczegółowych badaniach. Zwróciłem na nią większą uwagę na prośbę profesora, który był nią specjalnie zainteresowany. Stanowiła swoisty przypadek kliniczny, miała inne niż u większości ludzi położenie serca.

– Czy należy rozumieć, że serce jej znajdowało się na przykład po prawej, a nie po lewej stronie?

– No, niezupełnie – docent poruszył się na krześle, a po jego wargach przewinął się cień uśmiechu pełnego politowania dla niewiedzy laików. – Było w pewnym stopniu przemieszczone, ale w sposób nieznaczny i nie zagrażający jej zdrowiu.

– A później jak często ją pan spotykał?

– Po ślubie z profesorem Grąszycem, który nastąpił bardzo szybko po opuszczeniu przez nią szpitala, widywaliśmy się wspólnie. To znaczy profesor zapraszał nas do siebie, a my zrewanżowaliśmy się również jednym czy dwoma przyjęciami, o ile by można tak szumnie nazwać tego rodzaju spotkania w małym gronie. Innymi słowy – łączyły nas tak zwane stosunki towarzyskie.

– Co może pan powiedzieć o Grąszycowej. Chodziłoby mi o krótką charakterystykę jej osobowości.

Znów kilka sekund milczenia. – Na podstawie naszych dość luźnych zresztą kontaktów – docent dobitnie cyzelował każde słowo – uważać mogę, że była to natura nieskomplikowana, oględnie mówiąc prymitywna. Poziom intelektualny raczej mierny, zainteresowania ograniczające się do strojów, błyskotek i wszelkiego rodzaju niewybrednych rozrywek.

– Widzę, że nie jest pan o denatce zbyt wysokiego mniemania. Dlaczego więc, pana zdaniem, tak poważny człowiek, o tak wysokiej randze w świecie nauki, jak profesor Wojciech Grąszyc, zawarł z nią związek małżeński?

– Była bardzo młoda i... ładna.

– Rozumiem. Może powrócimy w takim razie do wydarzeń poprzedniego wieczoru oraz nocy i postaramy się je sobie odtworzyć. Kiedy pan po raz ostatni widział Magdalenę Grąszycową, względnie z nią rozmawiał?

Ryński wcale się nie zastanawiał, teraz odpowiedział niemal błyskawicznie. – Graliśmy w bridża, profesor, Harry Małobracki, Łusiewicz i ja. Grąszycowa poszła na pierwsze piętro z mecenas Hortowską. Nie wiem, ile czasu tam pozostawały, gdyż byłem zajęty grą, ale chyba nie więcej niż kilkanaście minut. Najpierw zeszła Hortowska,

ale powiedziała zaraz „dobranoc” i oddaliła się do swego pokoju. Grąszycowa kręciła się przez kilka minut koło nas i nagle odeszła bez słowa. Myślę, że położyła się spać.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Magda, to jest Grąszycowa – poprawił się – nie była w nadzwyczajnej formie. Oględnie mówiąc, za dużo wypła, a przy jej systemie nerwowym alkohol działa pobudzająco na ośrodek centralny, powodując nieoczekiwane reakcje na przykład w postaci nieskoordynowanych odruchów, nadmiernej pobudliwości, mogących prowadzić aż do ataków furii włącznie. Po kolacji poprosiła mnie do tańca, w czasie którego zaczęła mnie całować, robić niedwuznaczne propozycje erotyczne, czego dotąd nigdy nie czyniła.

– A co na to profesor?

– Zachował się bardzo kulturalnie, czego należało po nim oczekiwać. Udawał, że niczego nie spostrzega. To człowiek odznaczający się najwyższym taktem i opanowaniem. Najwidoczniej zorientował się, że jest pijana i nie odpowiada za swoje czyny.

– A więc w czasie tańca ostatni raz rozmawiał pan z zamordowaną?

– Bezpośrednio tak. Radziłem, żeby się uspokoiła i poszła spać.

– O której godzinie udali się państwo do swego pokoju?

– Około dwudziestej drugiej trzydzieści.

– Czy w nocy nie dotarły do pana jakieś odgłosy z parteru budynku, na przykład otwieranie drzwi, okien, rozmowy, a może krzyki, szamotanina?

Ryński wzruszył niedbale ramionami. – Powiedziałbym o tym panu bezzwłocznie, bez potrzeby przeprowadzania tej indagacji. Orientuję się, jaką to wagę miałyby to dla

dobra śledztwa. Niestety, nic z tych rzeczy. Ja i moja żona spaliśmy mocno, byliśmy bardzo zmęczeni.

– W takim razie dziękuję panu chwilowo, panie docencie. Mówię chwilowo, gdyż niewątpliwie jeszcze niejednokrotnie spotkamy się w komendzie. Cóż, jak panu wiadomo, zmusza nas do tego smutna konieczność.

– Czy możemy odjechać nareszcie do domu?

– Jeszcze nie. Dopiero po przeprowadzeniu krótkiej rozmowy z pańską żoną.

Twarz Ryńskiego poczerwieniała ze złości i oburzenia. – O, co to to nie! Jako lekarz i mąż stanowczo protestuję! Moja żona znajduje się w stanie kompletnego załamania psychicznego i fizycznego. To osoba bardzo delikatna, o słabej odporności na ciosy z zewnątrz. Absolutnie nie nadaje się w tej chwili do żadnej konfrontacji z rzeczywistością. Jej wypowiedzi nie mogą mieć najmniejszej wagi wobec całkowitego braku zrównoważenia. Upprzedzam pana o tym i wyciągnę z tego najdalej idące konsekwencje służbowe, łącznie z zarzutem nadużycia władzy.

– Czy nie za ostro, panie docencie? Wydaje mi się, że nie ma uzasadnionego powodu do takiego zachowania ze strony pana. Uzyskanie pewnych informacji od pana żony, tak jak od pozostałych osób tu zebranych, jest moim obowiązkiem, od którego nie odstąpię, choćby pan miał użyć jeszcze mocniejszych argumentów czy pogróżek. Tym niemniej przyrzekam, że dołożę wszelkich starań, aby rozmowa ta przebiegała bez ujemnych następstw dla zdrowia pana małżonki.

Docent usiłował jeszcze coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale zrezygnował i skinął sztywno głową w odpowiedzi na uprzejmy ukłon.

– Uff ! – odsapnął po jego wyjściu Warowski.

Głowa sierżanta Chwałka, ostrzyżona na jeża, ukazała się w szparze drzwi. – Sprowadź mi tu Ryńską, ale zaraz na jednej nodze, zanim zdąży porozumieć się z mężem.

Ryńska weszła niepewnym krokiem. Miała twarz szarą, bezbarwną, zastygłą w martwocie, w której wyblyskiwały jednak gorączkowym ogniem ogromne, niespokojne, brązowe oczy, koncentrujące cały widoczny niepokój. Warowski zauważył, że jest szczupła, zgrabna i porusza się lekkością i wdziękiem, którego nie można nigdzie się nauczyć, gdyż otrzymuje się go w darze od matki natury. „Baba ma klasę – pomyślał – ale jest w niej coś dziwnego, coś psychopatycznego. Chyba nie chciałbym być jej wrogiem.”

Zaczął od tego, że podsunął jej papierosa. Wyciągnęła chciwie drżące ręce. Stwierdził, że ma dłonie długie, o kształtnych palcach i różowych paznokciach, nie powleczonych lakierem.

– Przepraszam, że panią niepokoję – powiedział – słyszałem od pani męża, że jest pani nieco niedysponowana. Nic w tym dziwnego, zważywszy na szok, jaki pani przeżyła, spowodowany tak niecodziennymi wydarzeniami. Zapewne w najkoszarniejszych snach nie przewidywała pani, że ten weekend będzie miał tak tragiczny, nieoczekiwany finał.

Skinęła głową. – To było okropne – powiedziała. Głos miała melodyjny, choć nieco chrypliwy, tak jakby mówiła na przydechu.

– Czy pani wczoraj rozmawiała z Magdaleną Grąszycową w cztery oczy, bez udziału innych osób?

– Nie, ja nigdy prawie z nią nie rozmawiałam.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie miałyśmy wspólnych tematów. Utrzymywałam z nią stosunki towarzyskie, bo tak życzył sobie mój mąż ze względu na profesora Grąszycy, ale nigdy nie mogłabym się z nią zbliżyć na jakiegokolwiek płaszczyźnie – nerwowo strząsnęła odrobinę popiołu z papierosa, choć nie było to wcale jeszcze potrzebne.

– Powiedziała pani więcej, niż o to pytałem – uśmiechnął się porucznik. – Może pani w takim razie zechce sobie dokładnie przypomnieć przebieg wydarzeń wieczoru poprzedzającego morderstwo. Kiedy po raz ostatni widziała pani Grąszycową żywą?

– Kiedy ją widziałam? – powtórzyła pytanie i dziwny grymas skrzywił jej usta. – No tak, widziałam ją po kolacji, kiedy kibicowałam mężowi przy bridżu.

– Czy nie zauważyła pani czegoś szczególnego w jej zachowaniu?

Podniosła nagle oczy, w których odmalowała się bezbrzeżna, wprost egzaltowana nienawiść. – Ależ ona zachowywała się skandalicznie, była pijana, ledwo trzymała się na nogach, śmiała się hałaśliwie i narzucała mężczyznom. Podczas kolacji poprosiła do tańca i całowała publicznie mego męża w bezwstydnym sposób, jak ulicznica!

W miarę mówienia pod wpływem nasuwających się obrazów podniecała się coraz bardziej. Na twarzy jej wystąpiły ceglaste rumieńce.

– To była podła, okrutna dziewczyna, niewarta, żeby jej podawać rękę. Może nie powinnam tego mówić, ale nie będę jej osłaniać. Jeżeli pan chce wiedzieć, jestem szczęśliwa, że nie żyje! – głos jej przeszedł niespodziewanie w szloch, a z oczu popłynęły łzy.

– Niech pani się uspokoi – miękko odezwał się

Warowski. – Nie przypuszczałem, że nasza rozmowa mieć będzie tak dramatyczny przebieg. No cóż, w takich okolicznościach nerwy wypowiadają posłuszeństwa. Nie będę pani dłużej męczył. Proszę mi tylko powiedzieć, czy nie słyszała pani przypadkiem jakiegoś hałasu, dobiegającego z dołu, po położeniu się spać?

Dławiąc łzy, poruszyła przecząco głową.

– I jeszcze jedno pytanie. Proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie: czy mąż pani nie wychodził tej nocy z pokoju, a jeżeli, to na jak długo?

Zauważył, że oczy jej nabierają napiętego, czujnego wyrazu. Milczała kilka sekund, jakby zbierając siły do odparcia czyhającego na nią niebezpieczeństwa.

– Mój mąż spędził całą noc ze mną i nigdzie nie wychodził – oświadczyła ze stanowczością, której trudno było się po niej spodziewać, biorąc pod uwagę stan nerwów i dotychczasowe nie zrównoważenie w zachowaniu.

– A więc dziękuję pani – Warowski wstał z miejsca z ceremonialnym ukłonem.

– Dlaczego oni oboje kłamią? – mruknął do siebie po wyjściu Ryńskiej. – To ciekawe, oboje wiedzą o wiele więcej, a nie mówią prawdy.

Następny wszedł do pokoju Harry Małobracki.

– Trochę za dużo sensacji w dniu dzisiejszym jak na mój mało wymagający gust – powiedział, sadowiąc swoją masywną postać na krześle. – Słucham, czego chciałby się pan ode mnie dowiedzieć?

– Na przykład jaki nastrój panował na wczorajszym przyjęciu, czy należało do udanych?

– Wydaje mi się, że chyba chodzi panu o to, czy wydarzyło się wczorajszego wieczoru coś, co mogłoby pana, jako stróża prawa i porządku publicznego,

zainteresować. No cóż – moim zdaniem – nic. Było to normalne małe pochłanie, nawet nie orgietka, z dobrym żarciem i niezłym alkoholem.

– Czy pan dobrze znał Magdę Grąszycową?

– Znałem ją bardzo krótko, ale z dość intensywną ilością kontaktów towarzyskich. Ponadto dekorowałem Grąszycyom mieszkanie na Poznańskiej, stąd spotykaliśmy się swego czasu często.

– I co pan sądzi o denatce?

– Mówi pan denatka. To bardzo przykre w odniesieniu do młodej, pięknej dziewczyny. Fajna babka, z rozmachem, gestem. Nieskazitelna budowa ciała, wesole usposobienie, sama wiosna i radość życia.

– A czy nie miała, delikatnie mówiąc, skłonności do nadużywania alkoholu?

– A kto ich nie ma, panie poruczniku. Sądzę, że i pan nie jest abstynentem. Ja osobiście nie dostrzegłem u niej tego rodzaju nałogu.

– A jak zachowywała się wczoraj wieczorem? Może zwierzała się panu z jakichś niepokojów, obaw? Byliście państwo dość zaprzyjaźnieni.

– Ach, nie. Nie mieliśmy czasu na rozmowy. Magda była w szampańskim humorze. Chciała się bawić, tańczyć, a towarzystwo było nieco drętwe. Brak jej było partnera – rówieśnika. To prawda, że trochę więcej popiła niż zwykle, można powiedzieć, że się zalała i całowała tę mumię Ryńskiego, ale w takim stanie pocałowałyby nawet brodatego kozła, gdyby go miała pod ręką.

– A co pan sądzi o pożyciu małżeńskim Grąszyców? Czy Magdalena Grąszycową zdradzała męża?

– Na mojego niucha, czyli na tak zwanego artystycznego nosa – tak. Ale nie w ten sposób, aby mu to mogło przynieść szkodę albo sprawić cierpienie.

- Czy Grąszyc wiedział o tym?
- Panie poruczniku, proszę nie traktować tego, co powiedziałem, jako pewnik. Od razu zastrzegłem, że to tylko supozycja. Ja przynajmniej nie byłem świadkiem żadnej sceny małżeńskiej między nimi.
- A kiedy po raz ostatni widział pan denatkę? Chodziłoby mi o ewentualne podanie godziny.
- Znowu denatkę. Proszę tak o niej nie mówić. Dla mnie to prześliczne stworzenie zapisało się w pamięci jako dzieło natury, godne najcenniejszego pędzla lub dłuta. A ostatni raz widziałem ją podczas gry w brydża, koło dziesiątej. Przechodziła przez pokój i powiedziała „dobranoc”, a może nawet nie powiedziała. Nie pamiętam.
- A w nocy czy nic pan nie słyszał? Czy sąsiedzi pana nie wychodzili z pokoju, może dobiegła pana jakaś rozmowa, głośna wymiana zdań, kłótnia?
- Nic godnego odnotowania. Słyszałem, że się trochę kręcili przed północą. Na pewno ktoś wchodził do Grąszycy, a potem wyszedł. U Ryńskich też otwierano drzwi, ale przecież trudno przywiązywać do tego wagę. Nie przypuszcza pan chyba, że ktoś z nas ją sprzątnął. Zresztą przyznam, że ja popiłem tego i niemal natychmiast po położeniu się do łóżka zmorzył mnie sen.
- Dziękuję panu bardzo, myślę, że się wkrótce zobaczymy.

Doktor Andrzej Łusiewicz sprawił na Warowskim bardzo dodatnie wrażenie. Opanowany, skupiony wewnętrznie, a jednocześnie komunikatywny, idealny, obiektywny partner do rzetelnej współpracy, naturalnie o ile nie był sprawcą, ukrywającym pod doskonale wystudowaną maską – twarzą zbrodniarza. Dziwna rzecz, ale Warowski szczerze nie chciał, aby taka ewentualność okazała się prawdą.

– Słyszałem, że łączy pana z profesorem Grąszycem bliska znajomość, czy od dawna?

– Przynajmniej od kilkunastu lat. Byłem jego studentem, potem asystentem, a teraz jestem współpracownikiem.

– Proszę pana, pan pierwszy oglądał zwłoki i stwierdził zgon. Podał pan też dokładnie, jakim narzędziem Grąszycowa została uśmiercona. Jak wiemy – jest to nóż do przycinania papieru w ozdobnej, wysadzonej szlachetnymi kamieniami oprawie, najprawdopodobniej pochodzenia zagranicznego. Czy kiedykolwiek widział go pan przedtem, a jeśli tak, to gdzie i kiedy?

– Oczywiście, znam ten przedmiot doskonale. To własność profesora Grąszycy. Dostał go od Magdy, która kupiła mu go w Turcji. Cieszył się i chwalił tym prezentem jak dziecko i zawsze kładł na swoim biurku. Stale leży w jego gabinecie na Poznańskiej. Na ten weekend musiał go przywieźć z Warszawy.

– Czy nie wydaje się panu dziwne, że zabrał go ze sobą na tak krótki okres czasu, zaledwie na dwa dni.

– Znając Grąszycyca – nie. Cenił sobie nadzwyczaj każdy przejaw uczucia i pamięci ze strony żony. To człowiek, którego dotknęły w życiu liczne nieszczęścia. Stracił na raka pierwszą żonę, nie miał nigdy dzieci, długo był sam. W Magdzie widział cel swego życia. Stąd to przywiązanie do tego podarku.

– W pewnym sensie rozumiem, co pan ma na myśli. To jest zupełnie możliwe. Czy wczoraj widział pan również ten nóż?

– Tak. Na górze, w gabinecie profesora. Byłem tam zaraz po przyjeździe.

– Czy wszyscy goście zebrani w tym domu mieli do niego dostęp?

– Teoretycznie tak. Drzwi do pokoju profesora nie były zamknięte na klucz.

– Co może pan powiedzieć na temat pożycia małżeńskiego Grąszyców? Czy zdaniem pana żona była mu wierna? A może powstawały między nimi jakieś niesnaski na tle zazdrości, wybuchały kłótnie? Był pan zapewne częstym bywalcem w ich mieszkaniu na Poznańskiej jako bliski współpracownik profesora. Może obilo się panu o uszy to lub owo?

– Niestety, nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Małżeństwo trwało zbyt krótko, aby się kusić o ocenę jego trwałości. Wiem jedno: profesor był szczęśliwy. Pierwszy raz widziałem uśmiech zadowolenia na jego twarzy. Wydaje się jednak, panie poruczniku, że mam panu coś ważnego do zakomunikowania. Czy pan pozwoli?

– Słucham, panie doktorze.

– Jestem pewien, że tej nocy jakiś obcy mężczyzna kręcił się pod oknami na parterze. Przed zaśnięciem mam zwyczaj wietrzyć pomieszczenie. Otworzyłem okno i wtedy zobaczyłem go w świetle wiszącej nad wejściowymi drzwiami latarni. Przemykał się tuż pod ścianami.

– To by w zasadzie zgadzało się z odkrytymi przez nas śladami stóp w ogrodzie i koło budynku. Co prawda ranny deszcz nieco je podmył, ale nie na tyle, aby nie można było zdjąć odcisków. O której to było godzinie?

– Około północy.

– Czy nie wzbudziło to pana niepokoju? Przecież to mógł być złodziej. Dlaczego nie zaalarmował pan profesora?

– Nie chciałem wywoływać zamieszania... Gdyby to był na przykład jakiś dawny znajomy Magdy...

– Składający wizytę o tak niezwyklej porze. To by się już absolutnie nie zgadzało z wizją szczęścia małżeńskiego profesora, którą przed chwilą pan tak pięknie roztoczył.

– Magda była bardzo młoda i nikt nie znał dokładnie jej przeszłości. Zresztą osobnik ten zaledwie mi mignął, opuścił teren ogrodu i pobiegł w kierunku szosy. Nie zdążyłem nawet podjąć decyzji, co robić.

– Czy nie przychodzi panu do głowy, że mógł on przez ten czas dokonać morderstwa?

– Tak, myślałem o tym i to mnie bardzo gnębi.

– Jak dotąd, wszystko wskazuje na to, że dostał się do pokoju Grąszycowej przez okno, najprawdopodobniej został przez nią wpuszczony, a potem opuścił go tą samą drogą, z całą pewnością bowiem drzwi wejściowe nie były przez nikogo w nocy otwierane. Świadczy o tym stan zamków i zasuw ze specjalnym zabezpieczeniem, których nikt nie ruszał. Nie jest jednak możliwe, żeby nieboszczka wstała i zamknęła za nim okno, które zastaliśmy rano zaryglowane od wewnątrz. Mimo to nie wykluczam, że ów mężczyzna był jednak mordercą. Mam na ten temat swoją hipotezę. Czy może mi pan podać jego rysopis? Będzie to bardzo cenne dla dalszego śledztwa.

– Widziałem go tylko przez mgnienie oka. Był wysoki, choć biegł skulony. W czapce naciśniętej na uszy i raczej w kurtce. Twarzy niestety nie dojrzałem.

– A szkoda. Niestety nigdy nic nie idzie jak po maśle. Należy się pocieszyć, że gdyby ta zagadka była zbyt łatwa do rozszyfrowania, efekt końcowy nie przyniósłby satysfakcji. Tym razem – żartuję. O ile by go pan dobrze widział, być może morderca mógłby zostać prędzej ujęty i ukarany. No – mówi się trudno. I tak pan nam wiele pomógł. A, jeszcze jedno. Tak się złożyło, że również pan

pierwszy badał adwokat Annę Hortowską. Jak długo, zdaniem pana, mogła być nieprzytomna?

– Nawet kilka godzin. Wchodzi tu w grę zawał serca i prawdopodobnie migotanie przedsionków. Stan jej jest bardzo ciężki.

– Rozumiem. A czy nie rzucił się panu w oczy jakiś nieład w jej pokoju, coś, co mogłoby wskazywać na zastosowanie wobec niej przemocy?

– Nie, nic takiego nie zauważyłem. Odwrotnie, jej rzeczy osobiste były porządnie poukładane na krześle, a na stole stała torba podróżna, leżały rękawiczki i chyba jeszcze siatka nylonowa, taka jaką nasze panie chętnie używają na zakupy.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy, doktorze. To wielka zaleta u kardiochirurga. Niepowetowana szkoda, że nie mogę porozmawiać z panią Hortowską. Znajdowała się najbliżej miejsca zbrodni i ona chyba najwięcej mogłaby opowiedzieć o tragedii tej nocy.

– Niewykluczone, że doznała wstrząsu, który spowodował zawał serca. Jest chora od wielu lat.

– Dziękuję, panie doktorze. Zechce pan poprosić do mnie profesora Grąszycy.

Wojciech Grąszyc wszedł do pokoju chwiejnym, prawie zygzakowatym krokiem. Wódka, zaaplikowana mu na czczo przez Małobrackiego, zrobiła swoje. Od tej pory nic nie wziął do ust i znajdował się w takim stanie, że wszystko docierało do niego jak przez mgłę.

Warowski zaraz zorientował się w sytuacji i zdecydował, że trzeba szybko i radykalnie postawić go na nogi.

– Musi się pan napić mocnej kawy, profesorze, i zjeść parę kanapek. Inaczej nie będzie pan mógł ze mną rozmawiać.

Zamiast odpowiedzi Grąszyc zrobił bezradny ruch ręką, mający oznaczać, że wszystko na tej ziemi straciło dla niego bezpowrotnie sens i znaczenie.

– Wiem, że dotknął pana ciężki cios, ale życie ma swoje prawa i pan musi się im podporządkować. Nie potrzebuję chyba pana tego uczyć, są to truizmy, które jako lekarz zna pan lepiej ode mnie. Sądzę, że zależy panu na szybkim wykryciu mordercy.

Wszystko inne w takim przypadku jest mało ważne, nawet nieszczęście osobiste i cierpienie po stracie bliskich.

Sierżant Chwałek, któremu porucznik wydał szereg poleceń, uwinął się szybko. Profesor posłusznie wychylił duszkiem kawę, którą przed nim postawił, i zjadł machinalnie kilka kawałków chleba. W gruncie rzeczy musiał być porządnie głodny, tylko nie zdawał sobie z tego w ogóle sprawy.

– Czy wie pan, że żona pana została zamordowana nożem do przycinania papieru, stanowiącym pańską własność? – zaatakował frontalnie porucznik, przestając odgrywać rolę troskliwego opiekuna.

Profesor skulił się w sobie, jakby w tej pozie ciężar przygniatających go słów mógł okazać się łatwiejszy do wytrzymania, a po jego pofałdowanej i zmęczonej twarzy przebiegł nagły skurcz bólu i rozpacz. – Tak. I zupełnie nie rozumiem, jak to się stało – powiedział cicho, prawie szeptem, ale głos mu się łamał ze wzruszenia.

– A więc ustalmy pewne fakty. Kiedy po raz ostatni widział pan nóż na swoim biurku i czy w ogóle tam wczoraj leżał?

– Sam go położyłem po przyjeździe do tego domu. Byłem do niego bardzo przywiązany, gdyż podarowała mi

go żona, a poza tym dużo pracuję, wiele czytam i lubię go mieć pod ręką do przycinania kartek. Kiedy go ostatnio widziałem? Na pewno przed kolacją, a potem... Nie pamiętam. Byłem bardzo zdenerwowany, zupełnie nie patrzyłem w stronę biurka.

– Chyba rozumie pan, że ta okoliczność bardzo pana obciąża?

Profesor wyprostował się i podniósł głowę z godnością.
– Chyba nie sugeruje pan, że to ja zabiłem swoją żonę? Byłaby to najpotworniejsza insynuacja, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem. Jeśli chce pan wiedzieć, jestem w tej chwili jednym z najniebezpieczniejszych ludzi i do końca życia nie przeboleję straty Magdaleny.

– Czy zamykał pan drzwi od swojego gabinetu na klucz?

– Nie, nigdy. Jeśli o to chodzi, każdy mógł tam wejść i wyjść nie zauważony.

– Profesorze, moim obowiązkiem jest wykrzyć prawdy obiektywnej i jak najrychlejsze ujęcie mordercy. Pan musi mi w tym pomóc, niczego nie zatajając. Proszę przyjąć do wiadomości, że wszyscy, którzy spędzili ostatnią noc w tym domu, znajdują się w kręgu podejrzenia. Czy teraz się rozumiemy?

– Tak jest – Grąszyc skinał głową. Poprzednie zamknięcie, powodujące utratę sprawności umysłowej i fizycznej, zdawało się mijać bezpowrotnie. Mimo bladej i smutku rozlanego na twarzy, wyglądał już zupełnie normalnie. – Jestem całkowicie do pana dyspozycji.

– Dlaczego wspominał pan, że był pan poprzedniego wieczoru bardzo zdenerwowany. Czy zaszło coś takiego, co wprowadziło pana z równowagi?

– O tym wolałbym nie mówić – usta Grąszycy ściągnął bolesny grymas – to sprawa bardzo osobistej i delikatnej natury.

– Zdaje się, że przed chwilą złożył pan pewną solenną obietnicę.

– Tak, to prawda – Grąszyc poruszył się niespokojnie na krześle i sięgnął do kieszeni wewnętrznej marynarki, wyjmując z niej kilka starannie złożonych kartek papieru. – Widzi pan, dostałem dwukrotnie anonimowe listy o zbliżonej do siebie, a właściwie prawie identycznej treści, rzucające nikczemne podejrzenie i szkalujące najbliższą mi osobę – moją żonę. Zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego ustosunkować, czy zwrócić się do organów ścigania o pomoc, czy też zignorować je, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. W tej sprawie konsultowałem się wczoraj z mecenas Anną Hortowską, do której mam bezwzględne zaufanie jako do doświadczonego prawnika i bliskiego przyjaciela.

– No właśnie. Co łączy pana z adwokat Hortowską-Rytniak?

– Wieloletnia znajomość, a nawet zażyłość. Prawdę mówiąc, znamy się blisko czterdzieści lat. Mój ojciec był przyjacielem jej babki. Ciężka choroba, jaka ją dotknęła, jest dla mnie jeszcze jednym dodatkowym ciosem.

– I jaka była opinia na temat listów adwokat Hortowskiej? – zapytał Warowski, szybko przebiegając wzrokiem obydwie kartki.

– Poradziła, żebym przeszedł nad nimi do porządku dziennego. Nigdy bym ich też nie wyciągnął na światło dzienne, gdyby nie ta straszliwa tragedia... Nie mogę sobie darować, że nie byłem przy żonie tej nocy. Wtedy na pewno bym jej nie stracił.

– A czy pan nie podejrzewał, że nieznanymi informator może mieć rację?

Po tym pytaniu, którego Grąszyc nie oczekiwał, zapadła dłuższa cisza. Profesor ukrył twarz w dłoniach i wreszcie odezwał się zdławionym głosem: – Jeżeli pan pyta tak obcesowo – odpowiem. Bałem się prawdy, panicznie się bałem. Nie wiem, jakbym na nią zareagował. Ale jednocześnie wierzyłem Madzi. Ona nie mogła tego zrobić. Ten oszust kłamał, kłamał tylko po to, żeby zniszczyć nasze szczęście.

Rozdział dziesiąty

Kapitan Jerzy Broński i porucznik Leszek Warowski, ściśle współpracujący ze sobą przy rozwiązywaniu zagadki zabójstwa Magdaleny Grąszycowej, mieli od kilku dni posępne i niewesołe miny. Śledztwo nie posuwało się naprzód i w zasadzie utknęło w martwym punkcie. Oficjalne przesłuchania wszystkich ewentualnych podejrzanych w Komendzie Głównej MO nie wniosły do sprawy nic nowego, a były prawie wiernym powtórzeniem tego, czego Warowski dowiedział się od nich bezpośrednio po odkryciu zbrodni w domku nad Zalewem. Nie dotyczyło to tylko Irminy Ryńskiej, która obecnie zachowywała się poprawnie, zeznawała rzeczowo bez żadnych ekscesów i subiektywnych aluzji i w ogóle sprawiała wrażenie wyciszonej i wewnętrznie uporządkowanej.

Na tle tych wszystkich wyjaśnień i wypowiedzi postać zamordowanej rysowała się niezbyt wyraziście, ale raczej jako dziewczyny puste, dość swobodnych obyczajów, skrajnej materialistki, a nawet alkoholiczki. Tylko dwaj starsi panowie - Małobracki i osierocony mąż – patrzyli

na nią innym okiem. Jeden jak na ucieleśniony symbol piękna, znakomity twór natury, a drugi – przez pryzmat spóźnionej miłości i okazywanej stale rozpacz – widział w niej młode, szczere, acz spragnione uciech i rozrywek tego świata dziecko.

Wywiady środowiskowe i opinie zebrane w miejscach pracy przedstawiały sylwetki tych ludzi nieskazitelnych moralnie, o wysokiej wiedzy, wybitnych specjalistów, wprost wirtuozów swojej profesji. Natomiast nieznanego osobnika, który złożył nocną wizytę Grąszycowej, nie udało się dotąd zidentyfikować. Rozpłynął się jak mara w mrokach, mgłę i podmuchach wiatru. Dotychczasowy materiał zebrany w sprawie nie pozwalał na wyprowadzenie zdecydowanych wniosków, wciąż brak było dopływu świeżych, rewelacyjnych informacji.

Zgodnie z Wynikami sekcji Grąszycowa zmarła między godziną pierwszą a pierwszą piętnaście w nocy na skutek przebicia mięśnia sercowego ostrym narzędziem, które spowodowało krwotok wewnętrzny, a w konsekwencji natychmiastowe śmiertelne zejście. Znajdowała się wówczas w stanie upojenia alkoholowego, wykluczającego wszelką świadomość tego, co się z nią działo, o czym świadczył wysoki procent alkoholu we krwi denatki. Musiała zasnąć ciężkim, pijackim snem, rzuciwszy się na tapczan bez nocnej bielizny. Żadnych śladów walki, obecności nitek, pyłów, obcych włosów, zdartego naskórka za paznokciami – wszystkich tych elementów, które umożliwiają przeprowadzenie ekspertyz nie stwierdzono. Badania daktyloskopijne nie przyniosły też interesujących wyników. Na butelce z „Napoleonem”, do połowy opróżnionej, stojącej przy tapczanie, znajdowały się wyłącznie

odciski palców zamordowanej, to samo na innych sprzętach. Na klamce zamazane odciski palców należące do wszystkich osób goszczących w domku poza Anną Hortowską. Rękojeść narzędzia zbrodni wytarta, bez odcisków, wskazywałaby raczej na działalność profesjonalisty. W pokoju drobne grudki ziemi, jak również na parapecie okna, pod oknem i w ogrodzie liczne ślady męskich butów mocno podmyte przez deszcz. Pod drzwiami, wychodzącymi na ogród, prowadzącymi do pokoju zajmowanego przez adwokat Hortowską – stwierdzono także ślady butów męskich, ale bardziej jeszcze zniekształcone przez deszcz, który spływał z rynny. Nie było najmniejszej możliwości porównania tych śladów i do wyprowadzenia wniosku, że należały do jednego i tego samego człowieka. Na tym w zasadzie wszelki materiał dowodowy się urywał.

Porucznik Warowski położył na swoim biurku przetworzone przed chwilą akta sprawy i popatrzył melancholijnie na skrawek niebieskiego nieba widniejący za oknem. W tym momencie do pokoju wszedł kapitan Jerzy Broński, który właśnie wrócił z Gdańska, gdzie ostatecznie likwidował swoje sprawy, został bowiem już na stałe przeniesiony do Warszawy na wniosek dyrektora Biura Kryminalnego.

– Cześć, Leszek – powiedział – jest coś nowego?
– Diabli nadali – mruknął Warowski. – Nie mogę z żadnej strony ugryźć tej sprawy.

– Nie bądź takim pesymistą – uśmiechnął się Broński, który dobrze znał zapalczliwość w działaniu swego młodszego kolegi, a jednocześnie posiadaną przez niego umiejętność szybkiego rozszyfrowywania zawiłych zagadek kryminalnych. – Kogo masz teraz na tapecie?

– W zasadzie sprawdziłem już wszystkich: sami kryształowi obywatele, do których nie można nic przypiąć poza wysokimi odznaczeniami państwowymi. A jednak jestem niemal pewien, wprost wyczuwam to przez skórę, że morderca znajduje się wśród nich.

– Na czym opierasz takie twierdzenie? Na dowodach czy na intuicji?

– Człowieku! Przecież każdy z nich, nie wyłączając kobiet, bo zgodnie z orzeczeniem biegłego morderstwa mogła dokonać również kobieta – ma motyw popełnienia zbrodni, wyraźny oczywisty motyw, poza jedną właściwie osobą – to jest Małobrackim.

– Nie lubię spraw, w których za dużo jest oczywistych motywów. Prawda zazwyczaj ukryta jest tam, gdzie jej nikt nie spodziewa.

– Masz rację. Dlatego nie jestem zadowolony z dotychczasowych wyników śledztwa. Jedno jest pewne: Magdalena Grąszycowa była przedmiotem nienawiści i miłości tych ludzi, w swoim krótkim życiu wywołała, mnóstwo konfliktów i napłatała, jak tylko mogła.

– Czy rozmawiałeś z matką Grąszycowej?

– Jeżeli rozmową można nazwać monolog wygłoszony przed nałogową pijaczką, której wyglądu mogłyby tylko pozazdrościć wiźmy z Mackbeta, rezydującej w ob-skurnej melinie na Pradze. Znajdowała się w stadium zbliżonym do delirium tremens i nic nie mogło do niej dotrzeć przez wyziewy alkoholu.

– Trzeba przyznać, że profesorowa miała niezwykle interesujące pochodzenie społeczne. A jaki jest stosunek sąsiadów do tej rodziny? Czy nie udało ci się może ustalić nazwiska jakiegoś amanta, z którym w ostatnich czasach była związana?

– Niestety. Najbliższe otoczenie, sąsiedzi starej

Kłódkowej – to ludzie z marginesu, nie można nic z nich wyciągnąć. A może rzeczywiście nic bliższego nie mogli albo nie umieli powiedzieć? Wiedzą tylko, że Kłódkówna jako kilkunastoletnia dziewczynka wyprowadziła się z domu, że to nic dobrego, w dzieciństwie często od matki brała po buzi, a ostatnio zrobiła jakąś olśniewającą karierę, rozbija się samochodami i ciska pieniędzmi, w związku z czym w domu Kłódkowej znacznie wzrosło spożycie alkoholu.

– A więc na razie fiasko. Czy przesłuchano już adwokata Hortowską?

– O tym w dalszym ciągu nie może być mowy. Niestety wczoraj nastąpił drugi, jeszcze bardziej rozległy załamał serca. Obecnie leży w separacie pod tlenem.

– A jakie masz wieści z zespołu adwokackiego?

– Jak najbardziej pozytywne. Adwokat Hortowska-Rytniak – to prawnik o wybitnej wiedzy i solidny, rzetelny człowiek, bez najmniejszej skazy na opinii. O jej życiu prywatnym właściwie nikt nic nie wie, otoczone jest tajemnicą. Stan cywilny – wdowa. Z nikim nie utrzymuje bliższych stosunków, jeśli chodzi oczywiście o kolegów z zespołu, poza adwokatem Teresą Molnicką.

– Rozmawiałeś z nią?

– Jeszcze nie. W zespole był Chwałek. Ja w tym czasie rozpracowywałem melinę mamusi na Pradze.

– Błąd. Radzę ci to uczynić jak najprędzej. No, a jak z tymi motywami zbrodni, które wydają ci się tak oczywiste?

– Proszę cię bardzo, możemy je jeszcze raz ponownie prześledzić. Przede wszystkim profesor Grąszyc – zakochany starzec, zaślepiony zazdrością o kobietę, która, nie bacząc na otrzymywane z jego rąk dobrodziejstwa, dopuściła

się zdrady. Pozostaje nie wyjaśnione, czy anonimowe listy, które otrzymał, otworzyły mu oczy na prawdziwy obraz jego małżeństwa, czy przechyliły tylko przysłowio-
wą czarę goryczy i pchnęły do desperackiego czynu. Zachowanie Magdaleny w czasie przyjęcia mogło podsycić szalejące w nim pragnienie zemsty.

– Istotnie, wizja bardzo sugestywna i nawet mająca cechy prawdopodobieństwa. Dlaczego jednak profesor wybiera na miejsce zbrodni własny dom, w dodatku zapełniony gośćmi, w którym każdy krok grozi wyspą, a ponadto posługuje się jako narzędziem zbrodni przedmiotem stanowiącym jego osobistą własność?

– Może działa w uniesieniu, wykluczającym wszelką samokontrolę, a może wręcz odwrotnie, realizuje zbrodnię z premedytacją wiedząc, że w ten sposób odwróci od siebie podejrzenie, które siłą rzeczy padnie również na pozostałe, zgromadzone tej nocy w domu osoby.

– A więc reprezentujesz tu dwa stanowiska, a właściwie dopuszczasz dwie biegunowe możliwości: zbrodnia w afekcie i zbrodnia z premedytacją. Obydwie nie bardzo pasują mi do sylwetki profesora. Jedźmy dalej. Kto jeszcze?

– Dwaj mężczyźni, którzy mogli być kochankami denatki: docent Ryński i doktor Łusiewicz. Wszystko przemawia jednak za tym, że amantem był Ryński, świętoszkowaty hipokryta, ukrywający skrzętnie swoje małe i duże grzeszki przed oczyma opinii publicznej, rozkochany w otaczającym go nimbie nieposzlakowanego męża, wolnego od pokus ziemskich, a w gruncie rzeczy karierowicz i dusigrosz.

– Szybko wyrobiłeś sobie tak niepochlebny sąd o panu docencie.

– Oczywiście, zrobiłem to trochę na wyrost, ale mam związany z jego osobą dość obfity materiał dowodowy i chyba się nie mylę. Podległy mu personel i koledzy serdecznie go nie lubią, choć w zasadzie nie mają mu nic konkretnego do zarzucenia. Ostatnio wywindował się na eksponowaną pozycję naukową, co wiąże się z propozycją wyjazdu na placówkę do Filadelfii. .

– Czy człowiek z takimi perspektywami poważiłby się na czyn tak haniebny i sam założyłby sobie pętlę na szyję?

– Być może znalazł się w sytuacji, z której nie było już wyjścia. Szantaż, groźba kompromitacji, niebezpieczeństwo ujawnienia skrytego stosunku przez zazdrosną kochankę, a co za tym idzie ruina wszystkich, tak pięknie zapowiadających się planów – to w sumie mogło doprowadzić go do rozpaczliwego kroku. A okazja jakby sama się nastęrczała: noc, pijana dziewczyna, jeden ruch wymierzony w serce i po wszystkim.

– Bardzo pięknie to przedstawiasz, ale nie wydaje mi się, żeby wyrachowany, zimnokrwisty człowiek mógł w ten sposób zaryzykować całym swoim życiem. Na to trzeba mieć dużo temperamentu.

– Mów, co chcesz, ale zarówno on, jak i jego żona mieliby o wiele więcej do powiedzenia, niż to wynika z protokołów ich zeznań. Tego jestem pewien. W każdym razie motyw jest? Jest.

– A ten drugi ewentualny kochanek, doktor Łusiewicz?

– Tak, on również wchodzi w rachubę, choć wolałbym, żeby tak nie było. Doktor Łusiewicz bardzo mi przypadł do gustu. Sprawia wrażenie człowieka na wskroś uczciwego, rzetelnego i godnego najwyższego zaufania. Wielu jednak wyrafinowanych zbrodniarzy prowadziło

podwójne życie i tu mógłby mieć miejsce tego rodzaju casus. Załóżmy bowiem, że przystojny doktor nawiązał romans z uroczą żoną swego pryncypała, i że romans ten zaczęłby mu do najwyższego stopnia ciążyć, a co gorsza ujawnienie jego groziłoby zerwaniem wszelkich kontaktów towarzyskich i służbowym z profesorem Grąszycem. To mogłoby całkowicie podkopać jego karierę. Podobno obydwaj z profesorem opracowują nowy wariant przeszczepu serca z pokonaniem barier immunologicznych. Bez pomocy i renomy słynnego naukowca, jakim jest profesor Grąszyc, nie osiągnie sukcesu ha światową skalę. Pozbycie się niebezpiecznej dziewczyny jest jedyną szansą uniknięcia skandalu.

– Zaiste byłby to szatański pomysł ze strony miłego ci doktora, ale w końcu jakież to dewiacje umysłowe nie występują u ludzi skądinąd najbardziej szacownych. Wszystko jest możliwe. No, a kobiety? Ekspertyza, jak sam mówiłeś, nie wyklucza, że sprawcą mordu mogła być również kobieta.

– Proszę bardzo. Mecenas Anna Hortowska starsza, poważna pani, o której w zasadzie nic dotąd nie wiemy poza tym, że łączyła ją wieloletnia przyjaźń z profesorem. A może to wzgardzona niegdyś narzeczona albo cicha nie odwzajemniona miłość? Może stale liczyła na to, że Grąszyc kiedyś ją poślubi, a tu jak na urągowisko ożenił się z młodą, diabelnie piękną dziewczyną. Czy nie mogło to wywołać szału nienawiści i pragnienia zemsty u starzejącej się, pozbawionej życiowych szans kobiety? Tej nocy obie śpią koło siebie, młoda rywalka jest pijana, nieprzytomna. Wystarczy po cichu wejść do jej pokoju i zatopić nóż w jej piersi.

– O mało co nie dostałem dreszczy z przejęcia.

Zupełnie jakbym oglądał amerykański horror w telewizji. Zapominasz jednak o jednym niezaprzeczalnym i stwierdzonym ponad wszelką wątpliwość fakcie, że Hortowska w momencie popełnienia przestępstwa była ciężko chora, niezdolna do najmniejszego wysiłku fizycznego. To przekreśla tę twoje tak pięknie wydumaną teorię.

– Niestety, a wielka szkoda. Wszystko by tu pasowało jak ulał. Pozostaje jeszcze Irmina Ryńska. W tym przypadku nie trzeba wcale fantazjować. Motywem zbrodni jest zazdrość przez duże Z i pewne psychopatyczne odchylenia od normy, występujące u tej kobiety. Największym ideałem, opoką jej życia jest mąż. Nie ma oprócz niego nikogo na świecie. Zrezygnowała ze wszystkich ambicji życiowych, zaprzestała pracy zawodowej, podporządkowała się wszystkim jego wymogom. I oto nagle zjawia się kobieta, która może zabrać jej męża na zawsze, w dodatku młodsza i piękniejsza. Ryńskiej nie pozostaje nic innego, jak tylko usunąć ją z tego świata. Prowokacyjne zachowanie dziewczyny przechyla szalę. Uzbrojona w nóż, zabrany z gabinetu profesora, schodzi na dół w nocy, zakrada się do pokoju i zabija ją bezlitośnie.

– W końcu każdą z twoich wersji ma szansę prawdopodobieństwa. Zastanawiam się tylko nad wyborem mordercy.

– Nie żartuj. Ryńska w czasie wstępnego przesłuchania zupełnie się załamała. Krzyczała, łkała wyznając, że nienawidzi Grąszycowej. Taka spontaniczna reakcja może świadczyć o jej niewinności albo spowodowana została całkowitym pęknięciem bariery wytrzymałości psychicznej. Ryński za wszelką cenę nie chciał dopuścić do tego przesłuchania.

– Pozostaje jeszcze w zawieszeniu kwestia noża. W jaki sposób ów nóż – stanowiący narzędzie zbrodni – przywędrował z biurka profesora do pokoju denatki? Czyżby za pomocą sił magicznych?

– Chyba żartujesz jak zwykle. Rozwiązanie jest dziecinnie proste. Już wiadomo, że każdy z obecnych na przyjęciu mógł go wynieść niepostrzeżenie. Niewykluczone też, że zrobiła to sama denatka. Na przykład bawiąc się nim, mogła odruchowo wziąć go i położyć u siebie w pokoju. Po kolacji przecież przebywała na górze domku jakiś czas z Hortowską.

– No tak... Wszystko, co mamy, to poszlaki, przypuszczenia, hipotezy i nic więcej. Oto jak wygląda nasz materiał dowodowy. Czy nie uważasz, że należałoby zwrócić uwagę na tego gościa z zewnątrz? Ponad wszelką wątpliwość w pokoju zamordowanej był tej nocy jakiś obcy mężczyzna.

– Otóż właśnie. Pora jego wizyty, potwierdzona przez doktora Łusiewicza, który go widział, nie zbiega się z godziną dokonania morderstwa. Takie są ustalenia sekcji zwłok. On wyszedł z pokoju Grąszycowej, kiedy była żywa i cała. Ponadto okno rano było zamknięte od wewnątrz.

– Zapominasz tylko, że jest jeszcze jedno wyjście na dwór, a prowadzi ono z pokoju, w którym spędziła noc Hortowską.

– Czyżbyś sugerował, że Hortowską osobiście wpuściła mordercę do domu, a tym samym ułatwiła dokonanie zbrodni, a następnie wypuściła przez swój pokój, zamykając za nim drzwi, po czym jak na zawołanie dostała zawału serca, uwalniającego ją od odpowiedzialności za współudział w morderstwie?

– Można by tak z grubsza tę sytuacją naszkicować, oczywiście zakładając, że zawał nie mógł być sfingowany, a nastąpił samoistnie pod wpływem przeżytych emocji, bo wszakże od lat osoba ta choruje ciężko na serce. Przecież pod drzwiami balkonowymi były ślady stóp męskich. Kto zaręczy, że ów tajemniczy gość, którego widział Łusiewicz, nie wrócił po jakimś czasie, aby wejść po raz drugi do domu? Wiem, co powiesz. Że musiałby być to dobry znajomy i współnik Hortowskiej, a to przypuszczenie wydaje się być wręcz fantastyczne. I że w jej pokoju nie znaleźliśmy grudki ziemi, odcisków palców, żadnych dowodów czyjejkolwiek obecności z zewnątrz. Ale również brak jest śladów na klamce, na rękojeści noża, a to znaczy, że zbrodniarz działał w sposób przemyślany, że znał się na swojej robocie.

– Jednak wejdę ci w słowo. Osobnik, który odwiedził Grąszycową, nie dbał o zatarcie dowodów, pozostawił grudki ziemi, odciski stóp, tak jak już wspominałeś, a zatem równie dobrze mogliby to być dwaj różni mężczyźni.

– Istotnie, dochodzimy do coraz bardziej ryzykownych wniosków. W każdym razie uważam, że powinieneś jeszcze dzisiaj pójść do zespołu adwokackiego.

Czubek głowy Teresy Molnickiej zdobny w misternie skręcone, czarne loczki wystawał na zewnątrz, a reszta postaci ukryta była w całości za aktami sprawy mankowi-cza recydywisty, który oskarżony był o zabór mienia państwowego wartości ponad sto tysięcy złotych, kiedy do uszu jej dobiegł melodyjny głos męski: – Czy można pani przeszkodzić?

Akta opadły na biurko, Teresa spojrzała przed siebie i natychmiast pożałowała, że po wyjściu klienta przed

kilkoma minutami nie przypudrowała sobie nosa i nie poprawiła niesfornej fryzury, gdyż stojący przed nią mężczyzna na pewno wart był takich zabiegów: wysoki, w brązowej wiatrówce, opinającej zgrabną sylwetkę, brunet o niebieskich oczach i z lekka zagadkowym uśmiechem na kształtnych ustach. Nie był co prawda wymarzoną przez nią typem mężczyzny, gdyż stanowczo preferowała jasnych blondynów o chłopięcym wyglądzie, ale żadna kobieta nie mogła oprzeć się stwierdzeniu, że dysponował wszystkimi atrybutami tak zwanej męskiej urody.

„I taki ciężki przystojniak chce się rozwieść” – pomyślała, zaszufladkując go na oko do pewnej określonej kategorii swoich klientów i przybierając jednocześnie jeden z wypróbowanych, najbardziej „szałowych” wyrazów twarzy.

– Bardzo proszę, słucham pana – płynnym ruchem wskazała mu krzesło.

– Niestety, a może na szczęście moja wizyta u pani nie ma na celu porady prawnej i dlatego będzie lepiej, jeśli od razu się przedstawię – Warowski wyciągnął legitymację służbową i pokazał ją Teresie. – Chciałbym, aby pani pomogła w naświetleniu pewnych okoliczności, mających związek z prowadzonym przez nas śledztwem w sprawie zabójstwa Magdaleny Grąszycowej. Chyba nazwisko to nie jest pani obce?

– Nie. Zetknęłam się z nim niejednokrotnie, chociaż nie znałam osobiście ofiary morderstwa. Wiadomość o jej śmierci, która ukazała się w gazetach, zrobiła na mnie duże wrażenie. Ale cóż ja tu mogę pomóc?

– To się okaże. Na razie chodzi mi o pewne informacje dotyczące osoby, z którą, jak mi wiadomo, łączy panią

bliska znajomość, a mianowicie adwokat Hortowskiej-Rytniak. Adwokat Hortowska była gościem Grąszyców w czasie, kiedy zostało popełnione przestępstwo. Niestety jest ciężko chora i nie możemy jej przesłuchać.

– Wiem o tym. Dowiedziałam się, że leży w szpitalu, i byłam u niej, ale nie chciano mnie wpuścić. Bardzo się o nią niepokoję.

– Tak, w tej chwili nie może być mowy o jakimkolwiek bezpośrednim z nią kontakcie. Czy pani mogłaby coś powiedzieć o jej powiązaniach z rodziną Grąszyców, o krewnych, znajomych, słowem wszystko, co jest pani wiadome o jej życiu prywatnym?

– Tylko tyle, że Anna to wspaniały człowiek, świetny prawnik, doskonały kolega. Patronowała mojej aplikacji adwokackiej, pomogła mi ustawić się w zawodzie, za co jestem jej dożgonnie wdzięczna i nigdy nie wypłacę się wobec niej ze swoich zobowiązań.

– To, co pani mówi, jest bardzo piękne i wysoko świadczy o jej wartościach moralnych. Przejdźmy jednak do konkretów.

– Przyznam, że niewiele wiem na temat prywatnych spraw Anny. Nie sądzę też, abym miała prawo z panem o nich mówić, nawet gdybym była w nie wtajemniczona.

– Szanuję pani poczucie dyskrecji, pani mecenas, ale chyba nie powinienem właśnie pani przekonywać o konieczności udzielenia nam wyczerpującej odpowiedzi. Pani jako prawnik wie o tym najlepiej. – Warowski przybrał poważną i urzędową minę i przyjrzał się młodej adwokatce, stwierdzając w duchu, że jest sympatyczna, a nawet pociągająca, szczególnie teraz, kiedy zaniechała

czarującego i efektownego uśmiechu na użytek klientów płci odmiennej.

– Anna od lat prowadzi samotne życie. Nigdy nie była wylewna i nie opowiadała o swoich intymnych przeżyciach. Kiedy ją poznałam, była już wdową. W ogóle nie wspominała swego pierwszego męża. Odnoszę wrażenie, że nie było to małżeństwo z miłości. Ma pasierba, z którym nie wiążą jej zbyt serdeczne stosunki. Chyba miała z nim kłopoty wychowawcze. Nie chciał pracować, wiecznie ją naciągał, nie uczył się i często wplątywał w różne ciemne sprawy.

– Czy może pani podać jego imię, nazwisko, adres?

– Nazywa się Ryszard Rytniak, a mieszka gdzieś w Piastowie, w jakiejś budzie, będącej pozostałością po warsztacie swego ojca, który prowadził tam rzemieślniczy zakład galwanizerski.

– Musi to być jakieś mocno zakonspirowane miejsce. Ostatnio przetrząsnęliśmy niemal wszystkie meliny w Piastowie w związku z poszukiwaniem sprawców napadu na sklepy „Jubitera” i nie natrafiliśmy na takiego osobnika. To może być cenna wskazówka. A co pani wie o jej kontaktach z Grąszycem?

– Anna od bardzo dawna zna profesora Grąszycę. Jest jej bliskim znajomym, właściwie przyjacielem, obawiam się, że jedynym. Kiedyś widywała się z nim bardzo często, sama niejednokrotnie odbierałam od niego telefony, ale od szeregu miesięcy wszystko urwało się. Jestem bardzo zdziwiona, że pojechała na weekend do jego willi.

– Czy to oziębienie stosunków nie wiąże się przypadkiem z niedawnym małżeństwem profesora Grąszycę?

– Sądzę, że tak, i chyba muszę to panu powiedzieć. Anna jest skryta, małomówna, ale rzucało się w oczy, że przeżywa jakiś dramat.

– A więc związana była z Grąszycem uczuciowo? Była jego przyjaciółką?

– To nie jest tak, jak pan myśli. Widzi pan, zeniąc się profesor odszedł od niej, zostawił pustkę w jej życiu, której niczym nie mogła zapełnić. Przedtem dzielił się z nią swoimi troskami i sukcesami, których miał niemało na polu zawodowym. Wiem, że przeżywała je jak swoje własne. Traktowała każdy dowód pamięci z jego strony jak wydarzenie wielkiej wagi. Obserwowałam ją stale i mogę to z całą stanowczością stwierdzić. Można sądzić, że wystarczała jej sama świadomość, że jednak coś znaczy w jego życiu. I nagle wszystko się skończyło. Anna, jako człowiek o wysokiej etyce, nigdy nie dała niczego po sobie poznać, ale małżeństwo Grąszycy z tą młodą dziewczyną było dla niej ciosem. Od niej samej wiem, że Magdalena była bliską znajomą jej pasierba i że dzięki niej Grąszyc ją poznał. Ostatnio Anna jeszcze bardziej zamknęła się w sobie, trudno było nawiązać z nią kontakt, nawet ograniczyła praktykę zawodową. Zresztą coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Najczęściej przebywała w swoim domku pod Nasielskiem, który odziedziczyła po babce.

– Z tego, co pani mówi, wynika, że adwokat Hortowska nigdy nie miała własnych dzieci.

– Jak mi wiadomo nie... Chociaż... – Teresa zamilkła na chwilę i po twarzy jej przebiegł błysk, jakby nagle przypomniała sobie coś ważnego – ale to chyba niemożliwe. To była jakaś pomyłka albo głupi żart.

– Słucham panią – powiedział zachęcająco porucznik.

– Byłam raz w domku Anny pod jej nieobecność. Niespodziewanie zjawił się tam jakiś młody człowiek, który nazwał mnie „matką”, gdyż wziął mnie w pierwszej chwili za Annę Hortowską. Mówił po polsku z akcentem angielskim, a właściwie amerykańskim. Kiedy się dowiedział, że Anny nie ma w domu, szybko odszedł, niczego nie wyjaśniając. Prosił tylko o powtórzenie Annie, że był Robert.

– Czy mecenas Hortowska mówiła z panią na jego temat?

– Nigdy. Zupełnie jakby ten fakt nie miał miejsca.

– To bardzo interesujące. Jeszcze jedno pytanie. Czy zna pani docenta Ryńskiego albo jego żonę?

– Byłam przez krótki czas pacjentką docenta, natomiast jego żona przyszła kiedyś do mnie do zespołu z prośbą o pomoc prawną. Jednak nie pokazała się więcej i nie powierzyła mi prowadzenia procesu w jej imieniu.

– Dziękuję pani, pani mecenas, za tyle cennych informacji. Warowski podniósł się z miejsca i urzekający uśmiech spłynął na jego wargi. Stanowczo bardziej przypominał amanta filmowego niż funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej. – Mam niepłonną nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Rozdział jedenasty

Rytniak palił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem, chcąc zagłuszyć w sobie w ten sposób kipiącą złość, a przede wszystkim uciszyć drżący go od wewnątrz niepokój. Od dwóch dni przebywał w drewnianym baraku, służącym w sezonie letnim za przechowalnię i wypożyczalnię

sprzętu sportowego. Dostał się tu, wyłamując kilka desek zabezpieczających okna, w których brakowało szyb, w nocy po rozstaniu z Magdą, aby przesiedzieć gdzieś jakiś czas, dopóki nie ustaną poszukiwania milicji. Schronienie było zimne, prymitywne, ale znalazł tu drewnianą ławkę, parę połamanych leżaków i trochę żeglarskiego płótna, którym można było się okryć. Najważniejsze, że nikt tu nie zaglądał, co dawało mu iluzję jakiegoś takiego bezpieczeństwa. Kilka razy tylko wieczorem wyszedł chyłkiem do pobliskiego sklepiku, aby zaopatrzyć się w trochę żywności. Przy okazji nabył świecę, którą oświetlał pogrążone w całkowitym mroku pomieszczenie, zasłaniając jak najszczelniej wszelkie szpary w oknach. Czystka dokonywana w Piastowie upewniła go w przeświadczeniu, że Robert Hortowski na skutek odniesionych ran zmarł i że przed śmiercią podał jego rysopis, nieźle już znany wydziałowi kryminalnemu. Poza tym liczne nie ujawnione a dokonane drobne i większe wykroczenia, a nawet przestępstwa, znakomicie uzupełniały jego kartotekę i dawały podstawę organom ścigania do wszczęcia poszukiwań. Ostatnio na koszt Magdy żył jak zwykle na szerokiej stopie, ale wobec wstrzymania przez nią subsydiów nie miał już prawie ani grosza w walucie polskiej i obcej w kieszeni. Kiedy myślał o tej dziewczynie, która tak nikczemnie zawiódła jego zaufanie i plany pokładane na przyszłość, gryzł paznokcie aż do krwi z wściekłości. Na wspomnienie, jak go ostatnio potraktowała w nocy, nienawiść zalewała mu mózg jak kipiący ukrop. Z jednej strony chętnie by ją zbił aż do utraty przytomności, sprawiając, że czołgałaby się u jego stóp i błagała o przebaczenie, z drugiej – nieprzytomnie pragnął tak jak dawniej wziąć ją w objęcia, gdyż w gruncie

rzeczy był w niej dalej po swojemu zakochany. Przeczuwał od jakiegoś czasu, wtedy kiedy na firmamencie pojawił się ten wymuskany, pachnący luksusową wodą kolońską docent, że wszystko między nimi ulegnie diametralnej zmianie, i był o niego dziko zazdrosny. Nie o męża, tego wysuszonego grzyba, którego zapęły miłosne mogły budzić tylko litość w takim jak on osiłku, ale o tego wylizanego fircyka, który w jakiś niewytłumaczalny dla niego sposób działał na otaczające go kobiety. Teraz, leżąc na twardej ławie i wypuszczając raz po raz kłęby gryzącego w oczy dymu, postanowił zacząć jakąś skuteczną akcję. Nie mógł przecież w tej norze zdechnąć jak chory pies z głodu. Musiał prędko coś przedsięwziąć, co mogło przynieść jak najszybciej korzyści materialne. Najgorzej, że nie wziął ze sobą fotografii Magdy i Ryńskiego, którą zrobił z ukrycia na Czerniakowskiej, i czarnego brulionu swojej macochy. W ten sposób sam się pozbawił narzędzi walki, która mogłaby przynieść wkrótce owocne rezultaty. W skrytce swojej meliny podwarszawskiej zostawił, również paszport Hortowskiego, z którego po jakimś czasie mógłby nawet skorzystać, a tak w razie przeszukiwania władz sam się oddawał w ich ręce w oparciu o niezbite dowody winy. Dodatkową przykrością w jego położeniu było odnowienie się rany zadanej mu przez Hortowskiego. Prymitywne warunki, w jakich się znajdował, sprawiły, że ręka spuchła, zaczęła boleć i drętwieć. W tej ciszy, która go otaczała, bezustannie przeklinał swoją głupotę i naiwną wiarę w przyjaźń i pomoc Grąszycowej. Dochodziło do tego, że chętnie naplułby sobie sam w twarz, gdyby mógł tylko to uczynić.

Po długich medytacjach postanowił wrócić do siebie do Piastowa, aby zabrać brulion, paszport i fotografie i

przystąpić bezzwłocznie do wymuszenia okupu na Hortowskiej i Grąszycu. Macochę miał w ręku – to pewne – mógł z niej wycisnąć całą sumę, a nawet zażądać więcej. Niech pani mecenas zapłaci za swoje grzeszki, to jej się należało za jej chłód, obojętność, a nawet wstręt, jakim go darzyła przez całe życie. Kiedy był wyrostkiem, łaknął w gruncie rzeczy ciepła domowego ogniska, którego był od najwcześniejszego dzieciństwa pozbawiony, ale nie umiał tego okazać, a ona nie chciała lub nie mogła zrozumieć stanu jego uczuć. Był też pewien, że bezpamiętnie rozkochany Grąszyc zapłaci każdą cenę, aby uspokoić swoje obawy albo dowiedzieć się strasznej dla niego prawdy. Należało tylko dostać się do Piastowa, przy czym ostrożniej byłoby wypierw wywęszyć, czy nagonka milicyjna została zakończona i czy rzeczywiście dotyczyła jego osoby, gdyż istniała w końcu szansa, że nie miał nic z tym wspólnego. W każdym razie postanowił ukryć się u swego kumpla, na którego życzliwość mógł jako tako liczyć, choć niechętnie korzystał z tego rodzaju gościnności, kończącej się zawsze podziałem zdobyczy. Po długich medytacjach doszedł do wniosku, że jednak musi natychmiast pojechać do Piastowa. Poczekał do wieczora i wymknął się z baraku, starając się jak najdokładniej zatrzeć ślady swego pobytu. Droga autobusem i kolejką zabrała mu sporo czasu. Gdy przybył do Piastowa, dochodziła już godzina jedenasta. Budynek, w którym mieszkał, a raczej ułamek tej budowli, sterczącej na pustym placu, był zatopiony w całkowitej ciemności i ledwo rysował się za otaczającym go, starym parkanem. W kilku susach westchnąwszy z ulgą dopadł do drzwi i zamasyście włożył klucz do zamka. Ledwo przełożył nogę przez próg, we wnętrzu rozbłyśło elektryczne światło i z foteli podniosło

się dwóch mężczyzn o uprzejmym, acz stanowczym wyrazie twarzy.

– Pan Ryszard Rytniak? – zapytał młodszy z nich, przystojny brunet o falującej czuprynie, okazując jednocześnie legitymację służbową. – Jest pan aresztowany.

Od kilku godzin była zupełnie przytomna. Świadomość wracała przebłyskami już od dłuższego czasu. Orientowała się na przykład, że leży w szpitalu, na dość twardym łóżku, że otaczają ją białe, wysterylizowane ściany, dookoła szumi podłączona aparatura, doprowadzająca przez nos i usta tlen, a do żył sączy się powoli kroplówka. Potem zapadała znów w mrok i niebyt, z którego powracała jak z odległej, niesamowitej podróży, w czasie której czyhało na nią tysiące niebezpieczeństw. Kiedy odzyskiwała przytomność, zdawała sobie sprawę, że leży w separacie, że czasami pochyla się nad nią jakaś twarz mężczyzny albo kobiety, najczęściej ubranej w biały, pielęgniarski czepek. Widziała też matową szybę drzwi, prowadzących na korytarz i przesuwające się za nią sylwetki ludzkie, jawiące się i znikające jak postacie z teatru cieni. Te sylwetki właśnie przyprawiły ją o największy niepokój i sprawiały, że serce jej zaciskał na nowo potworny ból. Nie tak dawno, kiedy leżała z przymkniętymi oczyma, usłyszała koło swego łóżka rozmowę prowadzoną przyciszonymi głosami.

– Czy mógłbym z panią Hortowską zamienić kilka słów. Przrzekam, że to nie potrwa długo. Podobno jej stan znacznie się poprawił – zapytał ktoś stojący po jej prawej stronie.

– Jak się pan tu dostał, poruczniku?! Jakim prawem

chce pan chorej zakłócić spokój? Czy pan nie rozumie, że taka rozmowa mogłaby kosztować ją życie? Stanowczo sprzeciwiam się, stanowczo!

– Przepraszam, panie doktorze, niepotrzebnie się pan unosi. Chyba wie pan, że kieruję się tylko dobrem śledztwa. Oczywiście, wycofuję się, jeżeli stan jest nadal tak poważny, i jeszcze raz przepraszam.

– Rozumiem pana intencje, ale dzisiaj proszę stąd wyjść. Zawiadomię pana, jak tylko będzie można przesłuchać chorą.

Głosy ucichły, a nad nią rozpięta się cisza i mrok. Od tej pory ilekroć kierowała wzrok w stronę drzwi, to tylko po to, aby wypatrywać za nimi zarysów postaci męskich w mundurach, które wkrótce w majestacie prawa naruszą jej azyl, zmuszą do mówienia i do spojrzenia brutalnej prawdzie w oczy, a do tego nie wolno jej było dopuścić za żadną cenę. Nie mogła przecież oskarżyć najbliższego jej sercu człowieka. Wiedziała, kto zabił Magdę Grąszycową. Pamiętała, choć jak przez mgłę, że była razem z mordercą w jej pokoju, widziała migocący w świetle pobliskiej latarni wąski nóż, leżący na stole, poruszaną nierównym, pijackim oddechem gołą, krągłą pierś, pokrytą złotym puchem, i nóż zatapiający się błyskawicznie i głęboko w ciele... A potem krew sączyła się powoli okrągłymi, rubinowymi kroplami. Wspomnienia te jednak nadal przeplatały się z gorączkowymi majakami i czasem zdawały się być wytworem jej wyobraźni, właściwie nie umiała odróżnić rzeczywistości od koszmaru. Długo, z obsesyjną wytrwałością mozoliła się nad wydobyciem z pamięci wszystkich rwących się fragmentów, aż nagle!!! Odzyskała w pełni okrutną, nieprawdopodobną w swej ohydzie świadomość. Uderzyła ją jak obuchem w głowę, dotarła do

każdej cząstki jej jestestwa, sprawiła, że oddech zatrzymał się na chwilę, a chore serce przestało bić. Pierwszy raz w swym życiu odkryła prawdę, z którą nie warto było dalej istnieć. Kiedy funkcje organizmu wróciły do jakiejś takiej normy, wstała z łóżka, odłączając gwałtownymi, ruchami aparat tlenowy. Chwiejąc się na nogach, podeszła do szafki stojącej w rogu pokoju. Wisiał w niej biały fartuch pielęgniarski i leżał czepek, który widocznie siostra dyżurna zostawiła odchodząc.

Ubrała się w ten strój pośpiesznie, chwyciła stojącą obok łóżka torebkę i, nie oglądając się za siebie wyszła z separatki.

– No, Rytniak, chyba masz nam jednak coś do powiedzenia? – zapytał nieco zmęczonym głosem porucznik Leszek Warowski, bacznie przyglądając się siedzącemu po przeciwnej stronie biurka młodemu chłopcu. Przesłuchanie trwało już prawie dwie godziny i jak dotąd nie przyniosło żadnych rezultatów. Rytniak początkowo zaciął się w milczeniu, odmawiał zeznań, a potem konsekwentnie, z uporem wypierał jakiegokolwiek związku z dokonanym morderstwem. Warowski obserwował grę jego twarzy, która najpierw okraszona była cwaniackim uśmiechem, błazeńską bufonadą, ale potem na wiadomość o śmierci Magdy Grąszycowej i na postawiony mu konkretnie zarzut popełnienia zbrodni – ściągnęła się, skurczyła, a oczy straciły sztuczny, cyniczny wyraz.

„Czyżby ten szczeniak naprawdę był niewinny? – zadał sobie w duchu pytanie porucznik i raz jeszcze uważnie przyjrzał się delikwentowi. – W każdym razie to wspaniały okaz nieroba, nie parającego się żadną pracą, a umiejącego z powodzeniem ciągnąć korzyści z ludzkiej głupoty i

naiwności. Gotów jestem założyć się w ciemno, że ma jednak na sumieniu jakieś grubsze przestępstwo. Zresztą jego konto chuligana i rozrabiaki jest dostatecznie zabagnione, aby móc go postawić w stan oskarżenia.”

– Słuchaj, tym razem nie ma żartów – po bezskutecznym i męczącym przesłuchaniu, które nie wniosło nic nowego do sprawy porucznik postanowił sięgnąć po mocne, nie dające się niczym podważyć argumenty. – Mam tu wystarczające dowody, aby cię posadzić za kratkami. – Wolnym ruchem wyjął z szuflady pisane w brudnopisie listy do profesora Grąszycy, fotografię Magdy Grąszycowej i docenta Ryńskiego na tle wysokiego bloku mieszkalnego, paszport zagraniczny i czarny brulion, stanowiący własność Hortowskiej.

– To wszystko znaleźliśmy w rurze piecyka w twoim mieszkaniu. Co masz do wyjaśnienia?

Rytniak łypnął spode łba na papiery i dokumenty, które wprawdzie spodziewał się zobaczyć, ale stale w głębi ducha żywił cichą nadzieję, że jakimś cudem umknęły uwadze milicji.

– Niewątpliwym jest, że szantażowałaś profesora Grąszycy, usiłując wyłudzić od niego dużą sumę pieniędzy w zamian za informacje o rzekomej czy prawdziwej zdradzie małżeńskiej jego żony. Świadczą o tym listy, które przekazał nam profesor, i znalezione u ciebie kopie oraz fotografia, jaką zapewne zamierzałaś się posłużyć. Czy wiesz, że takie postępowanie jest karalne?

– Nic by nie zaszkodziło staremu piernikowi, żeby mi wybulił trochę forsy. I tak przeze mnie miał dużo frajdy. – Zły uśmiech rozchylił wargi młodziana. Jeszcze dotąd nie umiał pohamować swoistej, mściwej satysfakcji.

– Wątpię, żebyś w ten sposób uzyskał aprobatę dla

swego czynu u sędziego. A więc przyznajesz, że usiłowałeś wyłudzić pieniądze od profesora Grąszycy. To już mamy za sobą. Pójdziemy jednak dalej. Istnieje podejrzenie, że dokonałeś napadu na mężczyznę, który do dzisiejszego dnia znajduje się na oddziale chirurgicznym w Szpitalu Bielańskim w Warszawie. Osobnik ten na skutek wstrząsu mózgu i urazów wewnętrznych uległ na dłuższy czas zanikowi pamięci, ale obecnie podał swoje personalia, które doskonale pasują do nazwiska, na jakie został wystawiony w Stanach jednoczonych paszport znaleziony również w twoim schowku. Ponadto rysopis mężczyzny, który go zaczepił na ulicy, zgadza się jak ułaj z twoim rysopisem. Na nic twoje wykręty. Lepiej przyznaj się do zranienia Roberta Hortowskiego i zaraz spiszemy protokół.

– Ten gnojek zamierzył się na mnie nożem, chciał mnie zadźgać. Musiałem się bronić – mruknął przez, zęby Rytniak.

– Tak czy inaczej to ty sprowokowałeś całe zajście. Podobno podszedłeś do niego o zmroku w pustym, ciemnym miejscu i skierowałeś pod jego adresem szereg pogroźek. Dlaczego to zrobiłeś?

– Chciałem, żeby odpieprzył się od macochy, nic więcej.

– Po to, żeby samemu ciągnąć od niej pieniądze. Uznałeś go za niepożądanego i nie przewidzianego w twoich wyliczeniach konkurenta do majątku Hortowskiej. Czyż nie tak? Czy ty wiesz chociaż, kto to jest Robert Hortowski?

– Pewno jej jakiś krewniak z Ameryki. Nie zastanawiałem się nad tym. Chociaż... Cholera jasna! Może to ten jej bękart, synalek tego profesora. Że też to mi nie przyszło do głowy! – uderzył rękami po kolanach.

– I nie mylisz się. Robert Hortowski jest najprawdopodobniej synem Anny Hortowskiej-Rytniakowej.

– Lepszy cwaniak. Chciał mnie pomacać nożem. Nic mu nie zrobiłem, sam zaczął. Zresztą, jak pan porucznik wie, kim on jest, to pewno już pan przeczytał ten pamiętnik – cwaniacki uśmiech znów wypłynął mu na wargi. – Wszystko sama napisała. To ona i ten jej braciszek są mordercami, a nie ja. Dlaczego ich nie aresztujecie? Miła rodzinka, no nie?

– Pozwolisz, że o tym zadecydują właściwe władze. Na razie radzę ci martwić się o samego siebie. Twoja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia, o ile będziesz nadal kręcił i zatajał prawdę. W jaki sposób pamiętnik twojej macochy znalazł się u ciebie?

– Pożyczyłem sobie go na trochę. Chciałem spokojnie poczytać.

– Raczej przywłaszczyłeś w celach szantażu, Nie mylę się, prawda? No, ładnie to wszystko wygląda., Próby wyłudzenia pieniędzy prawdopodobnie połączone z szantażem, ciężkie uszkodzenie ciała w związku z napadem i w końcu morderstwo.

– Nieprawda!– ciałem Rytniaka wstrząsnęło od stóp do głowy – nikt mnie w to nie wrobi. Magda była cholerną szmatą i dziwką, ale ja jej nie zabiłem. Mówiłem już tyle razy!

– Tylko spokojnie. Wszystko, co się zdarzyło w noc morderstwa – świadczy przeciwko tobie. Byłeś w pokoju Grąszycowej, jako ostatni rozmawiałeś z nią i widziałeś żywą. Ślady twoich stóp w ogrodzie zostały zidentyfikowane ponad wszelką wątpliwość, doktor Łusiewicz rozpoznał twoją sylwetkę, Kiedy uciekałeś w popłochu z posiadłości Grąszyców. Dlaczego wtedy biegniesz? Dlatego, że w

pokoju zostawiłeś trupa swej kochanki, której nienawidziłeś, ale o którą byłeś do szaleństwa zazdrosny.

– Nie! Nie! To wszystko brednie! Nigdy nie miałem zamiaru jej zabijać. Przyszedłem do niej potajemnie. Biegłem, bo nie chciałem, żeby ten przeklęty ramol – jej mąż, mnie zobaczył i narobił rumoru. Stałe bałem się, że ten bubek, którego stuknąłem, wykitował i że mnie złapiecie. Chciałem się gdzieś ukryć. No, po prostu, aby nie kiblować.

– Słuchaj, Ryttniak. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego bez przerwy rozmyślnie mówisz jakimś pseudożargonem, jakbyś normalnie nie umiał się posługiwać językiem polskim. Z twoich dokumentów wynika, że uczęszczałeś do gimnazjum ogólnokształcącego, do pierwszej klasy licealnej, i że naukę dopiero przerwałeś po śmierci ojca. Chyba nie sądzisz, że w ten sposób ugruntujesz swoją pozycję w świecie przestępczym. No, ale do rzeczy. Dlaczego przyszedłeś w środku nocy do Magdaleny Grąszycowej?

– Potrzebowałem forsy, byłem zupełnie splukany. Stałe węszyliście w Piastowie. Były różne rewizje po domach. Nie mogłem tam wracać.

– Widocznie miałeś coś na sumieniu?

– Nie jestem święty, ale były to stare historie. Największego pietra miałem z powodu tego bubka Hortowskiego. Już to wyjaśniałem. Liczyłem na pomoc Magdy, bo umówiliśmy się, że razem obskubiemy starego.

– Przynajmniej raz jesteś szczerzy.

– Była mi winna za to wszystko, co przeze mnie osiągnęła. Za te futra, kiecki, błyskotki. Powinna była się ze mną dzielić.

– Powiedzmy, że taki był twój punkt widzenia. No i co? Dostałeś pieniądze od Grąszycowej?

– Ani grosza! Ona była pijana w drzazgi. I wściekła. Miała swój atak, który ją nachodził zwykle po wypiciu większej ilości wódki. Odmówiła mi i wypędziła.

– I wtedy to ze wściekłości i z zemsty zabiłeś ją leżącym na stole nożem. To potwierdza wszystkie nasze przypuszczenia.

– Nic podobnego! To nieprawda! Miałem chęć ją sprać i być może pragnąłem się na niej zemścić, ale nawet jej nie dotknąłem. Zaczęła krzyczeć, więc zląkłem się, że ktoś wejdzie do pokoju. Uciekłem przez okno.

– Ale później wróciłeś, chyba się nie mylę? Wytlumacz mi, dlaczego odkryliśmy ślady stóp męskich pod drzwiami pokoju, w którym spała twoja macocha? Milczysz? Więc powiem ci, jak to było. Pokręciłeś się po okolicy, ale złość była silniejsza niż rozwaga. Zrozumiałeś, że Grąszycowa jest już dla ciebie stracona, że nigdy nie wróci i nie podejmie z tobą wspólnego życia, więc wróciłeś do ogrodu i wemknąłeś się przez nie domknięte drzwi do pokoju, w którym leżała adwokat Hortowska, być może już chora i nieprzytomna. Zakradłeś się do sypialni Grąszycowej, zabiłeś ją, zamknąłeś okno, skrupulatnie zacierając za sobą ślady i wyszedłeś w ten sam sposób, w jaki się dostałeś do domu, to jest przez pokój zajmowany przez macochę, która być może po jakimś czasie odzyskała przytomność i zdołała zamknąć drzwi, które zostawiłeś otwarte.

Rytniak dalej milczał. Po twarzy jego przebiegały skurcze. Wyglądało na to, że przestał się bronić, jakby mu już na niczym nie zależało.

Nagle wykrztusił: – Ładnie pan to wykombinował, panie poruczniku, ale to nie było tak, jak pan mówi. Magda – to była moja dziewczyna. Ja ją...

W tej chwili zabrzączał ostro stojący na biurku telefon, przerywając mu nie dokończone zdanie. Warowski podniósł słuchawkę.

– Tak, słucham – powiedział – Co takiego? Uciekła? Nie wiadomo dokąd? I nie ma jej w domu? Dziękuję, zaraz przejmę sprawę. Na dzisiaj dosyć. Proszę odprowadzić aresztanta do jego celi – zwrócił się do dyżurnego funkcjonariusza.

Rozdział dwunasty

Mały, biały domek ukazał się za zakrętem drogi, pośród gęstwy starych, rozrośniętych drzew, teraz ogołoconych z liści, potrząsających na wietrze nagimi gałęziami. Tabliczka z numerem czterdziestym była przytwierdzona do jednej ze ścian, nieco wyblakła, jakby splukana od deszczu.

Porucznik zatrzymał samochód na skraju szosy i podszedł do żelaznej furtki, która rozwarła się ze skrzypnięciem pod jego ręką. Ogródek był nieco zaniedbany, jakkolwiek widoczne były ślady pracy czyjejś pieczołowitej ręki, starającej się o zachowanie czystości i porządku. Warowski zapukał do drzwi z solidnego dębu, krzepko trzymających się zawiasów, mimo swej długowieczności. Nie potrzebował czekać długo. Na progu ukazała się prawie natychmiast wysoka, z lekka przygarbiona kobieta w szarej sukni, na której nosiła gospodarski fartuch, o twarzy pooranej zmarszczkami, w której trudno było już odczytać jej wiek. Mimo to bładoniebieskie oczy, które zwróciła na przybyłego, posiadały niewygasłą przez lata bystrość i przenikliwość.

– Słucham pana? – zapytała. Dopiero, gdy przemówiła, można było zauważyć, że trzęsie się jej głowa.

– Czy zastałem panią Felicję Grzybiałowską? – zapytał trochę niezręcznie porucznik, gdyż nie miał najmniejszej wątpliwości, że osobę, o którą przed chwilą pytał, widzi właśnie przed sobą. W całej okolicy było powszechnie wiadomym, że Grzybiałowską mieszka samotnie w swoim domku. Trudno mu było jednak w inny sposób zagaić rozmowę.

– To ja jestem – powiedziała stara kobieta i rzuciła mu jeszcze bardziej badawcze spojrzenie, w którym nie było cienia lęku czy niepokoju.

Porucznik wykonał najbardziej szarmancki ukłon, na jaki mógł się zdobyć w podobnych okolicznościach.

– Bardzo przepraszam, że panią niepokoję i być może odrywam od ważnych zajęć. Jestem oficerem Milicji Obywatelskiej, prowadzę śledztwo w bardzo trudnej sprawie. Chciałbym, jeśli pani pozwoli, uzyskać od pani kilka informacji, być może wiążących się z tym właśnie wypadkiem. O ile mógłbym zająć pani chwilę czasu, byłbym bardzo wdzięczny.

Wygłosiwszy tę naszpikowaną uprzejmościami tyradę Warowski poczuł, że na szyję wstępują mu kropelki potu. Nie znoził podobnych sytuacji, kiedy zjawienie się jego w czyimś domu mogło spowodować uczucie niezadowolenia czy wręcz strachu. W końcu ta staruszka miała prawo żywić obawę, że przybywający niespodziewanie obcy mężczyzna może mieć wobec niej niecne zamiary, a także podszyć pod szyld funkcjonariusza państwowego. Mogła mu nawet zatrzaskać drzwi przed nosem. Tym razem jednak nic podobnego się nie zdarzyło. Spojrzenie

wypłowiących, niebieskich oczu ześliznęło się po jego twarzy z powagą i spokojem – pożyłkowane, prawie przeczyste dłonie zacisnęły się na kieszeniach fartucha.

– Proszę dalej, niech pan pozwoli – powiedziała i wprowadziła go w głąb mieszkania. Pokoik, w którym się znalazł, spełniający prawdopodobnie w zamierzczłych czasach rolę saloniku, godnie reprezentującego swoich gospodarzy, przedstawiał taki sam obraz zniszczenia i starości, jak jego właścicielka. Meble niegdyś złoczone, obecnie z resztkami złota, poczerniałe na poręczach foteliki, krzesła, kanapy – pokryte były wytartymi już, dziurawymi gdzieniegdzie obiciami, świadczącymi jednak o świetności ozdobnych materii. Porucznik dziękując usiadł na brzeжку fotela z takim uczuciem, jakby profanował jakąś świętość.

– Proszę pani, słyszałem, że pani była blisko zaprzyjaźniona z rodziną państwa Hortowskich, których własnością jest dworek „Malwiny” – Warowski z przyzwyczajenia wyciągnął papierosa, ale natychmiast pośpiesznie schował go skarcony gromowładnym spojrzeniem gospodyni domu.

– Tak, to prawda. Nieboszczka Emilia była moją koleżanką szkolną, a nasi mężowie przyjaciółmi z korporacji. W swoim czasie nie było niemal tygodnia, żebyśmy się wzajemnie nie gościli. Potem mężowie zmarli, a myśmy zostały same na świecie.

– Przecież miały panie dzieci. Chyba nie było mowy o samotności.

– Dzieci... No cóż, dzieci... Były i odeszły. Moi dwaj synowie zginęli na wojnie, córka została, w Londynie. Czasem pisze, ale rzadko. Ma swoją rodzinę, wiele zajęć.

– A pani Hortowska? Miała przecież także syna?

Staruszka spuściła głowę na piersi, jakby ciężko jej było wspominać dawne a bolesne dzieje. – Biedna Emilka miała jeszcze mniej szczęścia. Moi synowie polegli na polu chwały, jej wychuchany jedynak dopuścił się jakichś przestępstw kryminalnych, przywłaszczył cudze pieniądze, dostał się do więzienia. To był skandal, proszę pana. Wiele ludzi z tutejszego miasteczka odwróciło się od niej, udawało, że jej nie zna, wytykało palcami. Tylko ja jedna pozostałam jej wierna, no, może jeszcze kilka rodzin. Nie mogła przecież odpowiadać za grzechy swego syna. Zresztą on zrobił to przez swoją żonę – jakąś śpiewaczkę z wielkimi wymaganiami. Chciała mieć co rok nowe futro, brylanty, prowadzić wystawny dom, a jego biedaka nie było na to stać. Zaciągał długi, popełniał oszustwa, malwersacje, a wszystko z miłości dla tej podłej kobiety. A ona mu się tak odwdzięczyła, że uciekła z innym za granicę. Ale dlaczego mnie pan o to pyta? Przecież to było tak dawno. Syn Emilki od wielu lat nie żyje. Czy pana wizyta u mnie ma coś wspólnego z tą starą historią?

– Nie, zapewniam panią, że bezpośrednio się z nią nie wiąże. Proszę pani, czy wiadomo pani, że starsza pani Hortowska opiekowała się przez dłuższy czas swoimi wnukami?

Grzybiałowska ściągnęła brwi ze zdziwieniem: – Wnukami? – powiedziała. – Ona miała tylko jedną wnuczkę. Wprawdzie córka Emilii, która wyjechała za młodu do Ameryki, będąc przez jakiś czas w „Malwinach”, urodziła tu jakieś dziecko i pojechała z nim z powrotem do Stanów, ale było to już po śmierci Emilii. Ona tego dziecka wcale nie znała.

– Rozumiem. Mnie chodzi o inny okres czasu. Może sobie jednak zechce pani uprzejmie przypomnieć. Wtedy,

kiedy syna pani Hortowskiej aresztowano. Podobno przejęła opiekę nad dziećmi swego syna, które do niej przyjechały i zostały tu już całą okupację.

– Nie, na pewno nie – Grzybiałowska pokręciła stanowczo głową – tu przez wiele lat była tylko jej wnuczka Ania. Kazimierz miał tylko jedno dziecko – córkę. Pamiętam, przywiozła ją służąca tylko z małym kuferkim. Tyle jej ojciec zostawił w spadku. Anna jest obecnie znanym adwokatem w Warszawie. Teraz często tu przyjeżdża, wyremontowała dworek babki i spędza tu wiele czasu. Wtedy była przeraźliwie chuda i bardzo brzydka, ale babka kochała ją nad życie i wszystko dla niej poświęciła.

– Wydaje mi się, że jednak pani się myli. Razem z Anną Hortowską przyjechał do babki również jej młodszy brat – Zbigniew.

– Co też pan opowiada – stara kobieta obruszyła się nie na żarty – chce pan coś we mnie wmówić. Chwalić Boga nie mam takiej sklerozy. Jaki Zbigniew?! Nigdy nie było tu żadnego Zbigniewa! Znałam ich lepiej niż ktokolwiek w tym miasteczku. Stale u mnie bywały, a mała w czasie wojny przylatywała często pożyczyć kawałek chleba. Babka się o nią martwiła, bo nie była takim zwyczajnym, normalnym dzieckiem. Mogła nie odzywać się całymi dniami, często płakała albo zamykała się w swoim pokoju. Kiedyś długo chorowała. Nie wiadomo było, czy w ogóle z tego wyjdzie. Tylko usilnym staraniami i opiece doktora Grąszycza zawdzięcza życie. Potem wykształciła się i została podobno doskonałym prawnikiem, ale babka już tego nie doczekała. Nieraz ją teraz widuję w autobusie, w sklepie. Tylko ona nie wygląda dobrze, czasami sprawia wrażenie mało przytomnej, tak jakby myślami przebywała

na innym świecie. Dzisiaj na przykład szła przez miasteczko w białym fartuchu, takim jak pielęgniarka. Kiedy się do niej odezwałam, nie odpowiedziała mi ani słowem. Czy to nie dziwne, proszę pana?

– W białym fartuchu? Dzisiaj? – powtórzył jak echo Warowski i natychmiast zerwał się z miejsca.

– Niezmiernie pani dziękuję i przepraszam, ale muszę już iść.

Grzybiałowska nie zdążyła nawet wyjść do sionki, kiedy zniknął jak kamfora.

– Och, ci młodzi – powiedziała i zakreśliła palcem znamienne dla tego poglądu kółko na czole.

Teresa Molnicka jechała do „Malwin” z wielkim pośpiechem, przekraczając wbrew swym zasadom dozwoloną szybkość, z sercem ściśniętym niepokojem i bólem. Zdawało się jej, że jeśli prędej przyjedzie do Anny, zdąży zapobiec jakiemuś nieszczęściu, że Anna jej potrzebuje, a może nawet oczekuje jej przybycia. Pierwszy raz zdarzyło się jej, że przy wymijaniu ze swojej winy o mało co nie spowodowała wypadku. Teraz szosa była zupełnie pusta, tylko silny wiatr utrudniał manewrowanie małym fiatem i spychał go na pobocze. Obawy jej nie były bezpodstawne. Kiedy zatelefonowała do szpitala, aby dowiedzieć się od dyżurnego lekarza o stan zdrowia Hortowskiej – powiedziano jej, że pacjentka samowolnie, bez niczyjej wiedzy opuściła rano szpital. W głosie lekarza wyczuła silne zdenerwowanie, gdyż tą chorą interesowała się milicja i prokurator. Będąc wówczas na dyżurze, czuł się odpowiedzialny za to, co się stało, i widocznie obawiał się związanych z tak karygodnym niedbalstwem konsekwencji, zdaniem jego bowiem chora wymagała intensywnej terapii i

wyłączenie stosownych zabiegów reanimacyjnych stanowiło niebezpieczeństwo dla jej życia. Teresa oczywiście natychmiast udała się do mieszkania Anny, które zastała zamknięte na cztery spusty. Wówczas zrozumiała, że Hortowska musiała schronić się do „Malwin”.

Kiedy odejmowała w ogródku ręce od kierownicy, czuła drżenie w palcach i w ramionach. Minęła dłuższa chwila, zanim odważyła się spojrzeć w okna. Okiennice były otwarte, a przez uchyloną jedną z szyb wydostała się na zewnątrz wydęta przez wiatr biała firanka. A więc nie myliła się, Anna była w domu.

– Anno! – zawołała, wbiegając do środka. – Anno, gdzie jesteś?!

W dużym pokoju, przylegającym do sieni, było pusto, ale w sąsiednim usłyszała czyjeś kroki.

– To dobrze, pani mecenas, że pani przyjechała. Miałem zamiar właśnie do pani telefonować – powiedział porucznik Leszek Warowski, zbliżając się do Teresy.

Czuła, że ze strachu bledną jej usta i że za chwilę wybuchnie płaczem. – Gdzie jest Anna? – zapytała.

– Proszę się uspokoić i wziąć w garść. Rozumiem, że jest pani bardzo przejęta losem przyjaciółki, no, ale cóż – życie nie szczędzi nam ciosów. Nie będę przed panią ukrywał, że Anna Hortowska-Rytniak zmarła niespełna dwie godziny temu, ciało jej zostało już przewiezione do zakładu medycyny sądowej.

Patrzała na niego przez dłuższą chwilę, jakby nie rozumiejąc sensu tych słów. Porucznik uprzejmie podsunął jej krzesło.

– Jak, jak to się stało? – zapytała, usiłując nadać głosowi normalne brzmienie.

– Śmierć była zupełnie naturalna. Zgodnie ze wstępnymi oględzinami lekarskimi był to jeszcze jeden, tym razem ostatni zawał serca. Już w chwili wyjścia ze szpitala znajdowała się w krytycznym stanie. Przebywała tu parę godzin i napisała list, co prawda bardzo nieczytelnie. List jest adresowany do pani. Chciałbym, żeby go pani zaraz przeczytała i postąpiła z nim zgodnie ze swoją wolą i sumieniem. Wydaje mi się, że zawierać on będzie rozwiązanie skrytobójczej śmierci Magdaleny Grąszycowej.

Kartki, które podał jej Warowski, były wyrwane z zeszytu, wystrzępione na brzegach, zmięte, ale pismo, choć zniekształcone, należało bez najmniejszych wątpliwości do Anny. Zbyt dobrze znała ostry, zamaszysty kształt tych liter.

Czytała, usiłując zwalczyć napływające do oczu łzy.

„Do adwokata Teresy Molnickiej – mojej jedynej przyjaciółki. Wiem, że zostało mi niewiele życia, chcę więc to wszystko napisać, żeby nikt przeze mnie nie cierpiał. Dzisiaj po raz pierwszy dowiedziałam się prawdy o sobie, tak jakbym na siebie spojrzęła z dużej odległości, jak na obcą osobę. Ta prawda jest straszna, nie mogę z nią dłużej żyć i pragnę śmierci jak wybawienia. Całe szczęście, że odchodzę i że żaden sąd ludzki nie wyda na mnie wyroku. Zresztą tak naprawdę – to umarłam tej nocy, kiedy poczęłam mego syna Roberta – reszta była koszmarem. Całe życie kochałam tylko jednego mężczyznę – Wojciecha Grąszycę. Wierzyłam też w to, że mam brata, pięknego, wiecznie młodego, kochającego mnie silnym, braterskim uczuciem. Czasami zapomniałam o jego istnieniu, ale zawsze żył we

mnie, w moim sercu. Nazwałam go Zbigniewem, gdyż przypominał mi Zbyszka z Bogdańca. Był rycerski, mocny, otaczał mnie czułością, opieką w chwilach, kiedy byłam sama, opuszczona przez Boga i ludzi. Początkowo myślałam, że z miłości i litości dla mnie otruł Ewę Grąszycową. To mu mogłam wybaczyć. Przecież Ewa była śmiertelnie chora, nieludzko cierpiała. Taki czyn bywa usprawiedliwiony częściowo przez prawo – nazywa się eutanazją. Kiedy jednak uświadomiłam sobie, że zabił również Magdalenę Grąszycową – poczułam nieludzki strach. Wiedziałam, że nigdy nie zdradzę jego imienia przed milicją, a niedługo zaczną mnie przesłuchiwać. Dzisiaj jednak rozumiałam, jak bardzo się dotąd myliłam. W chwili śmierci mam pełną jasność widzenia i chcę, Tereso, żebyś wszystkim wiedziała i wybaczyła mi, jeśli możesz. Zbigniew nigdy nie istniał! Był mną samą, moim drugim ja. Powołałam go do życia siłą swego pragnienia i cierpienia. To ja zabiłam Magdalenę. Musiałam to zrobić, czułam jakiś wewnętrzny nakaz, jakby ktoś sterował moją wolą i każdym ruchem. Włożyłam nawet rękawiczki na ręce, żeby zatrzeć wszystkie ślady. Pamiętam teraz wszystko, jakbym oglądała obraz na ekranie. Magdalena leżała na tapczanie – piękna, prawie naga, bezwstydna. Rękojeść noża zamigotała w ciemności. Chwyciłam go bez namysłu, a kiedy jej ciało drgnęło pod uderzeniem – zadygotałam z rozkoszy. Później we wspomnieniach zdawało mi się, że byłam tylko świadkiem tej sceny, że zabił ją Zbigniew. Teraz, kiedy patrzę wstecz, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie miałam brata, i że nawet wiedziałam o tym wtedy, kiedy znajdowałam się we względnej równowadze psychicznej. Później jednak sen, marzenie – splatały się

nierozerwalnie z rzeczywistością, nie umiałam odróżnić prawdy od urojenia, w którym żyłam.

Nie mogę już dalej pisać. Mam potworny ból w klatce piersiowej, brak mi oddechu. Wiem, że byłam złą matką, macochą, żoną. Wszystko zrobiłam dla Wojtka. Uwolniłam go od Ewy, żeby mógł spokojnie pracować, tworzyć, zabiłam Magdalenę, gdyż nigdy nie mógłby z nią być szczęśliwy, bo nie była jego godna, i zawsze by przez nią cierpiał. Wybacz mi, Tereso, ale...”

Tu pismo stało się zupełnie nieczytelne i urwało się.

Teresa wahała się długo – podała list Warowskiemu. – Myślę, że taka była jej wola – powiedziała. Mimo wypełniającego ją głębokiego smutku poczuła wielką ulgę, jakby gniotący ją kamień spadł jej z serca.

– Mam do pani prośbę – powiedział Warowski – musiałem odesłać mój wóz. Czy byłaby pani tak dobra zabrać mnie ze sobą do Warszawy?

Westchnęła i spojrzała na niego niepewnie spod wilgotnych jeszcze rzęs. Czuła, że musi natychmiast wytrzeć nos, żeby się nie skompromitować, ale nie wiedziała, gdzie położyła torebkę.

– Służę pani – porucznik wyciągnął chustkę i podał jej szarmanckim ruchem.